

Ks. WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI



O. SERAFIN ALOJZY KASZUBA OFM^{Cap.}

Ks. WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI

WSPOMNIENIA
Z KAZACHSTANU



O. SERAFIN ALOJZY KASZUBA OFMCap.

ZAPISKI
Z KAZACHSTANU



„WOŁANIE Z WOŁYNIA”
BIAŁY DUNAJEC–OSTRÓG 2006

© Copyright by Ośrodek „Wołanie z Wołynia”,
Biały Dunajec 2006


© Copyright by Prowincja Krakowska OO. Kapucynów,
Kraków 2006

Redaktor serii
Ks. Witold Józef Kowalów

ISBN 83-88863-31-2

**Ośrodek „Wołanie z Wołynia”
skrytka pocztowa 9
34-520 Poronin, Polska**

~~~~~  
**“Воляннiя з Волині”  
вул. Кардашевича, 1  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.  
Україна**

 **Drukarnia Akcydensowa**  
**orosz Andrzej**  
Tel. (012) 636-96-66 - Kraków

*Niniejsza publikacja  
ukazuje się z okazji rozpoczęcia  
procesu kanonizacyjnego  
Sługi Bożego  
Ks. Władysława Bukowińskiego  
(1905–1974)*



## OD WYDAWCY

Gdy w styczniu 2000 roku nasze wydawnictwo „Wołanie z Wołynia” rozpoczęło zbieranie materiałów nt. ks. Władysława Bukowińskiego, duszpasterza Wołynia i Kazachstanu, otrzymaliśmy wiele listów z zapytaniami, gdzie można nabyć jego słynne „*Wspomnienia z Kazachstanu*”. Mimo, iż książka ta była wydana co najmniej trzykrotnie na Zachodzie i kilkakrotnie przedrukowywana przez wydawnictwa podziemne w Polsce<sup>1</sup>, obecnie w księgarniach (poza antykwariatami) daremnie jej szukać. Dlatego w 2001 roku z okazji wizyty Papieża Jana Pawła II na Ukrainie przedrukowaliśmy ją razem z kilkoma innymi tekstami, których autorem jest ks. Władysław Bukowiński. Dodaliśmy także wybór listów pisanych do rodziny i przyjaciół w Polsce. Tak powstała książka ks. Władysława Bukowińskiego pt. „*Do moich przyjaciół. Fragmenty spuścizny piśmienniczej*”. W jej skład weszły następujące utwory ks. Bukowińskiego: „*Wspomnienie z więzienia o Księdzu Biskupie Adolfie Piotrze Szczęśliwym*” (s. 11–25), „*List do Kardynała Stefana Wyszyńskiego*” (s. 26–30), „*Kościół Katolicki na Ukrainie [ok. 1969 r.]*” (s. 31–38), „*Wspomnienia z Kazachstanu*” (s. 39–124), Korespondencja – listy do rodziny Elżbiety Kamińskiej (s. 125–132) i do Jerzego Węgierskiego (s. 133–139) oraz „*Myśli ks. Władysława Bukowińskiego z listów do prof. Karola Górskiego*” (s. 140–148).

„*Wspomnienia z Kazachstanu*”, dzięki licznym wydaniom podziemnym w ostatnich latach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej były najbardziej popularnym źródłem informacji o Kościele na Wschodzie dla współczesnych Polaków. Pamiętam jakie wielkie wrażenie na mnie, zakopiańskim licealiście, wywołała ta książeczka w pamiętne dni stanu wojennego w Polsce, kiedy dał mi ją do przeczytania ówczesny proboszcz mojej rodzinnej parafii poronińskiej ks. kan. Jan Łasut. Uważam, iż obraz pracy na Wschodzie nakreślony przez ks. Władysława Bukowińskiego, jego żarliwy duch misyjny i troska o przyszłość Kościoła na tamtych terenach sprawiły, że zdecydowałem się bezpośrednio po świę-

<sup>1</sup> Zob. m.in. przedruki: Wydawnictwo „Spotkania”, Lublin 1979; Wydawnictwo „Spotkania”, Lublin 1980; Wydawnictwo „Krzyża Nowohuckiego”, Kraków 1981; Wydawnictwo „Graf”, Gdańsk 1989; Unia Nowoczesnego Humanizmu, Warszawa (b.r.).

zeniach kapłańskich wyjechać na Ukrainę. Jeszcze jako kleryk w czasie jednej z krakowskich pieszych pielgrzymek na Jasną Górę rozmawiałem wiele o tym z ks. Janem Ryszardem Wołkiem (1943–1991), który przepowiedział mi na Jasnej Górze, że mimo różnych trudności uda mi się wyjechać na Ukrainę... Nie minął rok czasu, ks. Jan R. Wołek wyjechał na Ukrainę, a następnie do Kazachstanu, zostając proboszczem parafii pw. Św. Rodziny w Krasnoarmiejsku. Zginął w wypadku samochodowym koło Pietropawłowska, wioząc kamień węgielny pod budowę kościoła. Biorąc udział jako diakon w pogrzebie ks. Wołka, patrząc w jego mogiłę, wiedziałem że wyjadę na Ukrainę...

W niniejszym tomie pragniemy powtórzyć przedruk „*Wspomnień z Kazachstanu*” Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego dodając doń „*Zapiski z Kazachstanu*” Sługi Bożego o. Serafina Kaszuby, które po raz pierwszy zostały opublikowane w 1944 roku<sup>2</sup>. W przypadku drugiej publikacji przypisy w dużej części zostały uzupełnione.

Obydwaj Słudzy Boży dają piękne świadectwo o Kościele w Kazachstanie w trudnych latach powojennego totalitaryzmu sowieckiego. Dowiadujemy się o wielu duchownych i świeckich – np. wspominają oni niezwykłą postać Bł. Ołeksy Zaryckiego. Ciekawym jest też przeczytać co Słudzy Boży piszą o sobie nawzajem.

Bezpośrednią okazją do wydania niniejszej książki jest rozpoczęcie procesu kanonizacyjnego Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego, które miało miejsce w Krakowie w dniu 19 czerwca 2006 roku – szerzej na ten temat w aneksie do niniejszej publikacji. Niech wydanie tych dwóch utworów Sług Bożych będzie także hołdem dla wszystkich zesłańców z Ukrainy do Kazachstanu, a szczególnie moich parafian w Ostrogu i Kuniowie, którzy po około dwunastoletnim zesłaniu powrócili na Ukrainę, do swojej Małej Ojczyzny na Wołyniu.

Wydając niniejszą książkę chcemy oddać dług wdzięcznej pamięci o Słudze Bożym ks. Władysławie Bukowińskim i Słudze Bożym o. Serafinie Kaszubie OMCap. Ufamy, iż za niedługi czas będą beatyfikowani i będą patronować Kościołom na Ukrainie i w Kazachstanie.

***Ks. Witold Józef Kowalów***

Ostróg nad Horyniem – Biały Dunajec Górny, 26 sierpnia 2006 r.  
W uroczystość Najświętszej Maryi Panny Jasnogórskiej  
i 50. rocznicę Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego

---

<sup>2</sup> O. Serafin Kaszuba, „*Strzępy. Wspomnienia i zapiski*”, Kraków 1994, s. 43–72.



## WSPOMNIENIA Z KAZACHSTANU

O d wydawcy

Losy Polaków, obywateli ZSRR, to problem ciągle mało znany. Ukazujące się w Polsce oficjalne publikacje na ten temat fałszują rzeczywisty obraz. Natomiast w wydawnictwach niezależnych zwykło się nie podnosić tego problemu, wychodząc z założenia, że nie należy drażnić władz ościennego państwa, co mogłoby spowodować pogorszenie i tak już nie-dobrej sytuacji.

Założenie jest chyba błędne.

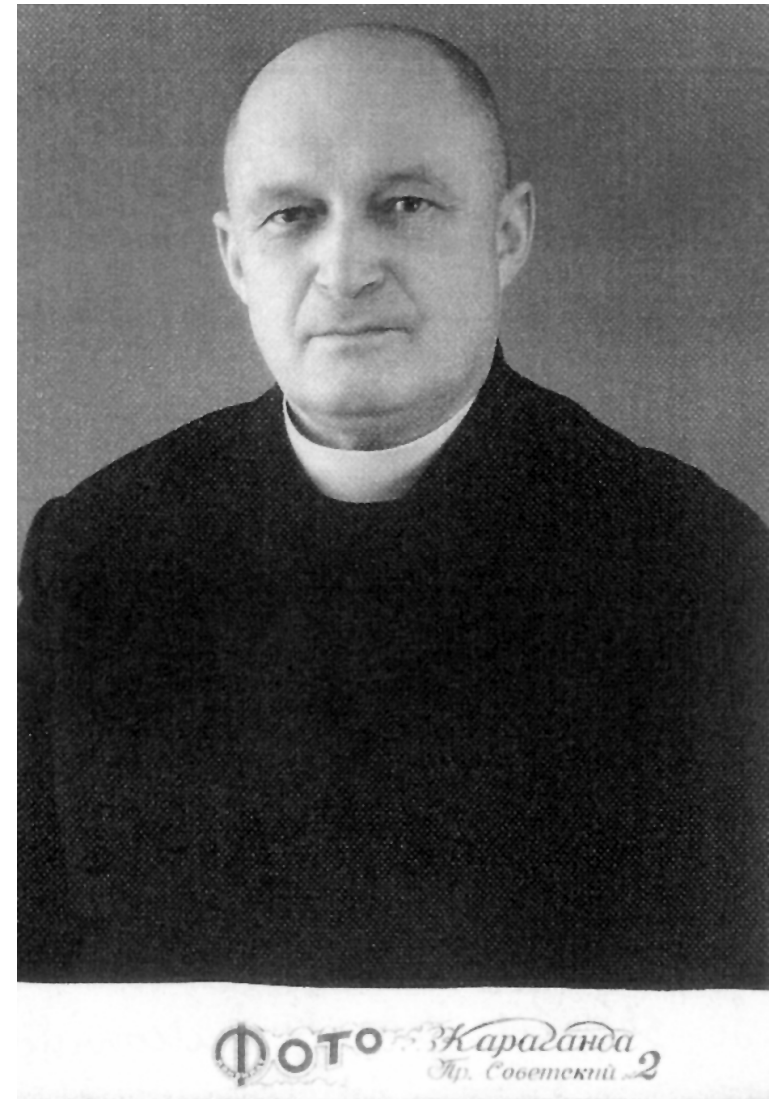
Bezpośrednio zainteresowani dają tego dowody pisząc wprost do władz Związku Radzieckiego (List Platera, *Spotkania* nr 6) czy też apelując o pomoc dla instytucji i ludzi za granicami (List polskich i niemieckich katolików z Mołdawii do Pawła VI, *Kontynent* nr 16). Coraz częściej powstają relacje i wspomnienia dotyczące tych spraw. Jedno z nich dotarło do naszych rąk.

Śp. Ks. Władysław Bukowiński (1904–1974) spisał swoje relacje w czasie krótkiego pobytu w Polsce w latach siedemdziesiątych. Kierowany trafną oceną warunków społeczno-politycznych, odmiennych przecież aniżeli dzisiejsze, zastrzegł sobie, aby dokument ten ukazał się dopiero po jego śmierci, z wyłączeniem jednak pewnych fragmentów.

Pomimo tych zastrzeżeń wydawca dokonał tylko nieznacznych skrótów, podyktowanych troską o bezpieczeństwo niektórych osób w ZSRR.

Na tle stosunkowo dużej liczby publikacji na temat prześladowań obywateli w Związku Radzieckim, „Wspomnienia z Kazachstanu” (tytuł pochodzi od wydawcy) są dokumentem zaskakującym przede wszystkim ze względu na ducha tej wypowiedzi.

W relacji polskiego duchownego nie znajdzie się cienia egzaltacji, ani jednej nuty nienawiści w stosunku do prześladowcy. Książd Bukowiński opowiada rzeczy straszne głosem ściszym i pokornym, tak



Ks. Władysław Bukowiński. Karaganda. Fot. ze zbiorów Jolanty Bukowińskiej-Wichrowskiej

jakby opisywał historię ciężkiej, lecz nie beznadziejnej choroby. Zdziwiał olbrzymia wiara w Opatrzność Bożą, której dłoń, w sytuacji wydawałoby się bez wyjścia, odczuwa bardziej aniżeli ktokolwiek z zewnątrz.

Książki tej nie pisał, rzecz jasna, zawodowy literat. Mimo tego wzrusza ona prostotą i autentyzmem stylu, który także posiada tu wartość dokumentalną.

Powyższa pozycja nie wyczerpuje tematu. Apelujemy zatem do wszystkich, którzy są w posiadaniu podobnych materiałów, o udostępnienie ich temu czy innemu wydawcy.

*BIBLIOTEKA „SPOTKAŃ”*

Pismo skierowane jest do wszystkich moich przyjaciół świeckich i duchownych wspólnie, nie jest i nie może być w obecnych warunkach przeznaczone do druku – dla szerszego grona czytelników. Jest ono przeznaczone tylko dla szczupłego grona najbliższych przyjaciół.

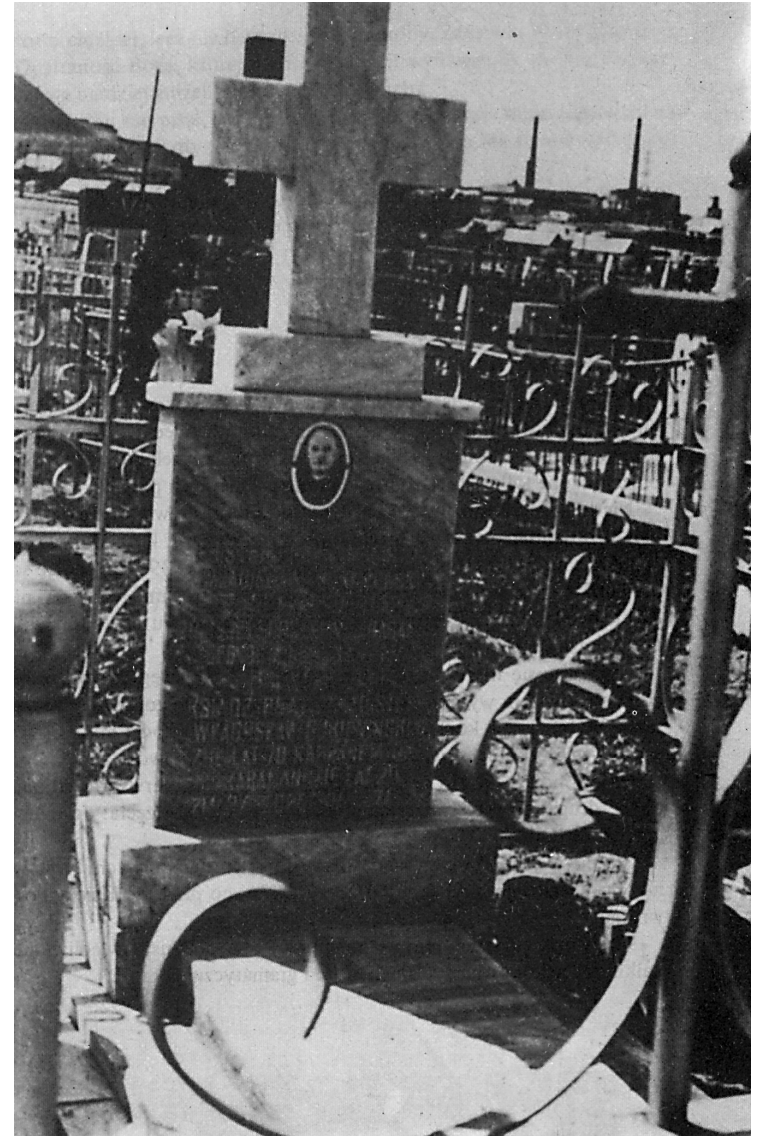
Nie jest rzeczą możliwą w nazbyt krótkim urlopowym czasie pokusić się o napisanie choćby o tyle o ile wyczerpującej kroniki mego życia, poczynając od tragicznego dla wszystkich nas 1939 roku. Zdaję sobie sprawę z tego, że Opatrzność Boża prowadziła mnie drogami nie całkiem zwyczajnymi, zdolnymi zainteresować wielu czytelników, a tym bardziej moich Przyjaciół.

Wyrażając się nieco może pretensjonalnie, z tej księgi żywota mego postanowiłem wybrać tylko kilka kart najbardziej godnych przeczytania. Wybór jest z konieczności subiektywny. Nie chodzi mi jednak o jakieś względy subiektywne, a raczej o świadectwo prawdzie.

Układ mego dzieła jest całkiem prosty. Część pierwsza: wstępna. Część druga: do moich Przyjaciół świeckich. Część trzecia: do moich Przyjaciół Księży.

Nie piszę osobno do świeckich, a osobno do duchownych. Przeciwnie, mam nadzieję, że świeccy przeczytają to, co piszę do Księży i odwrotnie.

Niech przyspieszone tempo mojej pracy pisarskiej usprawiedliwi nieuniknione usterki stylistyczne, a może i gramatyczne.



Grób ks. Wł. Bukowińskiego na cmentarzu w Karagandzie, który później został przeniesiony pod ścianę Katedry na Majdanku

## WSTĘP

W tej pierwszej części wstępnej mego pisma będzie najpierw mowa o mnie samym i o moich przyjaciółach Księżach: Bronisławie Drzepeckim i Józefie Kuczyńskim, a następnie o Związku Radzieckim, w którym upływa całe moje życie od dnia 18 września 1939 r. z wyjątkiem niespełna trzech lat okupacji niemieckiej w Łucku i kilku miesięcy spędzonych na urlopie w Polsce.

Dla lepszej orientacji podaję szereg dat z mojego życia. Urodziłem się dnia 22 grudnia 1904 r. (starego stylu)<sup>1</sup> w Berdyczowie na Ukrainie. W lipcu 1920 r. nasza rodzina wyjechała z Ukrainy do Polski.

W latach 1921–1931 odbyłem studia prawnicze i teologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Dnia 28 czerwca 1931 r. otrzymałem święcenia kapłańskie w Katedrze na Wawelu z rąk Księdza Metropolity Adama Stefana Sapiehy.

W latach 1931–36 pracowałem w Archidiecezji Krakowskiej w Rabce i w Sucheju, a od sierpnia 1936 r. w Łucku.

W listopadzie 1939 r. – po wybuchu wojny – Ksiądz Bp Adolf Piotr Szelażek mianował mnie proboszczem katedry Łuckiej.

Od sierpnia 1940 r. do 26 czerwca 1941 r. trwało moje pierwsze uwięzienie, cały czas w Łucku. Po wyjściu na wolność pracowałem dalej na stanowisku proboszcza katedry Łuckiej.

Od stycznia 1945 r. aż do 10 sierpnia 1954 r. przedłużało się moje drugie więzienie. Z tego tylko pierwszych 18 dni w Łucku, dalej półtora roku w więzieniach Kijowa, a następnie 8 lat w obozach pracy, a mianowicie: w latach 1946–50 w Czelabińskich obozach, a w latach 1950–54 w Dżelkazganie położonym o 500 km na południowy zachód od Karagandy.

Od września 1954 r. do 3 grudnia 1958 r. prowadziłem pracę duszpasterską w Karagandzie, dokąd zostałem administracyjnie zesłany. To zesłanie trwało jednak tylko dwa lata, do połowy 1956 r.

Od grudnia 1958 r. do 3 grudnia 1961 r., a więc równe trzy lata trwało moje trzecie uwięzienie.

Od grudnia 1961 r. aż do obecnego mojego wyjazdu na urlop do Polski prowadziłem dalej pracę duszpasterską w Karagandzie.

---

<sup>1</sup> Tzn. 4 stycznia 1905 roku wg kalendarza gregoriańskiego.

Zarówno przed moim ostatnim aresztowaniem w latach 1956–58 jak i po uwolnieniu w ostatnich latach miałem możliwość odbyć szereg podróży misyjnych. Daj Boże, bym mógł kontynuować tę pracę po powrocie z Polski do Związku Radzieckiego.

Opatrzność Boża poprowadziła wspólnymi drogami nas – trzech kapłanów diecezji łuckiej: Księdza Bronisława Drzepeckiego, Księdza Józefa Kuczyńskiego i mnie. Ponieważ piszę do Przyjaciół, będę ich nieraz nazywał po imieniu. Śmiem twierdzić, że zaprzyjaźniliśmy się ze sobą z wyraźnej woli Bożej.

Z Bronisławem i Józefem siedzieliśmy w jednej celi w więzieniu w Kijowie przeszło rok: od czerwca 1945 r. do lipca 1946 r. Przez pierwsze pół roku był z nami do grudnia w jednej celi nasz Czcigodny i Sędziwy Arcypasterz, Ksiądz Piotr Adolf Biskup Szelażek, o czym dalej piszę obszerniej. Właśnie w tej kijowskiej celi więziennej dnia 1 sierpnia 1945 roku Ksiądz Biskup skończył 80 rok życia.

Po uwolnieniu z dziesięcioletniego więzienia pracowaliśmy wszyscy trzej w Kazachstanie: ja od 1954 r. w Karagandzie, Bronisław od 1953 r. we wsi Zielony Gaj koło Celinogradu, a Józef od 1956 r. w miasteczku Teińcza w obwodzie Kołczetawskim. W grudniu 1958 r. aresztowano mnie i Józefa, a w styczniu 1959 r. Bronisława. Sądono każdego z nas oddzielnie. Ja „siedziałem” trzy lata, Bronisław 5 lat, a Józef 7 lat.

W tym czasie byłem z Bronisławem w jednym obozie przeszło dwa lata (1959–61). Józefa widziałem przelotnie dwa razy w 1959 r., a potem byliśmy wszyscy razem przez 8 miesięcy – od kwietnia do grudnia 1961 roku – w obozie dla „religiozników”, o którym napiszę obszerniej w trzeciej części mojego elaboratu.

Po tym wyjaśnieniu uważam za swój obowiązek nieco bliżej zaznaczyć wszystkich czytelników z moimi Przyjaciółmi.

Bronisław Drzepecki<sup>2</sup> urodził się w 1906 r. w miasteczku Felsztyn (obecnie Krasnogwardiejsk) koło Płoskirowa na Podolu.

W 1922 roku Bronisław przekroczył nielegalnie rzekę Zbrucz i w ten sposób przybył do Polski, gdzie opiekował się nim Biskup Kamieniecki Piotr Mańkowski. W radzieckim języku urzędowym nazywa się to, że Drzepecki po raz pierwszy zdradził swoją radziecką ojczyznę.

Pod opieką Biskupa Mańkowskiego Bronisław uzupełnił naukę gimnazjalną w Buczaczu, a następnie studiował w Seminarium Duchownym w Łucku. Od razu wybił się swoimi nieprzeciętnymi zdolnościami,

---

<sup>2</sup> Zob. Ks. Roman Dzwonkowski, *Ks. Bronisław Drzepecki (1906–1973)*, [w:] „Panorama Polska”. R. 35:1990, nr 12(503), s. 19. Toż: „Gazeta Niedzielną”. R. 55:1991, nr 3, 8 września 1991 r.

szczególnie filozoficznymi. W 1930 roku Bronisław Drzepecki otrzymał święcenia kapłańskie we Włodzimierzu Wołyńskim z rąk Księdza Biskupa Piotra Mańkowskiego.

Pierwsze trzy lata swojego kapłaństwa pracował u boku swego Biskupa i opiekuna Piotra Mańkowskiego we Włodzimierzu Wołyńskim.

W latach 1933–37 odbył gruntowne studia teologiczne na Dominikańskim Uniwersytecie Angelicum w Rzymie, uwieńczone doktoratem teologii na podstawie rozprawy o widzeniu uszczęśliwiającym (de visione beatifica) w niebie.

W latach 1937–39 ks. dr Drzepecki pracował na stanowisku wicerektora i profesora teologii dogmatycznej w Seminarium Duchownym w Łucku.

Po wybuchu wojny objął probostwo na wsi Huta Stepańska na Polesiu Wołyńskim, z której wyjechał wraz z parafianami w czasie pogromów banderowskich latem 1943 roku.

Następnie Ksiądz Bronisław był niecały rok proboszczem w Kowlu, skąd w czasie działań wojennych został przez Niemców ewakuowany wraz z całą ludnością do Lublina.

Po wyzwoleniu Lubelszczyzny latem 1944 r. Ksiądz Bronisław wraca na Wołyń i zgłasza się do dyspozycji Księdza Biskupa Szelażka w Łucku. Z wszystkich kapłanów diecezji łuckiej, którzy wyjechali na Zachód, powrócił na Wołyń jeden tylko Ksiądz Bronisław.

Ksiądz Biskup Szelażek posłał księdza kanonika doktora Bronisława Drzepeckiego do Żytomierza na stanowisko administratora diecezji żytomierskiej. Krótką lecz owocną była jego praca w Żytomierzu, przerwana aresztowaniem w styczniu 1945 r. Dalsze dzieje Księdza Bronisława są już nam mniej więcej znane. Jego uwięzienie trwało równo 10 lat, potem trzy lata (1955–styczeń 1959) pracy duszpasterskiej w Kazachstanie. I znowu pięć lat więzienia. Po uwolnieniu Ksiądz Bronisław próbował bezskutecznie – wskutek oporu władz miejscowych – pracować w Kazachstanie, aż wreszcie zdecydował się objąć probostwo w Starogrodzie na Podolu. Na tej bardzo ważnej placówce duszpasterskiej Ks. Bronisław pracuje mimo słabego zdrowia od początku 1966 r. po dziś dzień.

Józef Kuczyński<sup>3</sup> urodził się w 1904 r. we wsi Buczki, położonej między Żytomierzem a Korosteniem (7) na Polesiu Wołyńskim. W roku 1924, po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Żytomierzu, Józef przekroczył nielegalnie granicę polsko-radziecką, czyli po raz pierwszy

<sup>3</sup> Zob. Ks. Roman Dzwonkowski, *Ks. Józef Kuczyński (1909–1982)*, [w:] „Panorama Polska”. R. 35:1990, nr 11(502), s. 21–23. Toż: „Gazeta Niedzielną”. R. 55:1991, nr 3, 1 września 1991 r. Ks. Józef Kuczyński jest autorem książki pt. *Między parafią a łagrem* wydanej pośmiertnie w Paryżu w 1985 roku.

„zdradził swoją radziecką ojczyznę”. Od razu po przekroczeniu granicy Józef zgłosił się do Seminarium Duchownego w Łucku. Tam, wśród kleryków, było więcej takich uciekinierów ze Związku Radzieckiego. Zwano ich wszystkich bolszewikami.

Znany ze swej dobroci i łagodności wicerektor Seminarium Duchownego Prałat Adam Żółkiewski nie mówił inaczej do Józefa jak tylko „mój kochany bolszewiku”.

Podobnie jak Bronisław tak i Józef odznaczał się w seminarium zdolnościami w nauce, a także zamiłowaniem do pracy społecznej.

W roku 1930 Józef otrzymał święcenia kapłańskie w Łucku z rąk Księdza Biskupa Sufragana Stefana Walczykiewicza.

W latach 1930–35 pracował jako prefekt szkół powszechnych w Łucku, zyskując sobie wielką popularność wśród młodzieży i jej rodziców. Równocześnie brał czynny udział w ruchu harcerskim i osiągnął w nim wysoki stopień harcmistrza.

W latach 1933–37 Ksiądz Józef studiował nauki społeczne w Instytucie Katolickim w Paryżu i zdobył doktorat nauk społecznych na podstawie rozprawy o ruchu organizacyjnym młodzieży wiejskiej w ówczesnej międzywojennej Polsce.

W latach 1937–39 Ks. Dr Józef Kuczyński kierował Akcją Katolicką Młodzieży Męskiej i Żeńskiej w diecezji łuckiej i równocześnie był kapelanem wołyńskiej chorągwi harcerskiej.

W latach wojennych Ksiądz Józef był proboszczem w Szumbarze, a potem także i w Dederkałach w powiecie krzemienieckim. W Dederkałach podczas pogromów banderowskich Ksiądz Józef wraz ze swoimi parafianami schronili się w kościele i w przyległym byłym klasztorze, gdzie przetrzymali formalne obłężenie szczęśliwie zakończone wskutek nadejścia wojsk radzieckich.

W 1944 r. Ksiądz Józef rozpoczyna pracę misyjną na Ukrainie Radzieckiej. Via Krasylów na Podolu, Kijów, Charków i Dniepropietrowsk, dociera do Dnieprodzierżyńska, gdzie go aresztowano w styczniu 1945 roku.

Po 10-letnim więzieniu Ksiądz Józef pracował w Kazachstanie przez dwa i pół roku, za co otrzymał 7 lat więzienia. W styczniu 1966 r., w drugim miesiącu po uwolnieniu, został proboszczem w historycznym Barze na Podolu. Mimo nękającej go bezsenności pracuje tam bardzo intensywnie i owocnie.

Ksiądz, obecnie już prałat, dr Józef Kuczyński godnie dzierży rekord światowy wśród wszystkich księży katolickich. Jest to rekord uwięzienia. Wynosi on 17 lat.



Książ, obecnie już także prałat dr Bronisław Drzepecki jest wicemistrzem światowym. Ma za sobą 15 lat więzienia.

Ja znajduję się na dalszym miejscu. Mimo trzykrotnego uwięzienia zdołałem nazbierać „zaledwie” *13 lat, 5 miesięcy i 10 dni*.

Kto czyta słowa o Związku Radzieckim napisane przez człowieka, który, tak jak ja, 13 lat przesiedział w więzieniu, ten nawet podświadomie oczekuje jakiegoś wylewu rozgoryczenia. A jeśli go nie znajduje, to rodzi się podejrzenie, że ten człowiek pisze nie to, co myśli, lecz to, co mu kazano mówić i pisać.

Ja piszę do swoich Przyjaciół. Wiem, że mi ufacie, więc czytajcie dalej o tym, co ja sam w tej sprawie myślę.

Ogromna większość byłych więźniów, zwłaszcza długoletnich, zachowuje pewien resentyment czy nawet uraz psychiczny. Ludzie ci wypowiadając się nawet szczerze, nie są zdolni do bezstronnego sądu. Kto jednak przezwyciężył w sobie resentyment, ten jest zdolny do sądu bezstronnego, i to w stopniu najwyższym, właśnie dlatego, że poznał rzeczywistość bezstronnie – a także od podszewki. Zdaje mi się, że ja jestem w tym szczęśliwym położeniu i spróbuję je wykorzystać w dalszych wywodach.

Zilustruję moją myśl na jednym przykładzie z moich przeżyć obozowych. Właśnie dlatego, że jest to przykład szczęśliwie drastyczny. Było to zimą 1947/48 roku. Byłem wtedy w wielkim obozie w Uralskich górach, znajdującym się w miasteczku Baku obwodu Czelabińskiego. W tym obozie było kilka tysięcy więźniów, w tym znaczna część – bodajże połowa – żulików, czyli mówiąc po polsku rzezimieszków. Mieszkaliśmy w dużych barakach w warunkach bardzo prymitywnych. Na noc drzwi do każdego baraku były otwarte, a przed barakiem stały słynne „parasze”, czyli kubły. Surowo się zabraniało przechodzić z baraku do baraku. Przez całą noc kursowały po obozie patrole. Każdy złożony z 2 podoficerów wojsk NKWD, czyli tzw. popularnie „czekistów”. Jeżeli taki patrol złapał w nocy niefortunnego spacerowicza, to natychmiast odprowadzał go do karceru, gdzie trzeba było spędzić co najmniej trzy doby. Była to, szczególnie zimą, średnia przyjemność. Karcer był chłodny, nieopalony, nie pozwalali brać pałta, a jeść dawali tylko chleb, pić zaś tylko zimną wodę, przy czym codziennie wyprowadzali z karceru na robotę. Nic dziwnego, że niejednen powędrował z karceru wprost do szpitala obozowego.

Żulicy to element niespokojny i takie represje wobec nich były niejednokrotnie aż nadto uzasadnione. Ale do owych nocnych spacerowiczów – co prawda tylko zimą, nigdy latem – należał oprócz żulików także

i jedyny duszpasterz obozowy w mojej osobie. W tym obozie było, oprócz mnie, dwóch księży prawosławnych, ale ani jednego więcej katolickiego.

Chodziło o spowiedź. Latem nie było z tym żadnego kłopotu, ale zimą można to było robić tylko w nocy, gdy wszyscy spali. Wiele razy te nocne spacerki udawały się wysmienicie. Aż wreszcie pewnego razu...

Przez kilka nocy przygotowywałem do pierwszej spowiedzi jednego naszego rodaka pochodzącego z okolic Kamieńca Podolskiego, który miał na imię Bolesław. Był to bardzo miły i niegłupi człowiek w wieku lat około 25. Mieszkał on w znacznie lepszym baraku niż ja, bo nie był zwyyczajnym robotnikiem, tylko tzw. dziesiętnikiem przy robotach budowlanych. Umówiliśmy się, że wykorzystamy ten lepszy barak dla naszego pobożnego celu. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Po kilku nocach przygotowawczych Bolesław bardzo ładnie się wypowiedział z całego życia. Po spowiedzi jeszcze pogawędziliśmy przyjaźnie przez dłuższą chwilę. Było już dobrze po północy, kiedy wracałem do swojego baraku, który znajdował się na końcu obozu. Wtem błysk ręcznej lampki elektrycznej i głos: „Stoj, kto idiot?” Natknąłem się na patrol. Znałem tych podoficerów, a oni znali mnie jako „popa”.

Dalej potoczyło się wszystko bardzo szybko. Pierwszy podoficer: „A to pop” – „Czegoż ty popie włóczyś się w nocy po obozie?” Pierwszy podoficer podchodzi do mnie, uderza mnie w prawy policzek aż zapiekło, i mówi: „Nu prowaliwaj” – „wynoś się”. Nie nadstawiłem zgodnie z Ewangelią lewego policzka, tylko wróciłem do swojego baraku bardzo zły i wzburzony. Gdyby nie troska o Bolesława – pomyślałem sobie – zaraz poskarżyłbym się na tego sierżanta naczelnikowi obozu. Niech mnie sadzają do karceru, ale jakie on ma prawo tak mnie znieważać?

Po kilku minutach przysłała refleksja. Właściwie to patrol miał obowiązek natychmiast wpakować mnie do karceru. Tymczasem obaj podoficerowie poprzestali na wymierzeniu mi doraźnej kary. Z ich strony był to swego rodzaju humanitaryzm, złośliwie mówiąc „radziecki humanitaryzm” – lecz niewątpliwy.

Oczywiście ten incydent można by wykorzystać dla antyradzieckiej propagandy. Można by mówić o tym, jak to bohaterski kapłan katolicki z nadludzkim poświęceniem spełniał swe obowiązki – jak został pojmany, rozpoznany i spoliczkowany przez brutalnego żołdaka, jak nawet nie miał możliwości poskarżyć się, dochodzić sprawiedliwości.

Tak, ale czy owa propaganda byłaby z mojej strony uczciwa? Czy nie doznałem wówczas pewnego rodzaju miłosierdzia i sympatii? Czy ten policzek nie tylko, że nie był zniewagą zamierzoną, a raczej w owych wa-

runkach czymś w rodzaju „protekcjonalnego poklepania po ramieniu”? Czy byłoby uczciwym przedstawiać jako katów ludzi, którzy – mimo wszystko – okazali mi dobre serce?

Tak, powie nam sympatyk „Wolnej Europy” – mniejsza z tymi dwoma sierżantami, nic nie znaczącymi pionkami, ale ten incydent jest jednak oskarżeniem całego systemu.

Po części chyba tak, ale tylko po części. Nie mam teraz czasu na to, by kusić się o wyczerpującą charakterystykę radzieckiego więziennictwa, choć mam osobiste długoletnie doświadczenie i obserwacje. Przede wszystkim nie zawsze było jednakowo. Podczas mojego trzeciego uwięzienia było bez porównania lepiej niż podczas pierwszego i drugiego, zwłaszcza w pierwszych jego latach. Bardzo uciążliwym był system trzymania w jednej celi więziennej lub w jednym obozie spokojnych ludzi razem z żulikami, którzy ich okradali, nieraz znęcali się nad nimi, a w dodatku aż do roku 1948 często byli uprzywilejowani przez administrację obozową czy więzienną. Wiele krwi psuło więźniom rozpowszechnianie po obozach systemu donosicielskiego.

W pierwszych latach wojny było bardzo słabo z wyżywieniem i z umundurowaniem, ale należy uwzględnić to, że wtedy była ogólna nędza i zniszczenie. W latach wojennych było z wyżywieniem po obozach jeszcze gorzej, ale ja o tym wiem tylko ze słyszenia, bo sam wtedy w nich nie byłem. Słyszałem również, że przy końcu wojny i zaraz po wojnie bito podczas śledztwa, szczególnie naszych AK-owców i uczestników różnych antyradzieckich partyzantek: ukraińskiej, litewskiej i białoruskiej. Natomiast księży przy śledztwie nie bito. Słyszałem tylko o pobiciu jednego księdza przy śledztwie. Był on przedtem oficerem, kapelanem wojskowym i traktowano go jak oficera, a nie jako księdza. Za moich czasów nikogo nie bito w obozach. Jedyne wypadek, kiedy przedstawiciel władzy mnie uderzył – to był ów „miłosierny” policzek, który już szczegółowo rozważyliśmy.

Parę razy byłem jeszcze nie tyle bity, co mocno popchnięty przez współwięźniów żulików. A i ja z własnej inicjatywy przyłożyłem rękę do jednego z żulików, który się znęcał nad pewnym staruszką.

Podczas trzeciego uwięzienia nie słyszałem już ani jednego wypadku, by kogokolwiek bito przy śledztwie.

No, ale jakże traktowano księży? Na ogół biorąc jednak nieco lepiej niż przeciętnych innych więźniów. Nie bito ich wcale, a wymyślano im mniej niż innym: tylko pod jednym względem było księżom gorzej niż niektórym współwięźniom. Nie używano księży do cięższych i czystszych robót., np. biurowych. Musieli oni pracować tak jak wszyscy ludzie, z wyjątkiem nielicznych uprzywilejowanych, do których nie dopusz-

czano księży przez dłuższy czas. Dopiero po śmierci Stalina i pod tym względem nastąpiła dla księży zmiana na lepsze, w niewielkim stopniu.

Zresztą, czy można żądać, by państwo komunistyczne okazywało księżom jakieś szczególne względy, tak podczas uwięzienia jak i na wolności? Nie należy żądać zbyt wiele! W Związku Radzieckim głosi się ideał państwa ateistycznego, którego obywatele wszyscy bez wyjątku będą przekonani ateistami, całkowicie oswobodzonymi od tzw. „religijnych zabobonów”.

Ja sam jestem obywatelem radzieckim. Całkiem dobrowolnie przyjąłem obywatelstwo radzieckie, a jak to się stało opowiem w drugiej części niniejszego pisma. Dobrze sobie zdawałem sprawę i z tego, że moja praca duszpasterska może być w najlepszym razie tolerowana, lecz w żadnym razie popierana przez władze państwowe.

Oczywiście, wszyscy ludzie wierzący, a jest ich w Związku Radzieckim bardzo wielu, są zainteresowani w tym, aby polityka władz państwowych była tolerancyjna. Otóż właśnie pod tym względem wywiera szkodliwy wpływ jednostronna propaganda antyradziecka, zwłaszcza na temat prześladowania religii, wiary, Kościoła i duchowieństwa.

Trzeba sobie zdać sprawę z dwóch rzeczy:

– Po śmierci Stalina w Związku Radzieckim dokonano bardzo wielkiej, choć oczywiście względnej liberalizacji całego systemu.

– W społeczeństwie rosyjskim zawsze były i są silne tradycje i tendencje absolutystyczne.

Rosja to nie Polska. U nas gdy Mieszko Stary próbował rządów silnej ręki, to go wypędzono z Krakowa. Gdy później Jan Kazimierz z Marią Ludwiką próbowali zaszcześcić w Polsce „absolutum dominium” na wzór francuski, to zakończyło się abdykacją samego Jana Kazimierza. W Rosji absolutystami czystej krwi byli najznakomitsi monarchowie: Iwan Groźny, Piotr Wielki, Mikołaj I, a ostatnio Józef Dżugaszwili, czyli Stalin. Natomiast Lenin nie był zwolennikiem absolutyzmu ani w teorii, ani w praktyce. Zorganizowana przez niego dyktatura proletariatu nie jest równoważna z absolutną władzą jednego człowieka. Nie trzeba jednak zapominać o równoczesnym występowaniu w historii Rosji tzw. „sobornosti”, poczynając od historii Wielkiego Nowogrodu.

Tak czy inaczej, w Rosji wszelka liberalizacja może się bardzo łatwo zakończyć odwrotem nawet od bardzo względnego liberalizmu do absolutyzmu władzy państwowej lub – jak teraz – partyjnej.

I jeszcze jedno trzeba uwzględnić. W Związku Radzieckim istnieje bardzo wielka – ryzykowałbym nawet twierdzenie, że przesadna – wrażliwość na opinię zagranicy. Pod tym względem w Rosji zdaje się, że niewiele się zmieniło od czasów Mikołaja I. Czytałem, że ten car, przed któ-

rym drżała cała Europa, omal nie płakał, kiedy się dowiedział, że pewien francuski literat – nie pamiętam już jego nazwiska – napisał o nim po odwiedzeniu Rosji, że ma on wielki brzuch, który usiłuje bezskutecznie ukryć pod przesadnie obcisłym mundurem.

Obecny rząd ma w Związku Radzieckim opinię względnie liberalnego. Przesadna krytyka osłabia taką opinię i wzmacnia tendencje absolutystyczne. Nie chodzi o to, by chwalić. To mogłoby nieraz zakrawać na ironię. Umiarkowana krytyka nie pozbawiona pewnej nuty życzliwości bodaj najlepiej służy utrwaleniu tendencji liberalnych, a w związku z tym i wzmocnieniu tolerancyjności w sprawach religijnych.

A co do tendencji absolutystycznych, też nie należy przesadzać w obawie przed nimi. Czy wiecie, kiedy ja najlepiej poczułem swoją siłę wobec absolutystycznych zapędów pewnego kacyka? Było to jeszcze w 1940 r. podczas mojego pierwszego uwięzienia. Jeden z moich sędziów śledczych był niewątpliwie mało inteligentny, a przy tym chamowaty. Był to zresztą jedyny sędzia śledczy, któremu mógłbym wystawić tak mało pochlebną cenzurę. Wszyscy inni byli znacznie mądrzejsi i kulturalniejsi od niego. Otóż ów sędzia śledczy nawet nie umiał prowadzić śledztwa i raz po raz zapędzał je w ślepy zaułek. Choć ja mu powiedziałem wszystko, co można było odpowiedzieć na to lub inne pytanie, on żądał, bym powiedział jeszcze więcej, a rzeczywiście nie było nic więcej do powiedzenia czy do ukrycia przed nim. Raz po raz mówił „nadumajties” – „namyślcie się”, sam czytał gazety, a ja siedziałem w kącie pokoju na taborecie i zamiast „nadumywać się” cichutko na palcach odmawiałem różaniec. Tak było przez dobrych parę dni, aż wreszcie mój sędzia śledczy coś zauważył. Wysunął głowę spod gazety i zapytał się: „A co wy tam robicie?” Ja: „Modlę się do Boga”. On (zrywa się z miejsca i wrzeszczy na całe gardło): „Tutaj zabrania się modlić do Boga!” Ja: „Niech się pan uspokoi. W przyszłości będę się tak modlić, żeby pan tego nie zauważył”.

Przemoc ma także swoje granice. Któż może mi zabronić się modlić? Ten najwyżej może się tylko sam ośmieszyć. Modlić się można naprawdę zawsze i wszędzie, byle tylko była dobra wola ku temu. Ciało można zamknąć i nawet całymi latami trzymać w pojedynczej celi więziennej, lecz nie uwięzi się ducha, który i stamtąd znajduje drogę wprost do Boga.

Prześladowanie wiary nie jest największym niebezpieczeństwem. Jest nim odseparowanie dzieci i młodzieży, by one nigdy nie miały możliwości poznać Boga. Wprawdzie łaska Boża niepojętymi dla nas drogami dociera i do takich jednostek, tym niemniej sam Syn Człowieczy Jezus Chrystus woła do nas: „Żniwo wielkie – robotników mało. Proście tedy Pana żniwa, aby posłał robotników na żniwo swoje”.

## DO MOICH PRZYJACIOŁ ŚWIECKICH

Łączą mnie z Wami więzy krwi, przyjaźni, idei.

Więzy krwi: jest to moim gorącym pragnieniem, by te słowa zechcieli przeczytać wszyscy moi krewni. Może nie wszyscy są zainteresowani problematyką wschodnią, ale wszyscy interesujecie się moją osobą, a może przez tę lekturę choć troszkę się u Was pogłębi i jedno, i drugie.

Więzy przyjaźni: przyjaźni nie byle jakiej, bo długoletniej, wypróbowanej całym życiem. Tą drogą opracowuję część pisma z myślą przede wszystkim o Przyjaciółach z naszego Koła. Znam tylko jedną organizację, która w tym stopniu stworzyła warunki na całe życie... Jest nią założona przez Wincentego Lutosławskiego organizacja Elsów. Wiem dobrze, co interesuje naszych Kołowiczów i będę się starał to właśnie choć pokrótce omówić. Ale i moi przyjaciele spoza Koła znajdą w tym piśmie coś więcej niż same tylko momenty osobiste. I to tak świeccy jak i duchowni, do których bezpośrednio będzie jeszcze skierowana trzecia i ostatnia część tego pisma.

Więzy idei: oczywiście, że najgłębsze są więzy wiary religijnej. Jednak są i inne elementy ideowe, najczęściej zresztą u nas natchnione chrystianizmem. Prawdopodobnie ogromna większość czytelników będzie bliska obliczu ideowemu autora tych słów. Gdyby to jednak czytał mój przeciwnik ideowy, pragnąłbym tylko jednego: uznania, że jestem przeciwnikiem uczciwym. Tym, którzy te sprawy rozumieją głębiej dodam, że dla mnie Chrystusowe przykazanie miłości nieprzyjaciół nie jest jakąś piękną utopią, lecz czymś *w najwyższym stopniu realnym i życiowym*.

Bywają momenty w życiu przełomowe. Przeszłość kończy się bezpowrotnie, wkracza przyszłość całkiem nowa. Często uświadamiamy sobie tę przeszłość nie od razu, lecz znacznie później.

W moim życiu były dwa momenty przełomowe, od razu najzupełniej uświadomione. Jeden zdarzył się w styczniu 1945 r., a drugi o 10 lat później – w czerwcu 1955 r. Pierwszy zdarzył się niezależnie od mojej woli, drugi z całkowitym udziałem mojej woli – ale oba przełomowe i oba od razu w pełni przeze mnie uświadomione.

Dnia 22 stycznia 1945 r. wyjeżdżaliśmy z Łucka w trójkę: Ksiądz Biskup Adolf Piotr Szelażek, Ksiądz Kanonik Karol Gałęzowski i ja. Było to po naszym aresztowaniu, które nastąpiło w nocy z 3 na 4 stycznia tegoż roku. 18 dni trwało wstępne śledztwo i właśnie 22 stycznia wywożono nas na dalsze właściwe śledztwo z Łucka do Kijowa. Jasną jest rzeczą, że jechaliśmy cały czas pod konwojem. Ksiądz Biskup otrzymał w samochodzie najlepsze miejsce koło szofera, a myśmy z Ks. Gałęzowskim siedzieli na tobołkach wprost na platformie ciężarowego samochodu. Był przepiękny słoneczny, z lekka mroźny dzień zimowy. Posadzono nas na platformie w ten sposób, że siedzieliśmy tyłem do szofera.

Wyjeżdżamy z Łucka. Przejechaliśmy most na Styrze. Jedziemy przez przedmieście zwane Krasnem, gdzie jeszcze przed kilkoma miesiącami było nasze łuckie Seminarium Duchowne. Siedząc w samochodzie oglądaliśmy panoramę miasta. Stąd, z Krasnego, miał ją oglądać i zachwycać się nią goszczący w Łucku u Witolda cesarz Zygmunt Luksemburczyk w 1429 r. Stąd ma się wywodzić sama nazwa Krasne. Nad niebem góruje kopuła naszej katedry – w promieniach słońca lśni pięknie złotawym blaskiem. Stopniowo znikają z oczu zabudowania miasta, lecz wciąż jeszcze widoczna jest kopuła katedry. Wreszcie znika i ona...

Patrząc z samochodu więziennego na stopniowo znikający nam z oczu ŁUCK wraz z całą kopułą naszej katedry, jasno pojąłem, że Łuck to przeszłość bezpowrotnie miniona w moim życiu i w dziejach Polski współczesnej. Co przyniesie przyszłość? Coś całkiem nowego.

Teraz jedziemy do Kijowa<sup>4</sup>, a potem zapewne jeszcze o wiele dalej na wschód. Tam na wschodzie jest moja przyszłość życiowa. Z woli Opatrzności Bożej. Obym godnie ją wypełnił.

W czerwcu 1955 r. moje warunki życiowe były już całkiem inne niż w styczniu 1945 r. Od 10 miesięcy na wolności w Karagandzie. Zostałem tam administracyjnie zesłany po ukończeniu 10-letniego więzienia, które trwało dokładnie 9 lat, 7 miesięcy i 6 dni, bo odliczono mi pięć miesięcy za dobrą robotę, choć prawdę mówiąc – prawie nigdy nie poczuwałem się do tego, bym był dobrym robotnikiem. Opatrzność Boża działa nie raz i przez ateistów, którzy zesłali mnie tam, gdzie ksiądz był potrzebny. Już w sierpniu 1954 r. wiedziałem że czeka mnie tam niezmiernie wielka praca duszpasterska. Zesłaniec, podobnie jak i obozowiec, ma ścisły obowiązek pracować dla rządu. Wziąłem taką pracę, która dawała mi stosunkowo dużo wolnego czasu na pracę duszpasterską. Pracowałem

---

<sup>4</sup> Zob. Ks. Władysław Bukowiński, *Wspomnienia z więzienia o Księdzu Biskupie Adolfie Piotrze Szelażku*, [w:] Tenże, *Do moich Przyjaciół. Fragmenty spuścizny piśmienniczej*, Biały Dunajec–Ostróg 2001, s. 11–25.

co drugą noc jako stróż nocny na obiektach budowlanych. Pracy kapłańskiej, oczywiście po domach prywatnych, było na początku wiele, jak nigdy przedtem i potem w moim życiu. Ogromna większość spowiedzi była generalnych z całego życia.

Jako zesłaniec miałem obowiązek co miesiąc meldować się w komendanturze, bez pozwolenia której nie miałem prawa wyjeżdżać z Karagandy. Komendantem tym był starszy lejtnant Kazach. Przy comiesięcznych meldunkach wypytywał się on dokładnie każdego zesłańca o warunki jego życia i pracy. Była to obowiązkowa spowiedź miesięczna, jak dowcipnie mawiał wśród licznych jeszcze wtedy zesłańców–Polaków.

Przy owym meldunku po trzech czy czterech miesiącach, gdy – jak zwykle – „wyspowiadałem się” z tego, gdzie mieszkam i pracuję, pan komendant nagle rzekł: „Wszystko to dobrze, ale powiedzcie jeszcze, jak wam idzie wasza praca duszpasterska?” Już skądś się o niej dowiedział. „Dziękuję panu – odparłem – także i praca duszpasterska idzie mi nieźle”. Odtąd przy meldunku głównym przedmiotem „miesięcznej spowiedzi” była owa – tak stale przez komendanta nazywana – praca pasterska. Muszę jednak przyznać, że ów Kazach był raczej dobroduszny i nie stawił zbyt niedyskretnych pytań. Zesłańcy polscy oczekiwali wtedy na repatriację do Polski, jednak długie miesiące bezskutecznie. Aż wreszcie w czerwcu 1955 roku (którego to było czerwca – nie pamiętam) gruchnęła upragniona wieść: „Dzisiaj zapisują na repatriację”. Kto żyw szedł co prędzej do komendantury.

Ja nie miałem powodu się spieszyć i poszedłem dopiero wieczorem tego dnia. Komendant nawet mnie nie „spowiadał”, tylko zapisał meldunek i natychmiast odesłał do kapitana – prawdopodobnie Rosjanina – który przyjmował zapisy na repatriację.

Między mną a tym kapitanem odbyła się następująca rozmowa: kapitan po sprawdzeniu moich personaliów: Obywatelu Bukowiński, proponujemy wam repatriację do Polskiej Republiki Ludowej”. Ja: „Witam z radością decyzję rządu radzieckiego o repatriacji Polaków, na którą oczekiwało tysiące moich rodaków, lecz ja sam osobiście pragnę pozostać w Związku Radzieckim”. Kapitan: „A tak, wam przysługuje także prawo pozostania w Związku Radzieckim”.

W tym momencie zobaczyłem u kapitana na biurku 2 spisy: jeden bardzo długi zgłaszających się do repatriacji a drugi całkiem krótki, jak to dokładnie spostrzegłem. Moje nazwisko było trzecim w tym spisie... Wtedy to definitywnie stałem się obywatelem Związku Radzieckiego.

Tak prosto i zwyczajnie dokonał się ów drugi moment przełomowy w moim życiu. Tym razem ja sam dobrowolnie pokierowałem swym życiem doskonale zdając sobie sprawę z podjętej decyzji.



Jedną z konsekwencji tej decyzji poniosłem trzy lata później, kiedy to 3 czerwca 1958 roku zostałem aresztowany po raz trzeci w moim życiu, a 25 lutego 1959 roku sądzony po raz pierwszy w życiu, gdyż przy pierwszych dwóch aresztowaniach wyroki były administracyjne, a nie sądowe.

Do owego jedynego w moim życiu sądu wrócimy jeszcze w trzeciej części tego pisma. Teraz omówimy tylko jeden *epizod sądu*, który wydaje mi się bardzo charakterystyczny.

Sądziło mnie kolegium obwodowego sądu w Karagandzie. Główny sędzia zrobił na mnie wrażenie bardzo pozytywne. Najprawdopodobniej był to prawnik, człowiek rzeczowy i taktowny. Obok niego dwoje asesorów. Asesorka wyglądająca na nauczycielkę wyraźnie mi sprzyjała. Natomiast asesor pozostawił wrażenie człowieka mało inteligentnego i bardzo nie lubiącego popów”. O ile główny sędzia i asesorka rozmawiali ze mną grzecznie i dość swobodnie, o tyle asesor milczał napuszony odzywając się tylko jeden raz. A było to tak:

Główny sędzia zapytał się dlaczego nie skorzystałem z repatriacji i pozostałem w Związku Radzieckim? Odpowiedziałem, że uczyniłem to ze względów ideowych, dla pracy duszpasterskiej wśród tak bardzo jej potrzebujących, a nie mających swoich kapłanów wierzących katolików Związku Radzieckiego. Tu moja odpowiedź najwidoczniej wyprowadziła z równowagi pana asesora. Otworzył on swoje usta i rzekł:

„Co wy nam gadacie o jakichś względach ideowych? Jasną jest rzeczą, że wy zostaliście w Związku Radzieckim tylko ze względów materialnych. Wyście sobie obliczyli, że za wasze ‘treby’ (chrzty, śluby, pogrzeby, czyli iura stolae) uzyskacie większy dochód w Związku Radzieckim, niż byście mogli uzyskać w Polskiej Republice Ludowej i dlatego zostaliście w Związku Radzieckim. A nam ‘ne puskajcie pył w głaza’ (nie sypcie piasku w oczy)”.

Na tę filipikę odparłem stante pede: „Gdybym kierował się względami materialnymi, to byłbym – proszę mi darować ostre słowo – idiotą pozostając w Związku Radzieckim. W Polsce otrzymałbym kościół parafialny ze stałym dochodem, mógłbym w nim legalnie i spokojnie pracować, a w Związku Radzieckim muszę siedzieć na ławie oskarżonych”.

Pan asesor zamilkł i więcej już do końca sądu nie otworzył swoich ust. Są ludzie, którzy nie chcą uznać, że nawet pogardzany „pop” może się kierować w życiu względami ideowymi. Daleki jestem od wyniosłego poniżania względów materialnych, zwłaszcza w życiu ludzi rodzinnych. Ale mówiąc stylem biblijnym – biada człowiekowi zapominającemu o słowach Zbawiciela, iż: „nie samym tylko chlebem żyje człowiek, ale wszelkim dobrem, które pochodzi z ust Bożych”.

Tak więc spełniła się moja intencja z dnia 22 stycznia 1945 r. Już długie lata mieszkam i pracuję na wschodzie, a to nie tylko w skali polskiej, ale nawet i w skali radzieckiej. Wszak we wschodniej, azjatyckiej części Związku Radzieckiego leżą zarówno sama Karaganda, jak i wszystkie inne miejscowości, które odwiedziłem podczas moich podróży misyjnych. Praca duszpasterska tak w Karagandzie z bliższą okolicą jak i na „misjach” będzie głównym tematem trzeciej części tego pisma.

Już teraz przypomnę, że moje zesłanie administracyjne do Karagandy trwało tylko pierwsze niecałe dwa lata. Wtedy cała praca duszpasterska odbywała się tylko w Karagandzie i nie mogło być mowy o żadnych podróżach misyjnych.

W maju 1956 r. zostałem zwolniony z zesłania i otrzymałem paszport, jako już pełnoprawny obywatel Związku Radzieckiego, który może się poruszać swobodnie bez niczyjego zezwolenia po całym ogromnym terytorium tego państwa, byleby tylko miał paszport przy sobie.

Wkrótce zwolniłem się z pracy stróża nocnego w przedsiębiorstwie budowlanym i jeszcze w tym samym 1956 roku odbyłem trzy pierwsze, na razie niedalekie podróże misyjne, by w następnych latach 1957 i 1958 osiągnąć szczyt częstotliwości i zasięgu całego dotychczasowego mojego misjonarstwa.

Tak się złożyło że żyję i pracuję na wschodzie, ale nie na historycznych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Terytorium Kresów Wschodnich wchodzi obecnie w skład trzech radzieckich republik związkowych: litewskiej, łotewskiej i ukraińskiej, nie licząc Białostoczczyzny i Smoleńszczyzny, należących do Polski, względnie do Federacji Rosyjskiej.

Pamiętamy wszyscy bardzo dobrze, jak wiele rozmawialiśmy w naszym Kole o unii i idei jagiellońskiej. Powierzchnie rzecz biorąc mogłoby się zdawać, że idea jagiellońska jest dziś całkowicie zdezaktualizowana na rzecz triumfującej idei piastowskiej. Nic błędniejszego od takiego postawienia sprawy. Idea jagiellońska jest to pewien sposób, czy raczej pewien styl regulowania stosunków Polski i Polaków z najbliższymi sąsiadami, zwłaszcza od wschodu. Chodzi tu właśnie o Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Łotyszów, lecz nade wszystko Rosjan. A któż zaprzeczy, iż stosunki polsko-rosyjskie nie są dziś boleśnie obłudne.

Moje obserwacje odnoszą się głównie do Rosjan, Litwinów i Ukraińców, więc ograniczę się tylko do nich, co mi już zechcą wybaczyć pominięci przeze mnie Białorusini i Łotysze. Zacznę od Rosjan.

Byłoby błędem stuprocentowym utożsamiać Związek Radziecki z Rosją, ale byłoby jeszcze o wiele większym błędem dopuszczać do po-

chłonięcia Rosji przez Związek Radziecki, nie dostrzegać specyfiki rosyjskiej poprzez prymat Związku Radzieckiego.

Pierwsza zasadnicza uwaga: nic nie ma bardziej zabójczego dla stosunków polsko-rosyjskich jak niewola, a nawet daleko idąca zależność Polski od Rosji. No tak, ale jakże się odnosi współczesny Rosjanin do Polski, do Polaków?

Nie może tu być jednoznacznej odpowiedzi. Trzeba najpierw odróżnić wśród Rosjan pokolenie stare, już odchodzące, od pokoleń młodszych. Wśród starych Rosjan są jeszcze widoczne reminiscencje długoletniego antagonizmu polsko-rosyjskiego, nieuleczalnego, z czasów carskich. Odnoszą się oni do Polaków nieufnie, widząc w nas co najmniej potencjalnych wrogów Rosji.

W młodszym pokoleniu współczesnych Rosjan dominującą postawą jest obojętność. Sprzyja jej bardzo słaba znajomość historii i jednostronny techniczno-matematyczny kierunek radzieckiego szkolnictwa. Jeżeli w dodatku taki młody Rosjanin nie ma bliższych znajomych wśród Polaków i Polek, to Polska i Polacy obchodzą go mniej więcej tyle co Australia i Australijczycy.

Nie znaczy to jednak, że ta dominująca postawa obojętności jest w młodym pokoleniu Rosjan postawą wyłączną i jedyną. Także i wśród młodych Rosjan spotyka się ludzi niechętnie do Polski i Polaków usposobionych. Tylko że źródło ich niechęci jest całkiem inne niż u starych Rosjan. Ci niechętni nam młodzi Rosjanie mówią o nas: „Poliaki wsie pany, polskije komunisty toże samyje pany”.

Ale wśród młodych Rosjan są i tacy, a wcale nie nieliczni, którzy są do Polski, do Polaków usposobieni przyjaźnie, a nawet bardzo przyjaźnie. Pociąga ich do nas przede wszystkim kultura towarzyska. Uważają, że Polacy to ludzie kulturalni i dobrze wychowani, z którymi się warto zaznajomić, a nawet zaprzyjaźnić. Konsekwentnie ci nasi współcześni „przyjaciele Moskale” bardzo się interesują Polską, a zwłaszcza polską kulturą, a nieraz długie lata marzą o tym, by pojechać do Polski.

Byłoby z naszej strony niewybaczalną głupotą, gdybyśmy tych „przyjaciół Moskali” nie dostrzegli, lekceważyli lub, co gorsza, zrażali do siebie.

Powinniśmy w stosunkach z Rosjanami jak ognia wystrzegać się dwóch skrajności:

1. uniżoności i służalczości, która może wywołać tylko całkiem zasłużoną pogardę;

2. wywyższania się zwłaszcza zaś pod względem kulturalnym. Takie zdania jak np. „My Polacy reprezentujemy najwyższą zachodnioeuropej-

ską kulturę, do poziomu której Rosji i Rosjanom daleko” doprowadzają każdego Rosjanina, zwłaszcza inteligenta, zależnie od jego temperamentu do rozgoryczenia lub wściekłości. Powie on lub pomyśli: „To my, Rosjanie, według was jesteśmy barbarzyńcami? A więc Puszkina, Tołstoj, Mendelejew czy Pawłow to barbarzyńcy?”

Przepiękny wzór taktu okazał w tej sprawie Prezydent Italii Jan Gronchi podczas wizyty w Moskwie. Mimochodem nadmienię, że prezydent Gronchi, poprzednio długoletni działacz katolickich związków zawodowych, reprezentował w pewnym znaczeniu także i katolicyzm, a wraz ze swą małżonką był na Mszy św. w kościele katolickim w Moskwie. Otóż prezydent Gronchi w mądrym i głęboko przemyślanym przemówieniu podkreślił, że przybywa z Rzymu – tego powszechnie uznanego ośrodka kultury europejskiej. Przybywa do Moskwy, którą można uznawać za spadkobierczynię drugiego ośrodka europejskiej kultury, jakim w swoim czasie było Bizancjum. Ta bliskość kulturowa (lecz dodam od siebie: nie tożsamość) niech – mówił dalej – opromieni wizytę prezydenta Italii w stolicy Rosji – a obecnie i całego Związku Radzieckiego. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, żebyśmy i my, Polacy, umieli tak mądrze i taktownie rozmawiać z Rosjanami, a zwłaszcza z tymi, którzy naprawdę szczerze uważają się za naszych przyjaciół.

Od Rosjan przechodzę zaraz do Litwinów. Tu przede wszystkim nie należy zapominać, że wszyscy oni, zwłaszcza w starszym pokoleniu, mają wobec Polski i Polaków pewien uraz psychiczny na tle Wilna. Musimy sobie jasno postawić alternatywę: albo cała Litwa, albo jedno Wilno. Co jest ważniejsze? Czy dobre stosunki z całym narodem litewskim, czy posiadanie miasta Wilna? Sądzę – niech mi to wybaczą wszyscy rodowici Wilnianie – że dobre stosunki polsko-litewskie są dla nas ważniejsze od samego tylko Wilna.

Lecz na czym mają polegać te dobre stosunki polsko-litewskie, dla których mamy się wyrzec Wilna, z jego jakże wielką i bogatą nie tylko litewską, ale i polską tradycją historyczną?

Czy tu chodzi o wznowienie unii jagiellońskiej? Nie, bo to jest zupełnie nierealne. Współcześni Litwini nie marzą o wznowieniu unii z Polską, ani o pozostawieniu Litwy w Związku Radzieckim aż do końca świata. Ich politycznym ideałem jest koncepcja federacji bałtyckiej: litewsko-łotewsko-estońskiej, a może nawet i fińskiej.

W 1961 roku w obozie dla „religiozników” my polscy księża, tzn. Bronisław, Józef i ja, prowadziliśmy bardzo szczerze interesujące rozmowy z litewskimi księżmi. Oni wyraźnie mówili, że nie chcą wznowienia unii Litwy z Polską – nawet gdyby to było realnie możliwe – bo się jej

obawiają. Ich zdaniem Rosjanie mogą fizycznie zniszczyć mały przecież i nieliczny naród litewski, ale nie zrusyfikują go. Natomiast Polacy nie zniszczą fizycznie Litwinów, lecz spolszczą. Dość już, że Litwini w swoim czasie stracili całą swoją szlachtę, która uległa zupełnej polonizacji. Żaden Litwin nie może dopuścić niebezpieczeństwa polonizacji całego narodu litewskiego, które zaistniałoby w wypadku wznowienia unii Litwy z Polską. Właśnie dlatego, że Polacy są bardzo mili, towarzyscy, stąd wynikałoby największe niebezpieczeństwo dla samego istnienia narodu litewskiego, w warunkach wznowionej unii obu narodów.

Choć ich ideałem jest federacja bałtycka, nie grożąca Litwinom wy-narodowieniem, to jednak księża litewscy są zdania, że w przyszłości, gdy tylko ku temu zaistnieje możliwość, powinny się rozwinąć i pogłębić wzajemne stosunki na polu kościelnym, które właściwie w skali między-narodowej były dotąd prawie żadne. Tylko jak długo te stosunki kościel-ne, łączność katolicka obu narodów, nie będą mieć warunków do ich urzeczywistnienia?

Współczesny naród ukraiński nie jest narodem jednolitym, jakim jest naród litewski, lecz jest narodem wewnątrznie podzielonym i zróżni-cowanym. Tu nie chodzi o takie różnice, jakie są w każdym narodzie, jak np. u nas między krakowiakami a góralami lub między Ślązakami a Ka-szubami czy Mazurami. Odnosi się wrażenie, że naród ukraiński wciąż się jeszcze rodzi wśród niemałych mąk porodowych.

Z grubsza mówiąc, odróżnia się obecnie wśród Ukraińców:

1. starych obywateli radzieckich, mieszkańców „Wielkiej Ukrainy”,
2. tzw. „zapadników”, pochodzących z zachodnich („zapadnych”)

obwodów Ukraińskiej Republiki Radzieckiej. Wśród nich należy jeszcze odróżnić:

- a) Galicjan, a raczej Haliczjan,
- b) Wołyniaków,
- c) mieszkańców Zakarpacia.

Oprócz tego są jeszcze Ukraińcy na Bukowinie i w Besarabii, ale o nich prawie nic nie słyhać. Podział na Haliczjan i Wołyniaków ma swo-je uzasadnienie jeszcze z czasów Księstwa Halickiego i Włodzimierskie-go, z których pierwsze obejmowało późniejszą Galicję, a drugie Wołyń.

Szczególnie charakterystycznym i znamienym jest podział Ukraiń-ców, starych obywateli radzieckich, na świadomych Ukraińców i tzw. „chochołów”. „Chochoł” jest przezwiskiem Ukraińca, jak „kacap” Rosja-nina. Rosjanin obraża się, jeżeli go nazwać „kacapem”. Ukrainiec, ale ten świadomy, obraża się, jeśli go nazwać „chochołem”. Tymczasem cho-choł sam o sobie powie „chochoł” i nigdy nie mówi, że jest Ukraińcem.

Któż to jest, ten zagadkowy „chochoł”? Jest to Ukrainiec, ale całkowicie zruszczony. Mówi on bardzo dobrze po ukraińsku, często niemiłosiernie kaleczy język rosyjski ale woli się nie przyznawać, że jest Ukraińcem. Woli się sam nazwać i być nazwany „chochołem”. Takich „chochołów” są miliony. Nie ma ich wcale wśród „zapadników”. Rzecz znamienita, granica między „chochołami” a świadomymi Ukraińcami przebiega mniej więcej po wschodniej granicy dawnej przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Chochoł stanowi typ bodajże dominujący na wschód od owej granicy w Charkowszczyźnie, Tumszczyźnie i w Donbasie. To nie znaczy, że tam nie ma naprawdę świadomych Ukraińców, ale są oni tam raczej zmajoryzowani przez „chochołów”.

Cała przyszłość narodu ukraińskiego zależy od pytania, co w nim przeważa? Czy ukrajinizacja owych chochołów, czy też raczej chochołozacja Ukraińców?

Wobec tak wielkiego rozbitcia wewnętrznego w tym narodzie, trudno mówić o jakimś jednolitym stosunku Ukraińców do Polski i Polaków. Najbardziej pozytywnie odnoszą się do nas Ukraińcy z Zakarpacia. Całe wieki byli pod Węgrami, a w okresie międzywojennym należeli do Czechosłowacji. Nie ulegają oni wpływowi wojującego nacjonalizmu ukraińskiego i są głębiej od innych rodaków przesiąknięci kulturą zachodnią.

Na ogół dobrze odnoszą się do nas Wołyniacy i to pomimo tragicznych ekscesów przeciwko Polakom podczas drugiej wojny światowej.

Przeciętny Wołyniak starszego pokolenia dobrze wspomina rządy polskie na Wołyniu, które tam trwały zaledwie 19 lat (1920–1939). W rozmowach ze mną już po wojnie wielu Wołyniaków podkreślało, jak im się dobrze żyło za Polski, jak ich grzecznie traktował sam pan starosta powiatowy, chwalili przeprowadzoną wówczas komasację gruntów. Zastrzeżenia mieli głównie wobec szkolnictwa, a zwłaszcza ubolewali nad tym, że w szkołach uczono dzieci najpierw czytać po polsku, a potem dopiero po ukraińsku. Takie rozmowy utwierdzały mnie w przekonaniu, że rządy polskie na Kresach nie były takie głupie i okrutne, jak to się teraz mówi „pour le roi de Prusse”.

O stosunku Haliczan do Polski i Polaków nie mogę niestety nic powiedzieć. Raczej stosunek ten wydaje się być jeszcze bardziej niechętny od stosunku Litwinów do nas. Jeżeli chodzi o inteligentów Haliczan, to nie ma wśród nich jest chorych na swoistą megalomanię narodową. I u nas przed wojną były rojenia o mocarstwowości. Ale Polska miała już wówczas niepodległość, dość rozległe granice i ponad 30-milionową ludność. Zapominaliśmy tylko o tym, że Polska była zbyt słaba pod względem ekonomicznym, by mogła poważnie kusić się o mocarstwowość.

Tymczasem niepodległej Ukrainy jeszcze nie ma. Oni sami nie chcą uznać i nie uznają Ukrainy Radzieckiej za niepodległą. Mają na swych plecach wielomilionowy garb całkowicie zruszczonych „chochołów”. A jednak upajają się wizją mocarstwowej Ukrainy, już nie od Bugu i Sanu, lecz od Lublina i Krakowa aż po Kaukaz. Na podstawie tej swojej, trzeba przyznać to, fantastycznej wizji – owi halicyjscy wizjonerzy patrzą na nas Polaków lekceważąco, z wysokości swego urojonego majestatu. Oczywiście, że przy takiej postawie nie da się zbudować jakichś lepszych stosunków polsko-ukraińskich.

O wiele poważniej traktują Polskę i Polaków Ukraińcy z Kijowszczyzny i Półtowszczyzny, w ogóle z tzw. Wielkiej Ukrainy. Widzą oni w Polakach cennych i pożądanym sprzymierzeńców w walce o lepsze jutro swego narodu. To filopolskie stanowisko wielu Ukraińców nie zawsze bywa zarazem antyrosyjskie, ale zawsze łączy się z postawą antychocholską.

Bo o „chochołach” nie mam wiele do powiedzenia. Chochoł jest zapatrzony w Moskwę. Im więcej go fascynuje Moskwa, tym mniejsze, a w końcu i żadne znaczenie ma dla niego Warszawa czy Kraków.

Jeżeli mówimy o wewnętrznym rozbiciu narodu ukraińskiego, to rząd stalinowski dołał jeszcze oliwy do ognia kasując unię kościelną w 1946 roku na wzór kasaty unii za cara Mikołaja I w roku 1839. Wówczas rząd carski znalazł biskupa unickiego Józefa Siemaszkę, który to przeprowadził. Teraz rząd stalinowski nie znalazł wprawdzie ani jednego biskupa grekokatolickiego, ale znalazł we Lwowie prałata Gabriela Kostelnika, który stanął na czele tzw. inicjatywnej grupy dla powrotu na łono cerkwi prawosławnej. Odtąd na Ukrainie działa cerkiew prawosławna, która oficjalnie wchłonęła w siebie kościół grekokatolicki i wszystkich grekokatolików. Działają też poszczególne kościoły katolickie, ale wyłącznie tylko w obrządku łacińskim. Choć bardzo wielu grekokatolików wcale się nie uważa za prawosławnych, to nie ma teraz ani jednego czynnego kościoła grekokatolickiego. Większość tych kościołów zostało oddanych do użytku prawosławnym, niektóre stoją w ogóle zamknięte i nieczynne. Jeden z halickich inteligentów mówił mi kiedyś z rozgoryczeniem: „My Ukraińcy grekokatolicy jesteśmy na Ukrainie w gorszym położeniu niż wy Polacy. Wy macie choć trochę własnych kościołów, a my nie mamy ani jednej czynnej cerkwi grekokatolickiej”.

Co do księży grekokatolickich, to jedni z nich – nieliczni na Zakarpaciu, liczniejsi niestety w Galicji – „powrócili” do prawosławia i stali się jego apostołami; drudzy, na czele ze wszystkimi biskupami, na odwrót: pozostali wyznawcami wiary katolickiej i odcierpieli długoletnie więzie-

nie, dochodzące u niektórych do 10 lat. Byli i tacy, co pozostali przy katolicyzmie, lecz szczęśliwie uniknęli więzienia.

Do Polski i Polaków księży grekokatolicki z Galicji odnosili się lepiej i pozytywniej niż świeccy inteligenci. Jednak i wśród nich są tacy, którym uderza do głowy wizja mocarstwowej Ukrainy. Natomiast grekokatolicki księża zakarpaccy odnoszą się do nas nie tylko dobrze, ale wręcz serdecznie.

W tych warunkach nic dziwnego, że na Ukrainie panuje zamęt i wcale nie można określić, jak wielkie straty poniósł Kościół Katolicki i jak wielu przekonanych wyznawców zyskała cerkiew prawosławna.

Wreszcie nie trzeba zapominać o istnieniu licznej ruchliwej i dobrze zorganizowanej emigracji ukraińskiej na Zachodzie. Szczególnie Kanada jest jej istnym bastionem.

Nie silę się na podawanie jakichś gotowych recept na przyszłość stosunków polsko-ukraińskich. W każdym razie powinniśmy baczniej obserwować ów wrzący Kościół Ukraiński i to, co się z niego stopniowo będzie wylaniało. A tych spośród nich, którzy się do nas odnoszą pozytywnie, nie zrażajmy niewczesnym wspomnianiem ich błędów i okrucieństw, popełnionych w latach międzywojennych.

Tyle jest moich uwag i obserwacji co do narodów objętych ideą jagiellońską. Ale ja sam mieszkam w Kazachstanie i niejednokrotnie spotkałem się z zainteresowaniem odnośnie Kazachów i innych ludów azjatyckich. Chętnie o nich coś powiem.

Kazachska Republika Radziecka obejmuje ogromne terytorium, które dawniej, przed rewolucją, było określane po prostu jako południowo-zachodnia część Syberii. Samych Kazachów nazywano dawniej Kirgizami. Teraz Kirgizami nazywa się tylko mieszkańców Kirgiskiej Republiki Radzieckiej, leżącej na południe od Kazachstanu, dokładnie – nieco na południowy wschód.

Na południe od Kazachstanu rozciąga się obszerne choć mniejsze od samego Kazachstanu terytorium nazywane przed rewolucją Turkiestanem, a obecnie radziecką Azją Środkową. Na tym terytorium, idąc od wschodu do zachodu, mieszczą się cztery republiki związkowe: Kirgiska, Tadżycka, Uzbecka i Turkmeńska.

Wszystkie te narody, a więc Kazachowie, Kirgizi, Tadżycy, Uzbeki, Turkmeni, są to narody muzułmańskie. Kazachowie, Kirgizi, Uzbeki i Turkmeni mówią dialektami języka tureckiego i są zaliczani do turańskiej grupy etnicznej; sądząc z typu fizycznego, Kazachowie i Kirgizi mają silną domieszkę krwi mongolskiej. Jedni tylko Tadżycy należą do innej grupy etnicznej, mówią też całkowicie innym językiem. Są oni aryj-



czykami grupy irańskiej. Ich najbliższymi krewniakami są Irańczycy i Afgańczycy.

Czy muzułmanie trzymają się swojej wiary? Tadźcy i Uzbekcy są z pewnością pobożniejsi od Kazachów. Młodzież zna słabo swoją wiarę, a zapewne znaczna jej część wcale się nie modli. Jednak wszyscy oni wierzą w jednego Boga Allacha, którego największym, ostatnim i nieprześcignionym prorokiem jest Mahomet. Jest rzeczą nader znamionną: rosyjscy żulicy – a nieraz niestety i nie żulicy – rugają się w Boga. Muzułmański żulik może się rugać najgorszymi słowami, ale nigdy i w żadnym wypadku nie ruga się w Boga.

Był czas, że wszystkie meczety w Związku Radzieckim były pozamykane. Radzieckim muzułmanom pomogła wizyta prezydenta Nasera, który sam był pobożnym muzułmaninem. Pootwierano na nowo meczety w większych miastach. Funkcjonują dwa zarządy organizacyjne muzułmańskie: dla Kazachstanu i Azji Środkowej oraz dla europejskiej części Związku Radzieckiego. Po długich latach przerwy wyruszają ze Związku Radzieckiego pielgrzymki do Mekki. Jak powiedział mi łamanym językiem rosyjskim pewien mułła kazachski: „Dawniej było źle, bardzo źle (płochy, oczeń płochy), a teraz jest dobrze, bardzo dobrze (charaszo, oczeń charaszo)”.

Czy tak naprawdę bardzo dobrze, to miałbym poważne wątpliwości. Na pewno jest teraz radzieckim muzułmanom lepiej niż było przed wizytą Nasera.

Obiektem mojej długoletniej już pracy duszpasterskiej i misjonarskiej nie są Rosjanie, ani tym mniej Kazachowie lub Tadźcy. Pracuję przede wszystkim wśród Niemców i Polaków. Cóż to za Niemcy i cóż to za Polacy? Niemcy nie są z Niemiec, a Polacy nie są z Przedwojennej Polski. Owszem, w latach wojennych i powojennych przebywało w tych stronach sporo, jak tu ich nazywano, Polaków z Polski, obywateli polskich, ale dawno już wszyscy oni repatriowali się do obecnej Polski Ludowej – jedni w 1945 roku, drudzy w 1955 i 1956 roku. Wielu też wyjechało ze Związku Radzieckiego wraz z Armią Andersa.

Polacy zamieszkali obecnie w Kazachstanie są przesiedleńcami z obwodu kamienieckiego, żytomierskiego i winnickiego na Ukrainie. W tamtych obwodach do dziś dnia istnieje wielotysięczna Polonia i są czynne niektóre kościoły, jak np. w Szarogrodzie i w Barze, gdzie już czwarty rok są proboszczami Bronisław Drzepecki i Józef Kuczyński. Nasi kazachstańscy Polacy zostali przesiedleni z Ukrainy do Kazachstanu w roku 1936. Zaważył na tej decyzji ówczesny „flirt” rządu sanacyjnego z Hitlerem. Całe młode pokolenie jest urodzone i wychowane w Ka-

zachstanie. Długie lata polscy przesiedleńcy byli pod komendanturą i nie mogli nigdzie wyjeżdżać. Później otrzymali całkowitą wolność poruszania się. Niektórzy wrócili do swych stron rodzinnych na Ukrainie, lecz większość pozostała w Kazachstanie.

Według ostatniego spisu ludności było w Kazachstanie 53 tys. ludności polskiej. Faktycznie jest ich znacznie więcej, bo sporo Polaków jest zapisanych w paszporcie jako Ukraińcy, choć wcale się za Ukraińców nie uważają.

Są trzy główne ośrodki rozmieszczenia ludności polskiej w Kazachstanie:

1. Obwód Kokczetawski i Celingradzki (dawniej Ukmeliński). W tych dwóch obwodach mieszka ogromna większość kazachstańskich Polaków. Jest ich sporo w miastach. Są tu całe wioski z liczną, nieraz przeważającą ludnością polską. Właśnie w obwodzie kokczetawskim pracował ks. Józef Kuczyński, a w obwodzie celingradzkim ks. Bronisław Drzepecki.

2. Okolice Ałma-Aty. Jest tu znaczne skupisko Polaków. W mieście Ałma-Ata, które jest stolicą Kazachstanu, Polaków jest niewiele, ale w okolicy są wioski z liczną, raczej przeważającą ludnością polską.

3. Miasto Karaganda wraz z bliższą okolicą stanowi trzeci, najmniejszy ośrodek Polaków.

Starsi Polacy, około 70-tki, na ogół wcale nieźle mówią po polsku, choć nie bez licznych rusycyzmów i ukrainizmów. Są oni bardzo pobożni. Wielu spośród nich zna na pamięć mnóstwo polskich pieśni religijnych, nieraz bardzo starodawnych i w Polsce już zapomnianych. Średnie pokolenie gorzej, lecz na ogół jeszcze mówi po polsku. Natomiast młodzież mówi po polsku tylko w najlepszych i najbardziej starannych rodzinach. Na ogół jednak cała ta młodzież rozumie polską mowę, lecz już nie rozmawia po polsku. Zdarzają się niestety i tacy, co nawet nie rozumieją swej ojczyźnej mowy. Wśród młodzieży większość nie umie czytać po polsku, choć chętnie się tego uczy, byleby się znalazł tylko elementarz. Natomiast starsi prawie wszyscy czytają po polsku bardzo dobrze z własnej książeczki do nabożeństwa, lecz słabiej z innych książek. Starsi Polacy niemalże wszyscy są wierzący, przeważnie bardzo przywiązani do swej wiary. O stanie religijnym młodzieży pomówimy trochę później. W każdym razie tak starzy jak i młodzi dopóki się trzymają wiary katolickiej są Polakami. Jeżeli zaś zaczynają odchodzić od wiary katolickiej, to rusyfikują się bardzo szybko. Pomalutku zaczyna się tworzyć młoda inteligencja z dzieci naszych Polaków, którzy są wieśniakami lub rzemieślnikami czy robotnikami. Ale ta młoda inteligencja zupełnie jest po-

zbawiona znajomości Polski, jej kultury i historii. To samo zresztą jest na Ukrainie w obwodach, z których pochodzą nasi przesiedleńcy.

Niemców jest w samej Karagandzie i w ogóle w tamtych stronach o wiele więcej niż Polaków. Ci Niemcy są potomkami niemieckich kolonistów osadzonych w cesarstwie rosyjskim za panowania Katarzyny II i jej następców, a więc w drugiej połowie XVIII wieku i w pierwszej połowie XIX wieku. Pod względem wyznaniowym Niemcy w Związku Radzieckim – jak w samych Niemczech – nie są jednolici. Jest wielu luteranów, sporo baptystów, ale też i wielu katolików.

Niektórzy Niemcy przybyli w te strony jeszcze przed rewolucją, lecz ogromna ich większość została tu przesiedlona z europejskiej części Związku Radzieckiego, częściowo jeszcze przed wojną, ale szczególnie podczas wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu. Niemało też Niemców przyjechało w te strony dobrowolnie w latach powojennych.

Kolonizacja niemiecka w cesarstwie rosyjskim była dokonana głównie na dwóch terenach:

1. Na południowej Ukrainie (Odessa, Mikołajów, Chersen, Zaporże).

2. Na Powołżu koło Saratowa. Przeważnie z tych dwóch terenów pochodzą nasi azjatyccy Niemcy. Po dziś dzień mówi się u nas o odeskich i wołżańskich Niemcach (Odessa-Deutsche und Wolga-Deutsche).

Ja pracowałem wśród Niemców, nie tylko w Karagandzie z najbliższą okolicą. Prowadziłem wśród nich pracę duszpasterską podczas moich wypraw rosyjskich w różnych okolicach, a zwłaszcza w Tadżykistanie, o czym opowiem w trzeciej części tego pisma.

Mogę zaświadczyć z całym przekonaniem, że dobrze jest być duszpasterzem Niemców, czyli jak mówią tutejsi ateiści „niemieckim popem”. Niemcy mają we krwi karność i zdyscyplinowanie. Albo wcale nie zapraszają księdza, albo jeżeli już zaproszą, to prawie wszyscy korzystają z jego usług. Natomiast nasze „Polaczki”, jak wszędzie, tak i w Kazachstanie są indywidualistami.

Jeżeli w Kazachstanie Niemiec katolik żeni się z Niemką katoliczką, to zazwyczaj cały miesiąc przed weselem przychodzą do księdza obie mamy i mówią tak: „Wesele będzie tego dnia. Przychodzimy zawczasu, żeby Pater miał czas dobrze przygotować młodych do ślubu (Pater, proszę im dobrze nagadać)” i żeby wspólnie ustalić datę ślubu, oczywiście przed weselem. A tymczasem nasze kochane, „Polaczki” myślą tylko o hucznym weselisku, gęścio zakrapianym wódeczką a o ślubie kościelnym zaczynają myśleć, i to nie wszyscy, dopiero po weselu. Jednym słowem Niemcy są katolikami bardziej konsekwentnymi niż Polacy i dlatego dobrze być ich duszpasterzem.

Polacy przewyższają Niemców pod niektórymi względami. Są bardziej serdeczni i ofiarni. Wszyscy, nie wyłączając młodych inteligentów, całują księdza w rękę a czynią to bardzo chętnie, bez przymusu. Niemcy za wyjątkiem pewnych starszerek nie mają zwyczaju całowania jegomości w rękę. Są bardziej sztywni, choć nie pozbawieni serdeczności. Owszem, są ofiarni, niekiedy bardzo ofiarni, ale Polacy na ogół są jeszcze ofiarniejsi. Wyłącznie z ofiar wiernych już długie lata żyje i utrzymuje się, jak trzeba to i podróżuje, a w dodatku płacę podatek dochodowy, który w 1969 roku wyniósł 1088 rubli, czyli 16 320 złotych. Pewnie, że nie mógłbym sobie pozwolić na kupno samochodu osobowego, ale na wszystko inne wystarcza.

Starzy Niemcy, katolicy, czują się przede wszystkim katolikami, potem dopiero Niemcami. Taki stary Niemiec katolik powiada sobie: „Ich bin Deutsche-Katholisch”, a rzadziej: „Ich bin ein Deutscher”. U młodzieży nie ma już aż takiej przewagi katolicyzmu nad niemieckością. Starzy Niemcy katolicy nawet nie bardzo uważają Niemców luteranów lub baptystów za swych rodaków. Wołają np., by ich dzieci i wnuki wstępowały w związek małżeński z Polakami lub Litwinami, czy też z Polkami i Litwinkami, byleby tylko naprawdę z wierzącymi po katolicku, niż z Niemkami czy Niemcami należącymi do innych wyznań religijnych. Prawie zawsze zaś są przeciwni związkom małżeńskim z Rosjanami lub Rosjankami. Ponieważ przy tym rodziny niemieckie są o wiele bardziej karne i zdyscyplinowane niż rodziny polskie, ich dzieci przeważnie liczą się ze zdaniem rodziców, przeto mieszane małżeństwa niemiecko-rosyjskie są niezbyt częste, a nawet związki małżeńskie z Niemkami lub Niemkami z innych wyznań są rzadsze niż jednolite małżeństwa niemieckie a katolickie.

Niemcy, tak jak Żydzi, wolą być w kupie. W pierwszych latach po wojnie byli bardzo rozproszeni, wszędzie pod komendanturą i musieli żyć tam, gdzie im kazano – nieraz bez swych rodaków, wśród innych narodowości. Ale kiedy po śmierci Stalina oswobodzono ich spod komendantury i przywrócono swobodę ruchów, to nie wracali w swoje strony rodzinne, gdzie teraz jest bardzo mało Niemców, lecz jechali tam, gdzie już po wojnie wytworzyły się większe skupiska ludności niemieckiej.

Tak było w Karagandzie. Kiedy przed 15 laty zostałem zesłany do Karagandy, Niemców było tu stosunkowo niewiele. Tylko na jednym przedmieściu było wielu Niemców z Powołża zesłanych jeszcze w r. 1930, po uprzednim „rozkułaczeniu” ich podczas kolektywizacji rolnictwa. Wśród nich mieszka i pracuje mój sąsiad i przyjaciel, ksiądz prałat Aleksander Chira, były rektor greckokatolickiego seminarium du-

chownego w Użhorodzie na Zakarpaciu. W ciągu ostatnich 15 lat Niemcy zasiedlili całą Karagandę. Zapewne przyjeżdżali także i ze względu na łatwość znalezienia roboty, ale przede wszystkim przyciągało ich to, że w Karagandzie jest wielu Niemców i katolików, a zwłaszcza to, że są księża katolicy w naszym mieście.

Niczego podobnego nie obserwowałem nigdy wśród Polaków. Żyd ciągnie do Żyda, Niemiec do Niemca, ale Polak rzadko ciągnie tam, gdzie jest choć trochę więcej Polaków. A jeżeli się jeszcze zważy, że w młodym pokoleniu małżeństwa mieszane z Rosjanami i Ukraińcami są niestety o wiele częstsze niż jednolite małżeństwa polskie, to łatwo sobie dośpiewać resztę...

Stosunki między Polakami a Niemcami katolickimi są dobre, a często nawet serdeczne, czego już nie da się obserwować w stosunkach Polaków z Niemcami innych wyznań. Niemcy na ogół, tak w głębi duszy, uważają się za coś lepszego nie tylko od Rosjan, ale i od Polaków, ale Niemcy katolicy patrzą się na Polaków i Litwinów jako na niemalże równych sobie. Natomiast starzy Polacy uważają się za coś lepszego od... Ukraińców, a nie tyle już od Rosjan. Przeciętny stary Polak nie mówi o języku ukraińskim, jak tylko o języku chłopskim. Gorzej, że wśród młodych Polaków, i to jak najinteligentniejszych, da się zauważyć przeświadczenie o wyższości kultury rosyjskiej dochodzące nieraz do wstydzienia się własnej polskości.

Jak wśród Polaków, tak i wśród Niemców wytwarza się młoda inteligencja. I jej także brakuje głębszej znajomości Niemiec, ich kultury i historii. A jednak ci młodzi i inteligentni Niemcy lepiej znają swoje sprawy ojczyste, niż młodzi inteligenci polscy.

Ponieważ w Polsce jest niewątpliwie zainteresowanie Żydami, więc piszę i o Żydach radzieckich, choć sam niewiele miałem z nimi styczności.

„Żydzi po mistrzowsku umieją się przystosować i urządzać” – mawiają o nich Rosjanie. A jeden z szefów kijowskich żulików, a przy tym wcale niezły śpiewak i pan... tak o tym śpiewał w celi więziennej: „Ach biedny Szloma. U niego zabrali cztery domato, tiepier on tichyj smirnyj Zawojuwelirnyj”. Wedle tej piosenki: „choć u biednego Szlomy zabrali – rozumie się po rewolucji – cztery domy, to on teraz cichy i pokorny jest kierownikiem magazynu jubilerskiego”.

Żydzi w Związku Radzieckim tak się dobrze przystosowali i urządzili, że teraz całkiem zanika typ Żydka, dobrego handlarza lub rzemieślnika. Radziecki „Jewrej” to inteligent najczęściej z wyższym wykształceniem: inżynier, lekarz, profesor lub handlowiec wyższego stopnia służbowego.

Obecnie w związku z wojną izraelsko-arabską sytuacja radzieckich Żydów jest dość niewyraźna, za granicę ich nie puszczają. Lecz Żydzi umiają czekać, przeczekać i wytrwać – na swoich posiadach państwowych.

Po scharakteryzowaniu poszczególnych narodowości pragnąłbym coś więcej powiedzieć o obecnym stanie religijnym. Szczególnie często słyszę pytanie, czy młodzież trzyma się jeszcze wiary, czy masowo od niej odchodzi? Ma się rozumieć, że nas obchodzą przede wszystkim katolicy, młodzież katolicka. Jednak ze względów kompozycyjnych pomówimy najpierw o Rosjanach, o młodzieży rosyjskiej. Jednak Rosjanie nadają ton całemu Związkowi Radzieckiemu, więc omawianie interesującej nas sprawy bez ich uwzględnienia dałoby obraz za mało wyrazisty. Zastrzegam się, że na razie będę mówił tylko o rodowitych Rosjanach, a nie o Ukraińcach i Białorusinach, których tak często pląta się z Rosjanami.

Moim zdaniem, Rosjanie więcej od wszystkich innych narodowości poddali się wpływom ateizmu lub agnostycyzmu. Wśród rodowitych Rosjan procent przekonanych ateistów, a jeszcze więcej agnostyków, jest z pewnością wyższy niż w innych narodowościach. Ale tu trzeba uwzględnić dwie nader znamienne okoliczności występujące zresztą nie tylko wśród Rosjan, lecz w ogóle w całym Związku Radzieckim:

1. O wiele więcej jest w Związku Radzieckim agnostyków niż ateistów, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Przeciętny młody człowiek niewierzący, jeżeli go zapytać, odpowiada: „ja nie wierzę w Boga” i zwyczajnie dodaje, „filozoficznie” – uzasadniając: „ja Go nie widział”. Ale nie będzie on przysięgał – że na pewno wie, iż nie ma Boga, lecz powie: „A może gdzieś On jest, ale ja Go nie widział i nikt Go nie widział”. Kto zaś nie wyklucza możliwości istnienia Boga, ten już przez to samo nie jest ateistą.

2. W Związku Radzieckim jest dużo ludzi, którzy uchodzą za ateistów, a wcale nimi nie są. Przede wszystkim wszyscy partyjni uchodzą za ateistów, tymczasem i wśród nich więcej jest agnostyków, a nawet i niemało takich, którzy po cichu wierzą w Boga. Gorzej, że wśród Rosjan i wśród ludów wschodnich istnieje pewna łatwość zapierania się wiary dla doraźnego użytku. Są tacy, co się nawet tym chwają, a w ufanym gronie mówią, że ani myślą stać się bezbożnikami.

Propagandę ateistyczną prowadzi się w Związku Radzieckim dosyć intensywnie, choć prawdę mówiąc – mogłaby jeszcze intensywniej być uprawiana. Szczególną uwagę zwraca się przy tym na dzieci i młodzież. Poziom propagandy ateistycznej jest na ogół niski. Wystarczy porównać artykuł na ten temat w komunistycznej prasie radzieckiej i polskiej. Porównanie wypada na korzyść polskiej. W propagandzie radzieckiej jest

bardzo mało argumentacji filozoficznej. Więcej zwraca się uwagę na rze-  
komą sprzeczność między wiarą a nauką. Jeszcze więcej ośmiesza się  
i zohydza „popów” i „bogomołów”. „Pop” to nie tylko duchowny prawo-  
sławny, ale to także nasz ksiądz, luterański pastor, mużulmański mułła,  
sekiarski predykant, a nieraz podciąga się pod to pojęcie „monachów”  
i „monaszki”.

„Bogomół” i „bogomołka” to w ogóle pobożna osoba jakiegokolwiek  
religii i wyznania. Właśnie ośmieszanie, a nie argumentacja jest ulubioną  
metodą radzieckiej propagandy ateistycznej. Wiele zamieszania sieje  
stawianie na równi nawet najwyższych form i przejawów religii z naj-  
grubszymi zabobonami, nieraz nie mającymi nic wspólnego z religią.

Rezultaty tej propagandy ateistycznej, antyreligijnej, są zarazem  
i wielkie, i małe. Wielkie, bo dzieci, a zwłaszcza młodzież boją się ośmie-  
szenia, które się okazuje bronią skuteczną przede wszystkim przeciw  
modlitwie, a nieraz nawet przeciw samej wierze. Małe są rezultaty, a nie-  
raz i żadne tam, gdzie rodzice i wychowawcy są naprawdę wierzący  
i działający własnym, dobrym przykładem.

Jeżeli ateizm, a jeszcze więcej agnostycyzm, odnosi największe suk-  
cesy wśród Rosjan, to jedną ze smutnych przyczyn tego zjawiska jest  
u nich niedbalstwo rodziców i wychowawców. Często w rosyjskich ro-  
dzinach bywa tak, że starzy modlą się sami – ale nie dbają zupełnie o to,  
by modliły się ich dzieci i wnuki. Za mało jest w rosyjskich rodzinach  
troski o zaszczepienie i przekazanie wiary młodemu pokoleniu. Wpływ  
na to ma także i specyficzna mentalność narodu rosyjskiego. Dla Rosjan  
argumenty rozumowe odgrywają w religii minimalną rolę. Na czoło wy-  
suwa się przeżycie religijne, swoisty mistycyzm. Psychice rosyjskiej nie  
odpowiada tomizm, a o wiele jej bliższy jest egzystencjalizm.

Dość częste jest w Związku Radzieckim, wśród Rosjan, a i wśród in-  
nych narodowości takie zjawisko: młodzież dorastająca przechodzi przez  
ateizm tylko chwilowo. Chłopcy i dziewczęta w wieku od 16 do 20 lat  
wierzą w to, że nie ma Boga. Później jednak przychodzi jakaś refleksja  
i już w wieku około 25 lat ci sami chłopcy i dziewczęta albo stoją na po-  
zycji agnostycyzmu, lecz już nie ateizmu, albo powracają do wiary w Bo-  
ga, choć zwykle nie do modlitwy, o ile ta wiara w dzieciństwie choć tro-  
chę była u nich zaszczepiona.

Ponieważ wśród młodzieży, i to nie tylko rosyjskiej, rozpowszech-  
niony jest agnostycyzm, to jeszcze o nim słów parę. Ci młodzi agnostycy,  
choć nie wykluczają możliwości istnienia Boga, to przeważnie zupełnie  
się tym nie interesują. Są całkowicie pogrążeni w materializmie prak-  
tycznym, życiowym. Jednych, i to bardzo wielu, interesuje wódka, in-

nych technika, sport nauka, sztuka, literatura, sprawy seksualne, pieniądze, dobrobyt. Wśród tych młodych agnostyków istnieje jednak pewna, nie tak już nieliczna mniejszość głębiej myśląca. Oni nawet bardzo się interesują religią. Ale niełatwo takiemu myślącemu młodemu człowiekowi spotkać bliźniego, który mógłby mu podać pomocną dłoń.

W Związku Radzieckim wszystko stoi na usługach ateizmu: prasa, kino, szkoła, teatr, radio, telewizja. Ateiści w ten czy inny sposób wciąż przemawiają, a ludzie wierzący, choć jest ich więcej niż ateistów, na ogół milczą.

A przy tym nawet mądra i pobożna staruszka nie potrafi przekonać studenta czy studentkę wyższej uczelni, bo na to potrzeba choć trochę filozofii i umiejętności zbijania – przeważnie zresztą bardzo prymitywnych – argumentów radzieckiej propagandy ateistycznej. Z pewnością jest jakieś ziarenko prawdy w zdaniu, że w psychice rosyjskiej jest skłonność do skrajności. We współczesnym społeczeństwie rosyjskim występują skrajności także i w dziedzinie religijnej. Występuje niewątpliwie skrajny ateizm, choć jest on o wiele mniej rozpowszechniony od agnostycyzmu. Ale równocześnie występuje religijność i to bardzo aktywna, często przesiąknięta swoistym mistycyzmem.

Rosyjskie prawosławie poniosło wielkie straty na rzecz ateizmu i agnostycyzmu, a częściowo także i na korzyść sekciarstwa. Mimo to sędzę, że jednak większość współczesnych Rosjan trzyma się nadal prawosławia. Szczególnie silną jest pozycja cerkwi prawosławnej we właściwej Wielkorusji, a więc w samej Moskwie i we wszystkich okolicznych stronach wielkorusyjskich. We wszystkich tych Tułach, Kaługach, Riazaniach, Orłach, Twieriach czy Jurośławskach. Na peryferiach, a szczególnie w azjatyckiej części ZSRR, wpływy cerkwi prawosławnej w społeczeństwie rosyjskim są już o wiele mniejsze.

Ponadto trzeba uwzględnić, że w rosyjskiej cerkwi prawosławnej jest rozłam. Część, może nieznaczna, lecz bardzo gorliwa rosyjskiego prawosławia, nie uznaje nad sobą moskiewskiego patriarchy, zarzucając mu, iż się zaprzedał bezbożnej władzy państwowej.

Bardzo znamienym zjawiskiem dla wierzącej części społeczeństwa rosyjskiego jest rozwój sekciarstwa. Ale opozycjonistów prawosławnych nie należy mieszać z sekciarzami. Ci opozycjoniści uważają się za najlepszych prawosławnych, stoją na gruncie prawosławnej tradycji i podkreślają, że z tamtymi sektami nie mają i nie chcą mieć nic wspólnego.

Właśnie w tych prawosławnych kierunkach opozycyjnych przejawia się rosyjska skrajność i mistycyzm. Tacy np. „Istinno-Pravosławnyje Christianie” nie mogą mieć nic wspólnego z władzą państwową jako



bezbożną, a nawet – jak mówią – szatańską. Dlatego nie biorą żadnej pracy rządowej i klepią biedę. Co więcej, nawet nie biorą paszportów i innych dokumentów, a na pytanie funkcjonariuszy milicji: „Ktoś ty?“, odpowiadają: „Ja rab Bożyj Iwan“ albo: „Ja rabydni Bożja Agafieja“. A znowu Michajłowcy uwierzyli w to, że ich przywódca, prawosławny monach Michał Jerszow, jest ni mniej ni więcej, tylko świętym Michałem Archaniołem. Na podstawie jednego zdania proroctwa Daniela, iż się objawi Michał Archanioł, objawił Jerszow, że on sam jest Archaniołem Michałem posłanym przez Boga dla ratowania Świętej Rusi.

We właściwym ruchu sekciarskim najczęściej mają sukcesów i zwolenników Baptyści, Menonici, Adwentyści, Zielonoświątkowcy i Świadkowie Jehowy czyli Badacze Pisma Świętego. Są to wszystko sekty pochodzenia zachodniego. Są i sekty pochodzenia rosyjskiego, jak np. Molokanie czy Chłysty, lecz one mają o wiele mniej zwolenników. Sekciarze są na ogół bardzo gorliwi, nieraz wręcz natrętni w swej gorliwości. Bardzo pomaga im to, że u nich wszystko odbywa się w języku rosyjskim: modlitwy, śpiewy religijne, czytanie Pisma Św. i kazanie. Natomiast w cerkwi prawosławnej wciąż króluje język cerkiewno-słowiański, niezrozumiały dla młodego pokolenia.

W rosyjskim duchowieństwie prawosławnym nadal znamienym jest podział na „starych popów” i „młodych popów”. Przed wojną przez długie lata wszystkie seminaria duchowne były pozamykane. Nie pracowało ani jedno z nich. Dlatego obecnie rosyjskiemu duchowieństwu prawosławnemu brakuje średniego pokolenia. Starzy popi mają przeciętnie około siedemdziesiątki a młodzi dociągają do 40–45 lat. Obecnie są czynne cztery seminaria duchowne: w Moskwie, Leningradzie, Odessie i – zdaje się – w Kazaniu oraz dwie akademie duchowne: w Moskwie i w Leningradzie.

Chociaż starzy popi są mniej wykształceni, to jednak są oni lubiani w społeczeństwie rosyjskim. Natomiast młodzi popi nie cieszą się zaufaniem, gdyż zarzuca się im zbyt ściśle związki z władzą państwową, choć tego w żadnym wypadku nie należy generalizować. Pewną rolę w prawosławnym duchowieństwie odgrywają także księża wykształceni w przedwojennej Polsce, a zwłaszcza magistrzy prawosławnej teologii Uniwersytetu Warszawskiego oraz apostaci spośród byłych księży grekokatolickich. Do tych ostatnich jednak Rosjanie nie mają szczególnego zaufania. Zresztą księża prawosławni kształceni w Polsce, jak również i księża apostaci, nie są Rosjanami lub Białorusinami.

Są też obecnie czynne prawosławne klasztory męskie i żeńskie, jest ich jednak bardzo mało. Największą rolę odgrywają klasztory: Troice-

Saragiejewski w Zagorsku koło Moskwy, a na Ukrainie: Peczorski w Kijowie i Poczajewski na Wołyniu.

Jeżeli jednak porównamy pod względem religijnym Rosjan z Ukraińcami i Białorusinami, to procent ludzi wierzących wśród Ukraińców i Białorusinów jest większy, a procent ateistów i agnostyków mniejszy niż wśród rodowitych Rosjan. Są jednak pewne zjawiska wspólne. Działa jedna i ta sama religia, cerkiewno-prawosławna, na czele z moskiewskim patriarchą. Tak samo rozwija się i ruch sekciarski zarówno wśród Rosjan jak i Ukraińców i Białorusinów. Natomiast wśród innych chrześcijańskich narodowości ZSRR ruch sekciarski ma o wiele mniej do powiedzenia.

Rząd radziecki traktuje poszczególne religie i wyznania bynajmniej nie jednakowo. Najlepiej są widziani prawosławni uznający moskiewskiego patriarchę. Po nich idą baptyści i niektórzy inni sekciarze, luterańskie, a także i muzułmanie. Gorzej są widziani katolicy, a zwłaszcza księża katolicy, jako „agenci Watykanu”. Najgorzej jednak są traktowane prawosławna opozycja i te sekty, które mają swoje światowe ośrodki w Stanach Zjednoczonych, jak np. Świadkowie Jehowy.

Kościół Katolicki inaczej jest traktowany na Litwie i Łotwie, gdzie są uznani przez rząd biskupi i gdzie istnieją seminaria duchowne w Kownie i w Rydze. Inaczej w innych częściach Związku Radzieckiego, gdzie są zarejestrowane kościoły i rejestrowani księża, choć nie ma biskupów i organizacji kościelnej, a księża są całkowicie zależni od rządowych pełnomocników do spraw kultu religijnego. Inaczej w całej reszcie. Związku Radzieckiego, gdzie nie ma ani jednego rejestrowanego kościoła i ani jednego rejestrowanego księdza. Całą pracę duszpasterską prowadzi się w domach prywatnych, co dokładnie omówimy w trzeciej części naszego pisma.

Teraz dopiero odpowiem na pytanie, jak się pod względem religijnym prezentują katolicy Związku Radzieckiego i co się dzieje z naszymi katolickimi dziećmi i młodzieżą. Otóż niewątpliwie w ZSRR wśród katolików dzieje się lepiej niż wśród prawosławnych.

W europejskiej części Związku Radzieckiego pod względem liczebności na pierwszym miejscu wśród katolików stoją Litwini, na drugim Polacy, na trzecim Łotysze, ale są też w mniejszej liczbie katolicy Białorusini, Gruzini, Ormianie, Niemcy. Osobną grupę stanowią Ukraińcy greckokatolicy, o czym już wyżej była mowa.

W azjatyckiej części ZSRR wśród katolików na pierwszym miejscu stoją i to w przeważającej liczbie Niemcy, na drugim Polacy, na trzecim Litwini, a inne narodowości są reprezentowane bardzo nielicznie.

Katolicy górują nad prawosławnymi, starają się przekazywać wiarę i pobożność swym dzieciom i wnukom. W boju o duszę dziecka najczęściej zależy od rodziny, a zwłaszcza od matki. Za chwilkę zilustruję to pięknymi i wymownymi przykładami wziętymi z życia.

W wielonarodowościowym społeczeństwie katolickim Związku Radzieckiego przekonanych ateistów jest bardzo mało, agnostyków więcej, lecz mniej niż wśród prawosławnych. Sporo jest w młodszym pokoleniu wierzących, ale nie modlących się w ogóle lub bardzo mało – tacy jednak żegnają się wieczorem, udając się na spoczynek, zawsze też chrzczą swoje dzieci.

Taki więc jest przekrój społeczeństwa katolickiego w Związku Radzieckim. Niemalże wszyscy starzy i znaczna część młodszych to katolicy wierzący i praktykujący. Znaczna część młodszych to ludzie wierzący, lecz nie modlący się – jak o tym przed chwilą mówiliśmy.

Wśród młodzieży jest pewien procent agnostyków. Mniej jest ateistów. Dzieje się to tak:

Jeżeli rodzina jest wierząca w mądry sposób, a także gorliwa, to wychowuje młodzież wierzącą i praktykującą. Jeżeli rodzina jest wierząca, ale na przeciętnym poziomie, to bardzo często młodzież wprawdzie wierzy w Boga i nie odrzeka się od wiary, lecz nie modli się. Jeżeli rodzina jest wierząca i niedbała albo mieszana pod względem wyznaniowym, czy też częściowo niewierząca, to wśród takiej rodziny wyrasta młodzież agnostyczna, a znacznie rzadziej ateistyczna.

Nie jest więc jeszcze źle w naszym radzieckim społeczeństwie katolickim, ale i nie jest to także całkiem dobrze. Musimy mieć poważne obawy na przyszłość.

Znam podobne wypadki: póki żyje w rodzinie babcia mądra i pobożna, cała rodzina jest wierząca i praktykująca. Gdy umrze babcia, to mama już tego nie może dać swym dzieciom, co dawała babcia, wychowana jeszcze w o wiele lepszych warunkach. A jeżeli umrze mama, to jej córka może wpływać na swoje dzieci jeszcze w mniejszym stopniu od mamy. I tak pomalutku zmniejsza się wśród katolickiej młodzieży procent wierzących, lecz nie modlących się, których dzieci prawdopodobnie będą agnostykami.

Mogę więc tu jeszcze raz przypomnieć słowa Zbawiciela: „Proście Pana żniwa, aby posłał robotników na żniwo swoje”, tym więcej, że żniwo wielkie, a robotników mało.

Nie lubię przykładów smutnych, odstrasżających, choć czasem pobudzają do głębszej refleksji. Kocham się w przykładach dobrych, budujących. Podam 12 przykładów. Wszystkie wzięte z życia w Związku Ra-

dzieckim. Tylko dwa z nich są smutne. Wszystkie użyte imiona z wyjątkiem ostatniego są zmienione z łatwo zrozumiałych względów.

*Przykład pierwszy.* W jednym z większych miast niedaleko Moskwy mieszkało pewne bezdzietne małżeństwo. Nazwijmy je imionami często wśród Rosjan spotykanymi: Mikołaj Piotrowicz i Anna Pawłowna. Oboje już ludzie starsi, partyjni znani i szanowani w całym mieście. On był inżynierem i dyrektorem fabryki, ona była znanym pedagogiem i działaczką społeczną. Z powodu złego stanu zdrowia, Anna Pawłowna musiała zrezygnować z pracy w szkole, lecz tym więcej była czynna w różnych organizacjach społecznych. Po pewnym czasie zauważono, że Anna Pawłowna przestaje także pracować społecznie. Kiedy się ją o to zapytano, zawsze powoływała się na swoje słabe zdrowie. Tymczasem było wiadome, że jej zdrowie bardzo się poprawiło po przymusowej rezygnacji z pracy w szkole. Wkrótce też wyszły na jaw przyczyny zaprzestania pracy społecznej. Okazało się, że Anna Pawłowna przyjmuje u siebie w domu wizyty jakichś gości z Moskwy, z którymi długie godziny dyskutuje o... filozofii indyjskiej. Zwrócono się też do Mikołaja Piotrowicza, żeby wpłynął na swoją żonę, lecz biedny Mikołaj Piotrowicz nic na to nie mógł poradzić. Wreszcie doszło do rozmowy między partyjnymi czynnikami miarodajnymi a Anną Pawłowną. Zwrócono jej uwagę, że na próżno „uwlekajet’sja” obcą nam filozofią indyjską. Zaproponowano jej, aby głębiej zajęła się filozofią marksistowską i dialektycznym materializmem. Na to Anna Pawłowna odpowiedziała z całą szczerością: „Ach, gdybyście wiedzieli, jak mi to wszystko obrzydło”.

Komentarze są zbyteczne. Wśród rosyjskiej inteligencji karmionej tylko jedną filozofią materialistyczną, niemało jest łaknących innej, lepszej strawy duchowej. Po wizycie indyjskiego premiera Nehru w Moskwie, w myśl zawartej umowy o wzajemnej wymianie dóbr materialnych i duchowych, przetłumaczono na język rosyjski kilka współczesnych, poważnych dzieł o Indiach i ich kulturze. M.in. przetłumaczono dwutomowe dzieło o filozofii buddyjskiej późniejszego prezydenta Indii Radhakrishnana. Inteligencja rosyjska mogła się zapoznać z inną filozofią: niematerialistyczną, spirytualistyczną. Dzieło Radhakrishnana w mig rozchwytało, stało się bestsellerem. Po rychłym wyczerpaniu całego nakładu pożyczano sobie wzajemnie to tak bardzo, mimo trudnej treści, pożądane i poczytne dzieło. Jak widać i Anna Pawłowna uległa czarowi indyjskiej mądrości filozoficznej. Jest to objaw pocieszający, że rosyjska inteligencja szuka czegoś głębszego od tego, co jej, aż do przesytu, dają... pragnę jeszcze wyjaśnić, skąd ja znam tak dobrze historię Anny Pawłownej. Tylko z gazety. Trzeba jednak znać niektóre obyczaje prasy

radzieckiej. Jest w niej uprawiany pewien rodzaj publicystyczny, który się nazywa – po polsku – artykuł czy raczej reportaż demaskujący. W takim artykule opisuje się z drobnymi nieraz szczegółami życie i postępowanie zdemaskowanych osób, jak w danym wypadku owej, tak przeze mnie nazwanej – Anny Pawłownej.

*Przykład drugi.* Jechałem pociągiem z Karagandy do Alma-Aty. Zbliżaliśmy się do celu naszej podróży. W przedziale zostało nas tylko dwóch. Mój jedyny towarzysz podróży był młodym, sympatycznym i inteligentnym człowiekiem. Zaczęliśmy rozmowę. Co bardzo ważne, rozmowa toczyła się w cztery oczy, bez świadków. Mogła więc być szczera. Powiedziałem mu nawet, kim jestem. Mój rozmówca, którego będziemy nazywać Iwanem, był Rosjaninem, studentem piątego kursu na uniwersytecie w Alma-Acie. Był to typowy radziecki agnostyk, nie z jakiegoś filozoficznego przekonania, tylko z powodu niemożliwości głębszego poznania problemów filozoficzno-religijnych. Widząc jego zainteresowanie tą tematyką i wykorzystując nasze sam na sam, pokrótce wyłożyłem mu nasze filozoficzne pojęcie Boga i zaznajomiłem go z postacią i faktami z życia Jezusa Chrystusa. Mówiłem językiem naukowym o elementarnych prawdach wiary. Gdybym to zaczął wyklądać polskiemu studentowi, to ten na pewno zapytałby: „Czy ksiądz myśli, że ja tego nie wiem?” Tymczasem mój Iwan nie wiedział tego. Słuchał wykładu bynajmniej nie w bierny sposób. Zadawał różne pytania. Widać było że wykład ogromnie go zainteresował. Żegnając się ze mną powiedział mi bardzo serdecznie bardzo znamienne słowa: „To właśnie jest to, czego nam brakuje”.

Sądzę że i w tym wypadku zbyteczne są komentarze.

*Przykład trzeci.* Pewna babcia, która niedawno przyjechała do Karagandy, zwróciła się do mnie z prośbą, bym ochrzcił jej wnuczkę. Rodzina ta jest polska. Skądinąd wiedziałem, że prowadzi się bez zarzutu, była jednak nieochrzczona, nawet, jak się mówi, „z wody”. Panienkę tę zwał będę Zofia. Jak wiadomo „Sofija” znaczy mądrość, w danym jednak razie będzie to mądrość w cudzysłowie. Otóż pani Zofia, której po dziś dzień na oczy nie widziałem, nie zgodziła się na chrzest, motywując to obawą, że mogą się o tym dowiedzieć na uczelni, gdzie uczęszczała i wyrzucić ją z niej. Wobec tego, że Zofia bała się ze mną spotkać i porozmawiać, na naleganie babci napisałem w końcu list do Zofii, który babcia jej doręczyła. Korespondencja nasza była prowadzona z konieczności po rosyjsku. Zapropnowałem Zofii spotkanie w takim miejscu i czasie, gdzie nie będzie żadnych postronnych świadków. Podkreśliłem, że chcę wyjaśnić tylko sprawę chrztu, do którego nawet nie mam prawa bez jej woli

przymuszać. Poza tym zaproponowałem jej pogawędkę na tematy filozoficzne. Nie wątpiąc w to, że zainteresuje ją to, pomimo że zna filozofię materialistyczną, wyraziłem przypuszczenie, że nie odrzuci możliwości zapoznania się także z naszą filozofią chrześcijańską.

Zofia przez babcię odpisała mi już na drugi dzień. Co do chrztu – pisała – nie może się zgodzić przede wszystkim dlatego, że nie wierzy w Boga. Przyjmować zaś chrzest tylko po to, by zrobić przyjemność babci, byłoby jej zdaniem nieuczciwe (nie czestwo). Co do filozofii chrześcijańskiej, to Zofia napisała, że jej wcale nie zna. Jednak bębniła dalej Zofia wpajaną jej przez lata drętą mowę, dobrze mi znaną, że przekonała się o wyższości filozofii materialistycznej. Bo dialektyczny materializm jest filozofią jedynie prawdziwą i zgodną z nauką. Nie zostawiłem jeszcze biednej Zofii w spokoju. Napisałem do niej po raz drugi i ostatni. Co do chrztu, pisałem, masz zupełną słuszność. Nie wolno przyjmować chrztu bez wiary w Boga. Ale co do filozofii sama przyznasz, że zupełnie nie znasz filozofii chrześcijańskiej. Jakże ty możesz mówić o wyższości filozofii materialistycznej, kiedy nie znasz żadnego innego systemu filozoficznego? Rad byłbym, byś się nad tym tematem zastanowiła.

Czy Zofia się zastanowiła – tego już nie wiem. Niestety, po dziś dzień nie jest ochrzczona. Oby tak nie było aż do śmierci.

Jeszcze jedna uwaga na marginesie tego smutnego przykładu. Czy się opłaca tracić czas, pisywać listy osobom pokroju naszej Zofii, które przecież nie chcą w życiu zobaczyć na własne oczy choćby jednego księdza? Tak jest, trzeba rzucać siew ewangeliczny także i na taką glebę. Może dobre ziarno wszędzie i po długich latach. Może Zofia ochrzci się już po śmierci tego księdza, którego nie chciała widzieć, ale który mimo to zechciał jej listownie przesłać kilka słów prawdy.

*Przykład czwarty.* Podczas jednej z moich podróży misyjnych przyjeżdżam do pewnego miasteczka i ogłaszam, że będę przygotowywał pary małżeńskie do ślubu. Zgłosiło się do nauki mniej więcej 10 par małżeńskich. Byli to Polacy, ludzie młodzi, żyjący już ze sobą dobrych parę lat, ale bez ślubu, bo nie było żadnego księdza. Prawie żaden z nich nie był jeszcze u spowiedzi i komunii świętej.

Od razu swoim inteligentnym wyglądem zwróciła moją uwagę jedna para małżeńska. Okazało się że młody małżonek, nazwijmy go Stanisław, jest inżynierem. Miał on wtedy 27 lat. Jego małżonka była jeszcze młodsza i była przystojna. Miała pełne wykształcenie średnie. Mieszkali razem z matką Stanisława, która była jeszcze kobietą niestara, prostą, ale mądrą i szczerze religijną.

Wszystko się odbyło jak najlepiej. Miałem nawet czas zaprzyjaźnić się z tą rodziną, która – nawiasem mówiąc – zupełnie dobrze rozmawiała po polsku. Bardzo się ucieszyłem, że oboje są wierzącymi i praktykującymi katolikami. Raz zapytałem się Stanisława, gdy byliśmy we troje, z nim i jego żoną: „Czy studia naukowe w radzieckich uczelniach nie sprawiły tobie żadnych trudności co do wiary w Boga?” Stanisław odpowiedział: „Może się ksiądz zdziwi, ja skończyłem średnią i wyższą szkołę w Związku Radzieckim, uczyłem się filozofii materialistycznej i zdawałem z niej egzamin, ale nigdy w życiu nie miałem nawet najmniejszej wątpliwości co do wiary w Boga. Ksiądz poznał moją matkę. Jest kobietą prostą, ale niegłupią. Ona tak mi wszystko wytłumaczyła, że to mi wystarczało. W szkołach dużo gadali przeciwko wierze w Boga, ale nie robiło to na mnie żadnego wrażenia. Zawsze rozumiałem, że to nie ma nic wspólnego z nauką, że to jest zwyczajna agitacja”.

Warto jeszcze porównać Stanisława z Zofią. Mniej więcej równi i rówieśnicy. Obydwoje Polacy. Oboje z wyższym i radzieckim wykształceniem. Dlaczegoż zachodzi między nimi taka wielka różnica? Bo Stanisław był krytyczny, miał swój rozum, a Zofia była niestety całkiem bezkrytyczna. Ale to nie wszystko jeszcze. Znam nie tylko matkę Stanisława, ale znam także i matkę Zofii, która ją wychowała. Gdyby Zofię wychowywała jej babcia, byłoby zupełnie inaczej. Niestety, matki Zofii, choć jest sama wierząca, nie można porównać z mądrą i pobożną matką Stanisława. „Po owocach ich poznacie je...”

*Przykład piąty.* Bohaterem tego przykładu jest pewien młody student, Litwin. Nazwijmy go litewskim imieniem – Witold. Historię Witolda opowiadał mi jeden z moich znajomych księży litewskich – człowiek całkowicie wiarogodny.

Witold był studentem trzeciego roku uniwersytetu w jednym z wielkich miast syberyjskich. W tym czasie na zesłaniu na Syberii było wiele rodzin litewskich. Teraz ogromna ich większość powróciła na Litwę.

W owym mieście pracował – oczywiście bez rejestracji – pewien ksiądz litewski i pracował przez kilka lat bardzo umiejętnie, naprawdę znakomicie. Witold często chodził na Mszę św., a nieraz i służył księdzu do niej. Wreszcie coś o tym zaczęto mówić na uniwersytecie.

Studenci wyższych uczelni radzieckich są podzieleni na grupy w celach naukowych i wychowawczych. Każda grupa ma swojego opiekuna, przeważnie spośród docentów lub asystentów, który ma czuwać nad nauką i ideologią swoich studentów. Raz ów opiekun zgromadził swoją grupę i zaczął rozwodzić się nad tym, że jest rzeczą nie do wiary, lecz niestety prawdziwą, iż są jeszcze studenci, którzy wierzą w Boga i modlą

się. Ale to już jest prawdziwy skandal, że znajdują się nawet studenci, którzy służą popowi podczas nabożeństwa. Wszyscy studenci zrozumieli, że ich opiekun śpiewa o Witoldzie, choć go nie wymieniał po imieniu. Cóż na to Witold? Nie milczał bynajmniej. Wstał i całkiem swobodnie powiedział: „Oświadczam, że wierzę w Boga i do końca życia nie przestanę w Niego wierzyć”. Powiedział i usiadł, a jego koledzy, wśród których nie było ani jednego katolika, nagrodzili go oklaskami za odwagę i stanowczość, co im zaimponowało. No, a biedny opiekun – jak mówią po rosyjsku – „ostał się durakom” (został się durniem)...

*Przykład szósty.* Z jednego z większych miast syberyjskich przyjeżdża na parę dni do Karagandy młody, niespełna 30-letni inżynier, Niemiec i katolik, z poślubioną już przedtem małżonką, również Niemką i katoliczką. Przywieźli do chrztu swoją pierworodną, już dwuletnią córeczkę. Oboje się wypowiedzieli i pobożnie przyjęli Komunię św. Inżynierowi nadamy niemieckie imię Fryderyk, a jego żonę nazwiemy Gertrudą. Za przyjaźniłem się z tą bardzo miłą i wzorową parą małżeńską. O ile Fryderyk jest człowiekiem z wyższym wykształceniem, o tyle Gertruda ustępuje mężowi pod każdym względem, bo ukończyła zaledwie 5 czy 6 klas szkoły podstawowej. Rozmawialiśmy we troje. Zapytałem Fryderyka: „Czy jesteś zadowolony z tego, że wziąłeś za żonę o tyle mniej wykształconą od siebie?” Otrzymałem od Fryderyka taką odpowiedź: „Tak, jestem nawet bardzo zadowolony z tego, że ożeniłem się z Gertrudą. Mnie nie potrzeba jakiejś żony uczonej. Ja potrzebuję żony wierzącej i pobożnej. Moja matka i jej matka są proste, nieuczone, ale dobrze nas po katolicyku wychowały. Chcę mieć taką żonę, która potrafi nasze dzieci wychować nie gorzej od naszych matek”. Zapytałem Gertrudę: „A czy ty jesteś zadowolona ze swego uczonego męża. Gertruda śmiejąc się odpowiedziała: „Tak, i ja jestem z niego całkowicie zadowolona, i wcale się nie boję, choć jest taki uczony”.

Jestem pewny, że Fryderyk i Gertruda naprawdę dobrze, prawdziwie po katolicyku wychowują ochrzczonej przeze mnie córeczkę.

*Przykład siódmy.* Przychodzi raz do mnie staruszka, Polka, długoletnia już wdowa, i płacze. Było czego płakać. Staruszka ta, nazwijmy ją Dolorosa (bolesna) – wcześniej straciła męża. Pozostała sama z czworgiem małych dzieci. Dolorosa była wtedy młodą, silną i energiczną kobietą, nie bała się roboty. W ciężkich wojennych i w pierwszych powojennych latach pracowała dosłownie całymi dniami. Często brała roboty nadliczbowe. Dzięki swej nieprzeciętnej zdolności do pracy i pracowitości zarabiała niezłe, dała swym dzieciom utrzymanie i wykształcenie. Troje z czworga dzieci – starszy syn i dwie córki – mają pełne średnie wy-



kształcenie, młodszy zdobył sobie nawet wyższe. Dolorosa mówiła mi, że przez długie lata była dumna, iż sama jedna bez męża, dała swym dzieciom lepsze wychowanie niż wiele innych matek razem z mężami. A jednak Dolorosa płakała i gorzko płakała, gdy wtedy do mnie przyszła, tylko z powodu swych rzekomo dobrze wychowanych dzieci. Płacząc mówiła mi: „Teraz dopiero rozumiem swój błąd. Ja dbałam tylko o ciała swoich dzieci, a nie zadbałam o ich dusze. Teraz to rozumiem, ale jest już za późno”. Odpowiedziałem jej, że nigdy nie jest za późno modlić się, wytrwale wzywać miłosierdzia Bożego. A jednak błąd tej matki był zasadniczy i bez szczególnej łaski Bożej niemożliwy do naprawienia.

Sama Dolorosa jest niewątpliwie wierzącą i praktykującą katoliczką. Pragnie, by jej dzieci i wnuki były też takie. A jak jest w rzeczywistości? Kogo wychowała? Jedną ateistkę i troje takich, których można nazwać półateistami, jak to się mówi, „ni to, ni sio”.

Obaj synowie pożenili się z Rosjankami, obie córki wyszły za Rosjan. Oczywiście bez ślubu kościelnego. Starsza córka wyszła za męża za człowieka partyjnego. Pod wpływem męża sama się stała zajadłą ateistką. Swej matce mówi także ateistyczne mądrości: „Jaka ty jesteś zacofana, że się jeszcze modlisz. Nie rozumiesz, że to jest głupota i strata czasu”. Młodsza córka i obaj synowie nie są ateistami, ale daleko im do tego, by można ich nazwać wierzącymi, praktykującymi katolikami. Znam osobiście młodszego syna z wyższym wykształceniem. Jest on sympatycznym młodym człowiekiem.. Do matki mówi inaczej niż jego bezbożna siostra: „Ty sama módl się, ile tylko chcesz. Proszę cię, módl się także i za mnie. Ale nie wymagaj ode mnie, żebym ja się modlił. Teraz są inne czasy, a ty tego nie rozumiesz”.

Różnica w postawie brata i siostry jest tu widoczna. Tym niemniej żadne z czworga dzieci Dolorosy nie modli się i nawet nie myśli o modlitwie, a o wnukach „szkoda gadać”. Dolorosa w swoim czasie nauczyła swoje dzieci modlić się, ale ich nie pilnowała. Modlitwa dzieci była u niej na ostatnim planie. Praca, wyżywienie, odzienie, szkoła, gospodarstwo domowe, a czy dzieci modlą się czy nie, o tym nie myślała i sama razem z nimi nie modliła się. Aż się doczekała...

*Przykład ósmy.* Dwa lata temu umarła staruszka. Polka, tak jak Dolorosa długoletnia wdowa. Ta zmarła staruszka nazywać się będzie u nas Felicja (szczęśliwa). W dziejach życia Felicji i Dolorosy jest wiele wspólnego: obie Polki, obie niemalże rówieśnice, obie wcześniej owdowiały. Dolorosa bez męża wychowała czworo dzieci, Felicja troje, dwóch synów i córkę.

Felicja przed śmiercią długo i ciężko chorowała. Kilka razy odwiedziłem ją podczas tej rozwlekłej choroby. Zawsze mi powtarzała to samo: „Jak bardzo jestem wdzięczna Bogu za to, że moja rodzina pozostała polska i katolicka”. W swoim czasie bardzo żałowała, że jej dzieci mają tylko niepełne średnie wykształcenie. Ale teraz sama widzi, że to nieważne. W obliczu śmierci raduje się, że wszyscy w rodzinie uważają się za Polaków i katolików, wierzą i modlą się.

Jak Dolorosa miała czego płakać, tak Felicja miała czego radować się. Jej córka jest wdową. Ze zmarłym mężem brała ślub kościelny. Ma troje dzieci, które się modlą, chodzą do spowiedzi i Komunii św. Starszy wnuk Felicji już się ożenił z miłą polską panią. Młoda para ma ślub kościelny. Obaj synowie Felicji poślubili dobre i pobożne Polki. Dzieci obu tych par małżeńskich otrzymują od swoich rodziców staranne wychowanie religijne. Cała ta rodzina bardzo chętnie i pilnie uczęszcza na Mszę św., jeżeli tylko ksiądz ją odprawia w pobliżu.

W jaki sposób Felicja osiągnęła takie rezultaty wychowawcze, które trzeba uznać za znakomite w głębi ateistycznego kraju? Wszak Felicja wychowała swe dzieci bez kościoła, bez księdza, bez Mszy św., bez spowiedzi i Komunii św. Felicja była mądra i pobożna. W jej rodzinie na pierwszym miejscu była modlitwa. Codziennie modliła się głośno razem z dziećmi. Bardzo dużą rolę wychowawczą odegrał w tej rodzinie śpiew religijny. Sama Felicja w młodości śpiewała w chórze kościelnym. Miała wspaniałą pamięć, a przy tym głos i słuch bardzo dobre. Znała na pamięć wiele pieśni współcześnie śpiewanych i starych, dziś zapomnianych, a nieraz bardzo pięknych. Felicja potrafiła zainteresować swoje dzieci śpiewem religijnym. Po dziś dzień jej syn i córka należą do najlepszych śpiewaków wśród naszych karagandzkich Polaków. Stawiam ich zawsze w pobliżu ołtarza, żeby sami śpiewali i innym pomogli dobrze śpiewać. Tak, Felicja mogła spokojnie umierać, bo zasłużyła sobie na to całym swoim życiem. Zawsze prowadziła swoje dzieci do Boga, a Bóg błogosławił zbożnym poczynaniom tej dobrej matki.

*Przykład dziewiąty.* W pewnym mieście, do którego przyjechałem podczas moich podróży misyjnych, miejscowa milicja dowiedziała się, gdzie odprawiałem Mszę św. Znalazłem się wówczas w niemałych tarapatach, o których będę jeszcze opowiadał w trzeciej części tego pisma. Naczelnik milicji wezwał do siebie gospodynię tego domu. Była to kobieta lat około 35, Niemka, pobożna katoliczka, dobra żona i matka trojga dzieci. Imię jej będzie u nas Bonifacja (dobrze czyniąca). Najstarszy jej synek miał wówczas 14 lat i chodził do siódmej klasy. Nazwijmy go Pius (pobożny). Naczelnik milicji uczynił Bonifacji ostre wymówki za to, że

przyjęła „papa” w swym domu, a szczególnie za to, że modli się z dziećmi. Zażądał od niej, by mu obiecała, że dzieci przestaną się modlić. Bonifacja stanowczo odmówiła. Wtedy naczelnik milicji zaczął grozić, że każe odebrać jej dzieci i oddać je do „dietdoma”, czyli sierocińca, gdzie zostaną wychowane na uczciwych obywateli Związku Radzieckiego. Bonifacja dała mu taką odpowiedź: „Jeżeli nawet wy odbierzecie dzieci od ich rodzonej matki, to mamy jeszcze drugą matkę w Niebie – Bożą Rodzicielkę. Będę się modliła do Niej za moje dzieci, a tej matce i wy nie potraficie odebrać moich dzieci”. Trzeba przyznać, że jest to odpowiedź godna zapisania w aktach męczenników. Warto tu wyjaśnić, że to były czcze pogrożki tego milicjanta, który na próżno usiłował zastraszyć mężną Bonifację. Prawo radzieckie bynajmniej nie pozwala odbierać dzieci matce za to, że ona się z nimi modli. Wolno to uczynić, jeżeli rodzice – jak to bywa u niektórych skrajnych sekciarzy – odmawiają posyłania dzieci do szkoły, lub jeżeli dzieci są całkowicie źle wychowywane przez zdemoralizowanych rodziców, np. gdy oboje są nałogowymi pijakami.

Oprócz naczelnika milicji wezwał jeszcze do siebie Bonifację dyrektor tej szkoły, do której chodzi dwoje jej starszych dzieci. Dyrektor rozmawiał z Bonifacją w całkiem grzeczny sposób. Usiłował ją przekonać, że jest rzeczą szkodliwą dla wychowania, gdy dziecko słyszy co innego w szkole, a co innego w domu. Według tego „oświatodawcy” właśnie dla dobra swoich dzieci Bonifacja powinna zrezygnować z ich religijnego wychowania, a sama może się modlić, ile tylko zechce. Bonifacja wysłuchała cierpliwie dyrektora i oczywiście niczego nie obiecała. Dyrektor wezwał do siebie także 14-letniego Piusa i oświadczył mu, że ma, jako przyszły budowniczy komunizmu, odrzucić precz wiarę i modlitwę. Pius także wysłuchał pana dyrektora i także niczego nie obiecał.

Odpowiedź Bonifacji i Piusa na te wszystkie tentacje była następująca: mniej więcej pół roku po tych wydarzeniach Bonifacja i Pius wyjechali do Karagandy, zaraz się zgłosili do mnie, oboje się wypowiedali i przyjęli Komunię św. Upłynęło pięć lat. Na wesele swojej ciotecznej siostry (oczywiście po ślubie kościelnym) znowu przyjechał do Karagandy Pius, tym razem sam, bez matki. Pius był już 19-letnim młodzieńcem. Ukończył całą szkołę średnią. Już zaczął pracować zawodowo i znowu się zgłosił do mnie, wypowiedał się i przyjął Komunię św. Na weselu zrobił wrażenie wprost budujące. Kategorycznie odmówił picia wszelkich napojów alkoholowych, nawet piwa. Okazało się, że Pius nie umie tańczyć. Panienki próbowały go uczyć sztuki tanecznej, ale on nie zdradzał zapachu nawet do tańca.

*Przykład dziesiąty.* Osiedliła się na stałe w Karagandzie pewna niemiecka rodzina. Przyjechali oni z daleka i nigdy nie widzieli żadnego księdza, nie mówiąc już o kościele. Była to rodzina bardzo zaniedbana. Ojciec i matka tej rodziny, ludzie w średnim wieku, żyli bez ślubu. Ojciec był luteraninem, matka – katoliczką. Starsza córka była także zamężna za luteranina i także bez ślubu. Oprócz nich było w tej rodzinie jeszcze troje dzieci młodszych: dwóch chłopców i dziewczynka. Te dzieci nie były nawet ochrzczone. Jest jednak zasługą matki tej rodziny, którą nazwiemy Konstancja (stała), że wkrótce po przyjeździe do Karagandy zgłosili się do księdza. Było z tą rodziną bardzo dużo roboty. Trzeba ich było przede wszystkim uczyć wiary i modlitwy, bo niczego nie wiedzieli. Troje dzieci przyjęło uroczystie chrzest. Do pierwszej Komunii św. przystąpiło ich pięcioro: oprócz trojga dzieci, także ich starsza siostra zamężna oraz sama matka Konstancja, która przedtem nigdy w życiu się nie spowiadała. I matka, i córka zawarły ślub kościelny ze swoimi mężami, którzy wprawdzie nie przyjęli katolicyzmu, ale bardzo chętnie uczęszczali na nabożeństwa katolickie. Konstancja się rzeczywiście nawróciła. Z biednej, zaniedbanej radzieckiej „graždanki” stała się pobożną katoliczką i gorliwą matką chrześcijańską. Pod jej kierownictwem dzieci rosły i wcale nie zaprzestawały się modlić, jak to jest w rodzinach niedbałych. Dzieci modlą się systematycznie i często, a nawet chętnie przystępują do sakramentów świętych. Starsza córka jest teraz pobożną młodą kobietą, dobrze i zgodnie żyjącą z mężem, wychowuje dwoje dzieci. Młodsza córeczka wyrosła na miłą, inteligentną i pobożną panienkę. Starszy syn odbywa obecnie służbę wojskową. Kiedy przyjechał na urlop do Karagandy, zaraz z tego skorzystał, by się wyspowiadać i przyjąć Komunię św. Młodszy synek najbardziej interesuje się futbolem, ale już pani Konstancja czuwa skutecznie nad tym, by wśród futbolowych emocji nie zapomniiał o Bogu i modlitwie.

*Przykład jedenasty.* Działo się to w Karagandzie, w styczniu 1959 r., tuż po moim trzecim uwięzieniu – podczas śledztwa. Sędzia śledczy w stopniu kapitana był człowiekiem z natury spokojnym, a wobec mnie zawsze grzecznym. Otóż urządził konfrontację moją z bohaterką tego przykładu, którą będziemy nazywać Audacją (odważna). Pani Audacja, osoba w owym czasie mniej więcej 30-letnia, jest Niemką, a przedtem była luteranką. Pod wpływem swojej pobożnej katolickiej przyjaciółki przyjęła katolicyzm i ją ochrzciłem. Od samego chrztu stała się Audacją przekonaną i pobożną katoliczką. Nie wiem, dlaczego urządzono mi konfrontację właśnie z nią. Przypuszczalnie chciano od niej wydobyć zezna-

nia, że ja ją przymusiłem do chrztu i że ja przymusowo „nasadzam” katolicyzm w Karagandzie.

Audacja weszła na konfrontację z podniesioną głową. Od razu widać było, że nic się nie boi. Sędzia śledczy zaczął pisać protokół konfrontacji. Nie wiem, co on tam napisał, lecz wiem, że jego dialog z Audacją brzmiał tak:

Sędzia śledczy po napisaniu personalnych danych: „Czy ty jesteś znajoma z Bukowińskim?”

Audacja (ostro i głośno): „Tak, ja jestem z nim nawet bardzo dobrze znajoma”.

Sędzia śledczy: „W jakich stosunkach byłaś z Bukowińskim? Czy wasze stosunki były dobre, czy też między wami były nieporozumienia i jakie?”

Audacja (jeszcze ostrzej i głośniej): „Tak, nasze stosunki zawsze były dobre, a nawet bardzo dobre i inaczej być nie mogło, bo on jest bardzo dobrym i spokojnym człowiekiem. Ale ja sama mam do was pytanie: dlaczego wy aresztujecie takiego dobrego człowieka? Tu w Karagandzie kobieta nie może spokojnie przejść przez ulicę. Kręci się pełno chuliganów, którzy zdzierają palta, a wy ich nie aresztujecie. Za to aresztujecie takiego człowieka jak Bukowiński. Tego to ja już nie mogę pojąć!”

W takim duchu odpowiadała dalej nieustraszona Audacja. Oczywiście konfrontacja skończyła się na niczym. Audacja wyszła jak przysła – z podniesioną głową. Zostaliśmy w pokoju z sędzią śledczym tylko we dwóch. Pan sędzia śledczy tak podsumował swoje wrażenia z konfrontacji: „Widzicie, co to za kobieta. To ‘nastojaszcz’a’ fanatyczka – z którą nawet nie można spokojnie porozmawiać. Da, da, Bukowinskyj, ty mnogo naroda isportił (Tak, tak, Bukowiński, zdemoralizowaliście dużo ludzi)”.

*Przykład dwunasty.* Dnia 7 października 1969 r., w święto Matki Boskiej Różańcowej, zmarła w Kamieńcu Podolskim w wieku lat 53 pewna samotna niewiasta. Musiała być wielce zasłużona dla Kościoła, bo w jej pogrzebie wzięło udział pięciu księży katolickich, co jest w warunkach radzieckich rzeczą niebywałą. Zmarła nazywała się Julia Bojarska.

Dzieje życiowe Julii Bojarskiej są charakterystyczne dla wielu innych niewiast w tym kraju. Pochodziła z Kamieńca Podolskiego. Urodzona w 1916 r., w młodym wieku wyszła za mąż za pewnego również młodego Rosjanina, bez ślubu kościelnego. Po kilku miesiącach mąż porzucił ją. Nigdy już potem Julia nie chciała wychodzić za mąż. Tymczasem aresztowano jej ojca i braci i wywieziono z Kamieńca już na zawsze. Pozostały we dwie: Julia i jej matka, już starszka, bo Julia była jej najmłodszym dzieckiem. Kiedy latem 1944 roku przybyli do Kamieńca po-

słani przez księdza biskupa Szelażka ksiądz kanonik Kukuruziński i ks. Beń, Julia od razu zaczęła im pomagać w pracy. Już przedtem zresztą pomagała w pracy i nie tylko w pracy mieszkającemu prywatnie w mieście staruszkowi-księdzu, prałatowi Władysławowi Dworzeckiemu. Po aresztowaniu księży Kukuruzińskiego i Benia w końcu grudnia 1944 roku Julia zorganizowała systematyczną pomoc żywnościową dla nich oraz dla ks. bpa Szelażka, a także Gałęzowskiego, Kuczyńskiego i dla mnie, bo zostaliśmy bez własnych parafian, którzy wyjechali z województwa wołyńskiego na zachód. Wprawdzie paczki żywnościowe posyłane nam przez Julię najpierw do więzienia, a potem do obozów przymusowej pracy bywały podpisywane przez różne osoby, jednak Julia w swej gorliwości nie patrzyła na związane z tym niebezpieczeństwa.

W 1948 r. aresztowano Julię Bojarską. Oczywiście chodziło o nasze paczki żywnościowe. Julia i na śledztwie, i w sądzie broniła się odważnie i umiejętnie. Była ona z zawodu buchalterką i bynajmniej nie należała do prostaczków. Na śledztwie i w sądzie wciąż powtarzał się taki mniej więcej dialog:

Oni: „Dlaczego posyłałaś paczki?”

Julia: „Nie robiłam nic nielegalnego. Posyłałam paczki jawnie przez pocztę i otrzymywałam oficjalne pokwitowanie odbioru z każdego obozu pracy, do jakiego paczka była wysyłana”.

Oni: „Tak, ale powinnaś wiedzieć, komuś te paczki posyłała”. Julia: „Posyłałam księżom, którzy są naszymi ojcami duchownymi i którzy dla nas pracowali”.

Oni: „I to mówisz ty, obywatelka radziecka? Ty posyłałaś paczki katolickim księżom, agentom Watykanu, najgorszym wrogom Związku Radzieckiego!” Prokurator zażądał dla Julii 8 lat więzienia. Julia powiedziała sądowi, że ma na utrzymaniu matkę staruszkę, która bez niej przepadnie, po czym Julia gorzko się rozplakała. Sąd skazał Julię na 5 lat pozbawienia wolności. Była to wówczas kara minimalna, tzw. „tietskij urok”, bo zazwyczaj skazywano politycznych na 25 lat.

Julia pojechała do wielkiego żeńskiego obozu pracy, położonego na brzegu rzeki Pieczory w północno-wschodniej części Rosji Europejskiej. Opieka Opatrzności nad nią i jej matką przejawiała się wręcz widomie. Julia chodziła do pracy tylko kilka pierwszych tygodni, potem zaproponowano jej objęcie kierownictwa pralni obozowej. Przedtem w tej pralni były nadużycia i kradzieże. Julia objęła kierownictwo pralni i wszystko doprowadziła do porządku. W dowód uznania dano jej na mieszkanie osobny malutki pokoik. Julia przywiesiła obraz Matki Boskiej Częstochowskiej nad łóżkiem i w wolnych chwilach modliła się ile tylko chcia-

ła. I tak w tej pralni Julia spokojnie i prawie że wygodnie dobyteła do końca owej „pięciolatki”, a następnie wróciła do swej mamusi, do Kamieńca. Tak nad córką, jak i nad matką widocznie czuwała Opatrzność Boska. Kamienieccy katolicy otoczyli staruszkę troskliwą opieką, tak iż oprócz córki no i zdrowia nic jej nie brakowało. Staruszka doczekała się powrotu córki z obozu, pożyły one razem jeszcze dwa lata, po czym staruszka zmarła pobożnie w obecności swej córki i opiekunki.

Julia osamotniona po śmierci matki mieszkała nadal w swym rodzinnym Kamieńcu Podolskim, gdzie miała po rodzicach własny domek z sadem i ogrodem. W kamienieckiej społeczności katolickiej (nie mającej swego kościoła i księdza z powodu uporczywego oporu władz) Julia była szczególnie lubiana i szanowana. Często jeździła autobusem do okolicznych kościołów, a zwłaszcza do Czerniowiec, do Barszczewa i do Hrecznej koło Poskirowa. W ostatnich latach życia dużo się nacierpiała przez chorobę. Była zbyt otyła i miała silnie opuchnięte nogi. Wysłużyła sobie śmierć chrześcijańską i piękny pogrzeb. Ja osobiście nie oplakuję Julii. Modłę się za nią i będę się modlił w przyszłości. Bóg skrócił jej cierpienia na ziemi i przyspieszył osiągnięcie dobrze zasłużonej nagrody wiekuistej. Ale i wy, nasi czytelnicy, pomódlcie się czasem za śp. Julię Bojarską...

Skoro już rozważyliśmy śmierć i życie Julii Bojarskiej, to pragnąłbym poinformować moich przyjaciół, że i ja sam dwa razy w życiu przeżywałem śmierć. Myślałem, że już zaraz, lada chwila umrę. Pierwszy raz było to dnia 23 czerwca 1941 r., a drugi raz dnia 6 kwietnia 1949 r.

Dnia 23 czerwca 1941 r., w drugim dniu wojny radziecko-niemieckiej, znajdowałem się w więzieniu w Łucku. Tegoż dnia były tam krwawe i tragiczne zajścia, a mianowicie masowe rozstrzeliwania więźniów. My wszyscy, którzyśmy szczęśliwie zostali przy życiu, także leżeliśmy na dziedzińcu więziennym pod gradem kul. Uważam za zbyt cenne szczegółowo to opisywać. Wszak żyją w Polsce tacy, co przeżyli tę samą straszliwą makabrę. Natomiast uważam za wskazane opisać wam tylko jeden moment.

Kiedy leżałem na dziedzińcu więziennym pod kulami, byłem dziwnie spokojny. Całe moje – wówczas 36-letnie – życie skurczyło się do jakiejś znikomej chwilki. Udzieliłem jeszcze rozgrzeszenia moim sąsiadom leżącym obok mnie na ziemi. Myśl moja pracowała bardzo intensywnie. Przeżywałem koniec doczesności i brzask wieczności. Było to przeżycie niewypowiedziane i wzniosłe, absolutnie niemożliwe do zapomnienia. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym odczuł ból rany. Ale nie

było żadnego bólu ciała, a duch krążył swobodnie między doczesnością a wiecznością, jak nigdy przedtem i potem w życiu.

Trzy dni później byłem już na wolności.

Dnia 6 kwietnia 1949 r. znajdowałem się w szpitalu obozowym w Czelabińsku, bo byłem bardzo ciężko chory na zapalenie płuc. Choroby tej nie można było uniknąć. Codziennie chodziłem na robotę, lecz byłem bardzo silnie przeziębiony, kaszlałem uporczywie i czułem się fatalnie. Niejednokrotnie prosiłem o zwolnienie z pracy, którego wciąż mi odmawiano, bo nie było podwyższonej temperatury. Aż pewnego dnia wróciłem z pracy do obozu rozpalony wysoką temperaturą i miotany dreszczami. Zaraz po powrocie z pracy udałem się do szpitala obozowego. Zmierzone mi temperaturę. Było 40,6 stopnia.

Leżałem w szpitalu już mniej więcej tydzień. Z każdym dniem czułem się coraz gorzej coraz słabiej. Nie było silnych bólów, ale ta słabość niewyobrażalna... Aż wreszcie, było to 6 kwietnia wieczorem, poczułem, że umieram. Byłem tak słaby, że trudno było myśleć, ale raczej podświadomie pojawiło się skojarzenie z przeżywaną rzekomo zbliżającą się śmiercią, tam, w Łucku, na dziedzińcu więziennym. Jakaż tęsknota do podobnych wzniosłych przeżyć... Tymczasem nic z tego. Sama tylko słabość i raczej apatia. Z rzadka, i to z trudem, westchnienia „O Boże”. I to wszystko, więcej nic. Później, kiedy już wyzdrowiałem, jeden z więźniów-lekarzy mówił mi, jak bardzo się obawiał, że ja tej nocy umrę. Nie umarłem jednak. Od owej nocy minęło już 20 lat.

Przez tych 20 lat przygotowałem wielu, nawet bardzo wielu, na dobrą chrześcijańską śmierć. Niemało już z nich umarło po chrześcijańsku. Nie zapominajmy nigdy o śmierci i o wieczności, tak jak nam to doradza Pismo św.: „Bez przestanku rozważaj swoje rzeczy ostateczne, a nie zginiysz na wieki”.



## DO MOICH PRZYJACIÓŁ KSIĘŻY

Łączą mnie z Wami więzy powołania kapłańskiego i pracy duszpasterskiej. Ta nasza umiłowana praca duszpasterska, prowadzona w warunkach Związku Radzieckiego będzie tematem tej ostatniej, trzeciej części mojego pisma, Wam szczególnie poświęconej.

Bardzo często księża stawiają mi pytanie: jak można uprawiać duszpasterstwo bez kościoła? Można! Wszak na 12 lat mojej pracy w Karagandzie tylko jeden rok miałem kościółek, a 11 lat pracuję bez żadnego kościoła lub domu modlitwy.

Był czas, że zaczęto w różnych miejscowościach otwierać małe kościółki raczej kapliczki, ale bez zezwolenia władz państwowych. Poinformuję, jak to było w Karagandzie. Trzeba wiedzieć, że był czas, kiedy w naszej Karagandzie było na zesłaniu kilkunastu księży katolickich. Było to w latach 1955–56–57. Jeden z tych księży – Litwin – dobrze władający językiem niemieckim, uruchomił wiosną 1956 r. taki kościółek dla Niemców w śródmieściu, lecz nie w jego reprezentacyjnej części. Zachęcony przykładem przyczyniłem się do otwarcia kościółka dla Polaków na przedmieściu, gdzie ich najwięcej mieszka. Równocześnie jeden ksiądz, Ukrainiec, postarał się o kościółek dla grekokatolików, także nie w reprezentacyjnej części.

Jak się to odbywało? Bardzo prosto. Wierni składali ofiary, kupowano dom. Usuwano kilka wewnętrznych ścian i w ten sposób z kilku małych pokojów powstawał jeden wielki pokój lub – jak kto woli – mała sala. Wystawiono i urządzono ołtarz, po czym poświęcono kościółek i rozpoczynano w nim odprawiać nabożeństwa, a wciąż dalej starano się lepiej zaopatrzyć i ozdobić swój rzeczywiście umiłowany kościółek.

Niestety, wszystkie trzy kościółki w Karagandzie były bardzo krótkowieczne. Najpierw, wiosną 1957 r., władze zamknęły kościółek ukraiński, w maju tegoż roku niemiecki, a na ostatku, dnia 4 lipca – polski. Ten polski kościółek w Karagandzie pracował równo rok. Ksiądz Józef Kuczyński poświęcił go 29 czerwca 1956 r., a już 4 lipca 1957 r. nasz biedny kościółek zakończył swój krótkotrwały żywot, został przez wła-

dze zamknięty i nawet opieczętowany, a jak oplakiwany, to chyba tylko Bóg wie...

Nieco dłużej nie zamykali kościółków, w których pracowali ksiądz Bronisław i ksiądz Józef. Były one wcale bogato zaopatrzone i ładnie ozdobione.

Kościółek Bronisława był na wsi Zielony Gaj położonej 80 km na zachód od Celinogradu, do niedawna zwanego Akmolińskiem<sup>5</sup>, a istniał z górą trzy lata: od końca 1955 roku do początku 1959 roku. Został zamknięty po aresztowaniu Bronisława.

Kościółek Józefa był w miasteczku Taińcza obwodu Kokczetawskiego, paręset kilometrów na północ od Celinogradu. Zaczął pracować później niż u Bronisława, bo dopiero latem 1956 roku, ale też został później zamknięty, nie od razu po aresztowaniu ks. Józefa. Jeszcze przez dłuższy czas potem ludzie zbierali się w swoim kościółku i modlili się, ale już bez księdza.

Były też kościółki w innych miejscowościach azjatyckich, po drodze z Karagandy do Ałma-Aty i w miasteczku Kant koło miasta Frunze w Kirgizji. Wszystkie one zostały otwarte bez zezwolenia władz i wszystkie zostały pozamykane.

W wielu miejscowościach azjatyckich starano się u władz o zezwolenie na otwarcie kościółka lub domu modlitwy. Starania były bardzo długie i zawsze bezskuteczne. Dopiero pod koniec 1967 roku zezwolono na otwarcie kościółka w Ałma-Acie i w Kustanaju. Nie była to żadna formalna rejestracja. Nie było nawet zezwolenia na piśmie. Otwarto na podstawie ustnego zezwolenia władz.

Te dwa pierwsze w tych stronach legalne, choć nie zarejestrowane, kościółki istnieją po dziś dzień i pracują, ale bez księdza.

Wprawdzie w kościółku w Ałma-Acie ksiądz pracował za ustnym zezwoleniem władz, ale go władze wypędziły z kościółka po pół roku. Dokładnie to samo powtórzyło się w kościółku w Kustanaju.

Przed moim wyjazdem do Polski przysłała wiadomość, że niemiecki ksiądz Michał Kohler otrzymał zezwolenie władz na pracę duszpasterską w Kirgizji. Prawdopodobnie jest to ustne zezwolenie, a nie rejestracja, choć w Związku Radzieckim są możliwe wszelkie niespodzianki, najczęściej in minus, czasem jednak, z rzadka, in plus. My w Karagandzie nie

---

<sup>5</sup> Obecna nazwa: Astana – od 1998 roku stolica niepodległego Kazachstanu. Miasto to w latach 1832–1961 nosiło nazwę Akmolińsk, w latach 1961–1992 Celinograd, a w latach 1992–1998 Akmoła. Jest to piękne, nowoczesne miasto będące wizytówką Kazachstanu. Ośrodek archidiecezji na czele której stoi J. M. Ks. Abp Tomasz Peta.

spieszmy się teraz po stracie kościółka, bo lepiej i swobodniej da się duszpasterzować bez kościółka niż w takim, wprawdzie legalnym, lecz nie rejestrowanym kościółku. Oczywiście jednak nie jest wykluczona ewentualność otwarcia takiego kościółka także w Karagandzie.

Jakże więc wygląda moja praca duszpasterska bez kościółka w Karagandzie?

Jestem ustawicznie domokrażcą. Nie urządzam żadnych większych nabożeństw u siebie w domu, bo bardzo łatwo władze mogłyby mnie oskarżyć o nielegalny kościół. Jeżeli odprawiam Mszę św. u siebie, to przychodzi kilka pobożnych babek. „I wsio”. Całe moje duszpasterstwo dokonuje się w cudzych domach, lecz w żadnym wypadku nie w jednym domu, chyba dopiero po pół roku, a nigdy zaraz następnym razem.

Nie każdy dom nadaje się do pracy duszpasterskiej. Najlepiej nadaje się domek jednorodzinny, położony na uboczu. Nie jest pożądane sąsiedztwo kina, szkoły lub klubu a jeszcze mniej milicji. Trzeba zwracać baczną uwagę na to, żeby byli spokojni sąsiedzi.

W takim domu można spokojnie się modlić, a nawet głośno śpiewać, byleby tylko były pozamykane drzwi i okna.

Mszę św. można w naszych warunkach odprawiać raniutko lub wieczorem. W dzień odprawiam tylko mszę pogrzebową przy zwłokach.

Zazwyczaj odbywa się to tak: przychodzę po południu lub przed wieczorem. Przede wszystkim urządzam ołtarz. Jest nim zwyczajny stół, byleby tylko mocno stał i nie chwiał się. Stół przykrywa się białym obrusem. Na stół kładzie się duże pudełko lub dwie grube książki, przykrywa się białą chustką i stawia krucyfiks. Świece stawia się w lichtarzach lub, jak ich nie ma – w szklance z solą. Powyżej zawiesza się jeden lub dwa obrazy i ołtarz gotów. Następnie spowiadam. Mszę św. odprawiam o godzinie 9 wieczorem. Po Mszy św. zwykle jeszcze spowiedź. Wreszcie krótki spoczynek nocny. Krótki bo kładę się zwykle po północy, a już o 5-tej lub 6-tej rano jest poranna Msza św., a potem dalej spowiedź, czasami chrzty i namaszczenia olejami świętymi, czasami śluby.

Najczęściej pierwszą mszę odprawiam za żywych członków rodziny gospodarzy, a drugą za zmarłych. Cała rodzina spowiada się i zwykle dwa razy – wieczorem i rano – przyjmuje komunię św. Jakże to ma znaczenie dla życia rodzinnego, tym więcej, że nie ma tam kościółka, każdy łatwo zrozumie.

Ponieważ, to powtarza się wciąż na nowo w różnych domach i rodzinach, więc śpiam częściej w cudzych łóżkach niż w swoim własnym.

Zawsze jestem u innych ludzi w nocy z niedzieli na poniedziałek. Oprócz tego, co najmniej jeden raz w tygodniu, powtarza się to samo w jakiś dzień powszedni, zwykle w środku tygodnia.

Oczywiście, ma przy tym zastosowanie przysłowie „Omnia mea mecum porto” – wciąż trzeba transportować z miejsca na miejsce wszystko, co jest niezbędne do odprawiania Mszy św. i do szafowania sakramentów.

Karaganda jest bardzo rozległa. Moim ulubionym środkiem lokomocji jest samochód osobowy. Nie mam i nie mogę mieć własnego samochodu, czasem korzystam z dobroczynności moich parafian, najczęściej jednak sam je opłacam. W ten sposób najłatwiej i bez zwracania niczyjej uwagi da się urzeczywistnić transport nie tylko samego „jegomościa”, lecz razem z nim i rzeczy kościelnych.

Frekwencja wiernych na nabożeństwach w Karagandzie jest dość znaczna. W niedzielę przychodzi na Mszę św. nie mniej niż 100 osób. W dzień powszedni zbiera się około 50. W niedzielę wierni i bez księdza urządzają nabożeństwa, bo jest niemożliwe, by wszyscy byli obecni na Mszy świętej odprawionej przez księdza. Jeżeli jest małe mieszkanie, to bywa bardzo ciasno i gorąco. Jeżeli jest obszerniejsze, to ludzie mieszczą się dobrze, tylko zazwyczaj nie wszyscy mogą widzieć ołtarz.

Przeciętny karagański katolik czy katoliczka rzadko bywa na Mszy św. odprawionej przez księdza, dobrze jak raz na miesiąc. Ale za to dość duży procent obecnych spowiada się i przyjmuje komunię św.

Pomalutku wprowadzamy coraz więcej języka narodowego do Mszy św. Łatwiej idzie z Mszą św. cichą, trudniej ze śpiewaną, gdyż brakuje nam nut do śpiewów mszalnych w języku polskim i niemieckim.

Niemcy śpiewają już „Vater unser” po niemiecku, a Polacy też nieźle, tylko po polsku. W innych miejscowościach umiejętność śpiewania nie jest znowu tak powszechna.

Trzeba sobie radzić z różnością języków. Bywają wypadki, że na Mszę św. przychodzą i Polacy, i Niemcy razem. Wtedy robię tak: lekcję i ewangelię czytam w obu językach, na pierwszym miejscu w języku gospodarzy domu, a kazanie mówię po rosyjsku, bo ten język rozumieją wszyscy.

Najczęściej jednak mówię w Karagandzie kazania w języku niemieckim, gdyż Niemców jest tutaj o wiele więcej niż Polaków. Często również przemawiam po polsku i po rosyjsku, rzadko po ukraińsku.

Pracy duszpasterskiej jest w Karagandzie dużo ze stałymi mieszkańcami tego grodu. Przysparza pracy to zwłaszcza, że trzeba obsługiwać licznych przyjezdnych. Nie tyle tu chodzi o przyjezdnych z najbliższych okolic, bo oni przeważnie częściej się spowiadają. Chodzi przede wszystkim o przyjezdnych z daleka, którzy nieraz jadą tysiące kilometrów, byleby tylko znaleźć księdza.

Wśród ludności katolickiej bardzo szeroko rozeszła się fama, że w Karagandzie zawsze można znaleźć księdza. Nie mówię już o samym Kazachstanie. Ludzie jadą z południa, z republik Azji Środkowej, czyli z byłego Turkiestanu. Jadą z północy, nieraz aż z Archangielska, choć stamtąd znacznie bliżej do Moskwy niż do Karagandy. Jadą z zachodu, aż z Powołża. Jadą ze wschodu, aż z głębi Syberii. Jadą do krewnych, ale zarazem także do księdza.

Jakże często wśród tych podróżnych i nie tylko wśród nich są tacy, co nie spowiadali się bardzo wiele lat, bywa że 20 lat, ale nawet 40 lat. A może jeszcze częściej bywają tacy, co się nie spowiadali ani razu w życiu. Najstarszym „dzieckiem”, które przystąpiło u mnie do I Komunii św., była pewna wdowa licząca sobie 52 wiosny życia. A takich, którzy przyjęli u mnie komunię św. mając 40 lat, trudno by porachować. Tak samo jest u każdego duszpasterza w tamtych stronach.

Choć więc praca duszpasterska w tamtych stronach, w naszej trzeciej zonie, jest taka sama jak na całym świecie, bo tak samo spowiadamy, chrzczymy, odprawiamy Mszę św., udzielamy Komunii św., błogosławimy związki małżeńskie i dysponujemy na śmierć chrześcijańską – to jednak ma ona pewne osobliwości, które z pewnością zainteresują księży, a myślę, że i innych czytelników.

Zacznijmy od pierwszego sakramentu – od Chrztu.

O chrztach masowych opowiem później przy omawianiu podróży misyjnych. Zwracam uwagę na to, że znacznie częściej niż w krajach katolickich trzeba u nas chrzczyć duże dzieci w wieku szkolnym, dorastającą młodzież, a nawet ludzi całkiem dorosłych. Z braku czasu i przy chrzcie dorosłych stosuje się „ritum parvulum”. Najbardziej jednak znamiennej cechą szafowania chrztu w ZSRR jest bardzo częsta konieczność udzielania chrztu warunkowego. W tych jakże bardzo licznych miejscowościach, gdzie nie ma w pobliżu ani jednego księdza, bardzo jest rozpowszechnione – i słuszne – udzielanie chrztu przez świeckich katolików. Najczęściej chrzci jakaś autorytatywna w danej miejscowości stara babcia. Polacy nazywają taki chrzest chrztem z wody, a Niemcy nazywają go Nottaufe.

„Proszę Ojca Duchownego, ja sama chrzciałam to dziecko z wody”. „A jakże ty je chrzciałaś?” – „A ja umoczyłam palec w święconej wodzie i zrobiłam trzy krzyżyki na czole dziecka: w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”. Oczywiście, że przy takim chrzcie z wody ksiądz udziela dziecku chrztu warunkowego. Ale cała trudność w tym, że rzadko można zobaczyć taką babcie chrzczącą. Często jest ona na tamtym świecie albo mieszka gdzieś daleko. A skąd ma ksiądz wiedzieć, jak ta babcia

chrzcila, prawidłowo czy nie? Więc nie ma innej rady, tylko trzeba udzielić chrztu warunkowego. Jeśli taki chrzest warunkowy przyjmuje dane dziecko albo ktoś starszy, to oczywiście po chrzcie warunkowym obowiązuje spowiedź.

Jak trzeba, to mówimy ludziom, że „batuszka” w cerkwi chrzci prawidłowo i że ksiądz nie będzie drugi raz chrzczył dziecka, ochrzczonego przez „batuszkę”. Jednak pomimo ekumenizmu byłoby w warunkach radzieckich ryzykowne zlecać katolikom chrzest batuszki tam, gdzie nie ma księdza. Raczej trzeba uczyć świeckich katolików czy katoliczki umiejętności prawidłowego udzielania chrztu. Odsyłanie do „batuszki” rodzi niebezpieczeństwo indyferentyzmu, że to wszystko jedno, czy u księdza, czy u „batuszki”, że jest kościół i że jest cerkiew, ale to wszystko jedna wiara. Od chrztu przejdźmy do spowiedzi.

Najznamienniejszą osobliwością szafowania sakramentu pokuty w naszej trzeciej zonie jest zachodząca konieczność przyjmowania spowiedzi generalnej z całego życia. Taką generalną spowiedzią jest nie tylko pierwsza spowiedź w życiu. Jeżeli ktoś spowiadał się przed 20-tu laty, czyż można się przy spowiedzi ograniczyć tylko do tych dwudziestu lat? Czyż nie jest ze wszech miar wskazana spowiedź generalna z całego życia?

Kiedy w 1954 roku przyjechałem do Karagandy (przede mną nie było tam żadnego księdza), kiedy zacząłem spowiadać ludzi, którzy nie spowiadali się już wiele lat, to prawie wszystkie spowiedzi musiały być generalne.

Często przed wysłuchaniem wiernego trzeba dać krótkie pouczenie o sakramencie pokuty i komunii św. Spowiedź generalna trwa długo. Spowiednik musi dokładnie wypytać się. Bez pomocy spowiednika nie więcej jak 10 procent spowiadających się potrafi się dobrze wyspowiadać. Inni bardzo często mówią drobiazgi, a zapominają wyjawić bardzo poważne grzechy.

Konfesjonału nie ma. Ja nie żądam, by penitenci cały czas klęczeli. Kto może, robi to, wtedy ja błogosławię, potem posadzę na krzeselku, a przy końcu spowiedzi każę uklęknąć i udzielam rozgrzeszenia. W konfesjonale długa spowiedź na klęczkach jest dla penitenta przeszkodą do głębszego zastanowienia się i przeżycia spowiedzi.

Jeżeli się da i jeżeli są ku temu warunki, to przyjmuję spowiedź generalną przed udzieleniem sakramentu namaszczenia olejem i odpustu zupełnego na godzinę śmierci. Szczególnie często udzielamy namaszczenia olejem wraz z odpustem zupełnym osobom przyjezdnym. Nie można przecież pozwolić na to, by 70-letni staruszkowie wyjeżdżali z Ka-

ragandy do swoich odległych o tysiące kilometrów domów wprowadzie wypowiedani i wykomunikowani, lecz nie zaopatrzeni na drogę wieczności. Otóż w takich wypadkach spowiedź generalna jest szczególnie wskazana i powszechnie przez nas stosowana. Dla wielu z tych przyjezdnych była to rzeczywiście ostatnia spowiedź w życiu, bo u siebie w domu nie było już możliwości wypowiedania się bezpośrednio przed śmiercią z tej prostej przyczyny, że tysiące kilometrów naokoło nie ma ani jednego kapłana katolickiego. Niejedną żalobną Mszę św. odprawiłem za takich przeze mnie zaopatrzonych na drogę wieczności w Karagandzie.

Duszpasterz w naszych warunkach musi sobie zdawać sprawę ze swojej ogromnej odpowiedzialności. Bywa często tak, że jestem pierwszym księdzem katolickim, którego widzi w życiu osoba ze mną rozmawiająca, albo też pierwszym od 20, czy nawet 40 lat. Muszę zrobić wszystko, co leży w mojej mocy, by ta osoba odniosła jak najlepsze wrażenie z tego spotkania. Jeżeli się ta osoba spowiada, to nie wolno jej zbywać byle czym, spoglądać na zegarek, ale trzeba jej pozwolić całkowicie się wypowiedzieć i dać głęboko nieszablonowe pouczenie. Jeżeli nie ma na to czasu, to umawiam się z taką osobą na drugi dzień, chyba że ona już wyjeżdża z Karagandy, to muszę jej służyć mimo braku czasu.

Spowiedzią generalną z całego życia jest także zazwyczaj spowiedź przedślubna. Często w naszych warunkach bywa tak, że spowiedź przedślubna jest pierwszą spowiedzią w życiu. Ale nawet jeżeli ona nie jest pierwsza, to powinna być – i zazwyczaj bywa – generalna. W naszych warunkach pouczenie nowożeńców o samym tylko sakramencie małżeństwa byłoby całkowicie niewystarczające. Trzeba pokrótce dać szersze pouczenie o głównych prawdach wiary, a zwłaszcza o spowiedzi i komunii św., do których nowożeńcy będą przystępować. Bardzo wielu z nich, szczególnie młodszych, nie odróżnia ślubu kościelnego od cywilnego. Uważają, że to jest to samo. Tylko do ślubu kościelnego trzeba znaleźć księdza, a do ślubu cywilnego zgłosić się do urzędu stanu cywilnego.

### **Małżeństwo.**

Najznamienniejszą osobliwością duszpasterstwa w tej dziedzinie jest u nas to, że stosunkowo rzadziej błogosławimy związek małżeński nowo zawarty, jak to się robi na całym świecie. Częściej trzeba błogosławić taką parę małżeńską, która już żyje ze sobą, ale bez błogosławieństwa kapłańskiego. Miałem i takie wypadki, że równocześnie dawałem ślub ojcu i synowi, matce i córce, jak to np. było z ową Konstancją i jej starszą

córką, o czym opowiadałem w przykładzie dziesiątym w drugiej części tego pisma.

Napisałem, że takie pary małżeńskie żyją bez błogosławieństwa kapłańskiego, bo jednak nie wszystkie żyją bez ślubu.

Wśród Niemców katolików dość jest rozpowszechniona Nottraung. Tam, gdzie nie ma księdza, narzeczony i narzeczona składają przysięgę małżeńską w obecności dwóch świadków katolików. To już jest prawdziwe małżeństwo ślubne sakramentalne. Gdy tacy małżonkowie później spotykają księdza, to oboje spowiadają się i przyjmują komunię św. oraz odnawiają przysięgę małżeńską na ręce księdza, który następnie błogosławi ich związek małżeński powagą Kościoła Katolickiego.

U Polaków niestety taka Nottraung nie jest znana i stosowana. Dość często bywa tak, że przed weselem rodzice błogosławią nowożeńców obrazami, ale nie ma przy tym żadnej przysięgi.

Najczęściej kapłan spotyka takie pary małżeńskie, u których nie było żadnych elementów religijnych przy zawarciu małżeństwa. Nieraz ci biedni ludzie żyją ze sobą długie lata, a jeszcze ani razu w życiu nie spowiadali się i nie przyjmowali komunii św.

Doprowadzić do Boga takich małżonków, a często razem i ich dzieci i całą rodzinę jest wielkim i wdzięcznym zadaniem duszpasterza w ZSRR. Bywają jednak takie wypadki, że nie można dać ślubu, bo np. był ślub kościelny z drugą osobą. Bywa i tak że można by dać ślub, lecz byłoby to wielce nieroztropne, gdyż małżonkowie żyją ze sobą bardzo źle, najczęściej z powodu nałogowego pijaństwa męża.

W naszych warunkach należy bardzo uważać, by nikogo obcesowo nie potrącać, lecz zawsze zachęcać do pobożności i uczęszczania na nabożeństwa.

O małżeństwach mieszanych nie będę wiele pisał, bo są to sprawy takie, jak na całym świecie. Szczególnie często zdarzają się niestety małżeństwa mieszane Polaków i Polek z Rosjanami oraz prawosławnymi Rosjanami i Ukraincami. U Niemców-katolików małżeństwa mieszane z Niemcami-luteranami i baptystami, znacznie rzadziej z Rosjanami i Rosjankami.

Z tych małżeństw mieszanych, zwłaszcza z Rosjanami i Rosjankami, mała jest pociecha, a wielkie niebezpieczeństwo, że takie małżeństwo choć ślubne – wkrótce się rozejdzie.

Oczywiście, że są wyjątki. Są małżeństwa mieszane wręcz wzorowe, zwłaszcza jeżeli strona niekatolicka przyjęła katolicyzm. Ale te najlepsze ze znanych mi małżeństw mieszanych są z Niemcami luteranami, a nawet i z... muzułmanami.



Kiedyś ochrzciłem po odpowiednim przygotowaniu pewnego Turkmena i dałem mu ślub z Niemką, z którą zresztą żył już przedtem. Przy chrzcie dostał na imię Aleksander, a znany jest w sąsiedztwie pod zdrobniąłą formą tego imienia jako „Saszka”. Otóż ów Saszka stał się bardzo gorliwym katolikiem, nauczył się różnych niemieckich modlitw. Chodzi często na nabożeństwa. Chętnie spowiada się i przyjmuje komunię św. Gdy jakiś młody a leniwy Niemiaszek nie chce iść do spowiedzi, zwłaszcza do spowiedzi wielkanocnej, to mama i babcia stawiają mu za wzór Saszkę: „Jak to, Saszka do niedawna nie był chrześcijaninem, a jak chętnie chodzi do spowiedzi. Jak tobie nie wstyd – ty katolik z dziadapradziada”.

Komunii świętej udziela się u nas tak jak wszędzie. Staram się, żeby przyjmowano komunię św. podczas Mszy św., lecz często muszę jej udzielać poza Mszą św.

Mszę św. częściej odprawiam śpiewaną niż cichą, bo ludzie tak wolą. Jeżeli nie jest ona żałobna, udzielam po zakończeniu błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. Jeżeli w jakimś domu – co bywa bardzo często – odprawiam dwie Msze św., wieczorem i rano, to jest Najświętszy Sakrament od Mszy św. wieczornej, aż do zakończenia rozdawania komunii św. podczas Mszy św. porannej.

W myśl wskazań Soboru staramy się, by i w Karagandzie wierni rozumieć Mszę św. i aktywnie w niej uczestniczyli. Jest i w Karagandzie sporo pobożnych osób, które często się spowiadają i komunikują.

Przy rozdawaniu komunii świętej trzeba się liczyć z tym, że bardzo wielu jest takich, którzy nie wiedzą o tym, że w komunii przyjmują Pana Jezusa. Po prostu ludzie o tym zapominają. Jeżeli w samej Karagandzie jest pod tym względem trochę lepiej, to już w okolicach Karagandy lub z dala od niej bywa z tym całkiem źle. I takich jest niemało, którzy nawet nie wiedzą o tym, że Pan Jezus umarł na krzyżu, a jeszcze mniej, że zmartwychwstał. Żegnają się w imię Ojca i Syna i Ducha św., a nie mają pojęcia o Ojcu, ani o Synu, ani o Duchu świętym. Dlatego trzeba ludziom wciąż na nowo, niezmiernie przypominać, kogo my przyjmujemy w komunii św.

Poważnym problemem w naszej trzeciej strefie jest sprawa przyjmowania komunii św. przez świeckich bez księdza. Niemcy nazywają to „Selbstkomunion”. U księży pracujących w naszej trzeciej strefie są co do tego zdania podzielone. Są wśród księży zwolennicy i przeciwnicy tej praktyki. Były już smutne nadużycia. Niektórzy księża, chwilowo przyjezdni, zbyt lekkomyślnie zostawiali Najświętszy Sakrament w miejscowościach, gdzie nie ma księdza. Pojawiały się już takie „matki kościoła”,

które rozdawały ludziom komunię św. tak jak ksiądz, co wywoływało zgorzsenie i uśmieszki, szczególnie wśród młodzieży. W jednym wypadku wiadomo mi, że milicja zabrała Najświętszy Sakrament i już więcej – mimo próśb i nalegań nie oddała...

Ja sam zostawiałem ludziom Najświętszy Sakrament, ale ściśle imiennie określałem, kto ma przyjmować komunię św. i zostawiałem na krótki, ściśle określony czas. Przy takiej praktyce zabranialiśmy rozdawania komunii św. przez jedną osobę. Wszak nie ma u nas diakonów. Odbywa się to w ten sposób, że każda z komunikujących się osób podchodzi do ołtarza i sama bierze z puszki lub naczynia zastępującego konsekrowane naczynko, komunikant przy pomocy łyżeczki.

Mój sąsiad, ksiądz prałat Chira, pozwala dość dużej grupie pobożnych osób często przyjmować komunię św. bez księdza, bo inaczej to częsta komunia św. nie byłaby możliwa. Ale to wszystko dokonuje się pod ścisłą kontrolą księdza prałata i nie może wywoływać żadnych zastrzeżeń.

Ale co się dzieje tam, gdzie ksiądz jest daleko?

Niestety, dzieje się bardzo źle.

Wkrótce po moim powrocie do Karagandy po zakończeniu trzeciego uwięzienia – było to w roku 1952 – przychodzi do mnie polska kobieta i przynosi mi ni mniej ni więcej tylko Najświętszy Sakrament. „Był u mnie ksiądz i to mi zostawił i odjechał”. A jak dawno to było? – „A już minęło cztery lata”. Wypytuję dokładniej. Nie ulega wątpliwości: odprawił mszę św., zakonsekrował komunikanty i odjechał. Owa kobieta i sąsiadki modliły się przed Najświętszym Sakramentem ale obawiały się bez spowiedzi przyjmować komunię św. W końcu ta ofiara niedbalstwa owego księdza odwiozła Najświętszy Sakrament do Karagandy, ale w jakim stanie! Widocznie była wilgoć w tym mieszkaniu, bo komunikanty były zlepione, a było ich dużo. Oczywiście sam to spożyłem, a nie dawałem nikomu z naszych wiernych, bo sam nie wiem, czy pod taką postacią może się jeszcze zachować Ciało Chrystusowe?

W innych wypadkach było jeszcze gorzej. Ksiądz przyjechał, zostawił i pojechał, a ta kobieta, u której zostawił, nawoływała ludzi do przyjmowania komunii św. bez spowiedzi, bo sam ksiądz tak mówił. Jedni nie chcieli przyjmować, ale byli i tacy, co niestety przyjęli. Prawdopodobnie była tam jednak komunia świętokradzka...

W innym wypadku pewna „matka kościoła” rozdawała zwyczajne, poświęcone opłatki jak u nas na Wigilię Bożego Narodzenia. Niemcy nie mają wieczery wigilijnej. Wielu z nich spożywało opłatek dany przez ową niewiastę w mniemaniu, że przyjmują komunię św., i to bez spowie-

dzi, a tymczasem był to zwyczajny opłatek poświęcony, lecz wcale nie konsekrowany.

Letnią plagę naszych Niemców mieszkających daleko od księdza stanowi następujące zjawisko: jakaś Niemka, zazwyczaj osoba pobożna, otrzymuje list polecony, a w nim opłatki, nawet nie komunikanty, przy czym w liście zazwyczaj bywa objaśnienie, że to Najświętszy Sakrament. A w rzeczywistości jest to najzwyczajniejsze w świecie, ale bardzo wyrafinowane oszustwo. Raz jedna Niemka zamieszkała daleko od Karagandy dała mi taki list do przeczytania. List ten był tej treści: „Przesyła to Tobie za pośrednictwem tej osoby, której nazwisko figuruje na kopercie, jeden ksiądz katolicki (nazwisko jego wcale nie jest podane), który mieszka w Moskwie. On odprawił Mszę św. i to zakonsekrował dla Ciebie i dla Twojej rodziny i sąsiadów. Możecie przesyłać dla tego księdza ofiary pieniężne pod takim a takim adresem w Moskwie”. Że to jest jawne oszustwo, nie ulega wątpliwości. Szczególnie rozbijające jest powoływanie się na księdza katolickiego w Moskwie. Wszędzie łatwiej jest uzyskać zameldowanie księdza niż właśnie w Moskwie, w stolicy Związku Radzieckiego. Jedynym księdzem katolickim zameldowanym w Moskwie jest proboszcz moskiewski, którego i tak czynniki rządowe zmieniają częściej niż jakiegokolwiek innego proboszcza w całym ZSRR. Ale jakże trudną jest w Związku Radzieckim walka z takimi oszustami sięgającymi zamęt w sumieniach...

Szczególnie ważną i czasochłonną pracą duszpasterską w Związku Radzieckim jest przygotowanie do I spowiedzi i komunii św. Trzeba przygotować dorastającą młodzież, bo i z nich wielu jeszcze ani razu się nie spowiadało. Trzeba przygotować wielu spośród nowożeńców, trzeba nieraz przygotowywać ludzi całkiem dorosłych, a nawet dobrze już podstarzałych. I nie można całej tej pracy zwać na katechetki, nawet jeżeli się takie znajdują, co raczej jest dość rzadkim wyjątkiem, lub na rodziców, którzy najczęściej sami mało wiedzą.

W dodatku ta praca, zwłaszcza jeżeli chodzi o dzieci i młodzież, jest szczególnie źle widziana przez władze państwowe. Przedstawiciele władz lubią się powoływać na to, że jakoby jest zabronione nauczanie religii do 18 roku życia. Nie mam czasu na studiowanie ustawodawstwa radzieckiego. Jak się jednak wydaje, nie ma formalnego zakazu, jest tylko ogólna zasada rozdziału Kościoła i państwa oraz szkoły i Kościoła. Oczywiście jednak nie ma i nigdy nie było dotąd zezwolenia władz na nauczanie religii dzieci i młodzieży w Związku Radzieckim.

Księża rejestrowani, pracujący w rejestrowanych kościołach w drugiej zonie – na Ukrainie i Białorusi – szczególnie są krępowani pod tym

względem. W pierwszej zonie na Litwie i Łotwie – o ile wiem – jest nieco swobodniej ale też nie bez skrępowania.

Na Ukrainie jeżeli nie zawsze, to jednak najczęściej bywa to tak: ksiądz daje instrukcje matkom, jak i o czym mają uczyć swoje dzieci. Matka przyprowadza dziecko do księdza. Ksiądz egzaminuje dziecko, poucza je, stara się pozyskać jego zaufanie i od razu spowiada dziecko i matkę. Dziecko przyjmuje swoją pierwszą komunię św. podczas mszy św. zawsze razem z matką, bo to jest konieczne dla obrony księdza przed władzami. Ale nie ma mowy o uroczystości komunijnej, żadnej komunii grupowej, żadnych białych sukienek czy weloników, żadnego komunijnego przemówienia księdza. Ksiądz co ma dzieciom powiedzieć, to mówi w związku z egzaminem i spowiadaniem dziecka, ale nie przed udzieleniem mu I komunii św.

W naszej trzeciej zonie, przy pomocy duszpasterskiej w domach prywatnych, jest lepiej niż w drugiej. Wprawdzie nie wszyscy księża robią tak jak ja. Szczególnie ci księża, którzy wpadają tylko na krótką chwilę do jakiejś miejscowości, przeważnie nie mają czasu na takie przygotowania do I spowiedzi i komunii św., jakie ja przeprowadzam nie tylko u siebie w Karagandzie, ale także podczas moich wypraw misyjnych. Wszędzie jednak w naszej trzeciej zonie bywają komunie grupowe, choćby w całkiem małej grupie. Wszędzie są w użyciu białe sukienki i weloniki dla dziewczynek, a białe koszulki dla chłopczyków. I wszędzie ksiądz choćby króciutko przemawia do dzieci przed ich komunią świętą.

Opowiem teraz nieco szczegółowiej, jak ja sam to przeprowadzam. Nie chodzi tu o jakąś autoreklamę, tylko o wskazania pewnego maximum, jakie można osiągnąć w warunkach naszej trzeciej zony.

W Karagandzie przygotowanie dzieci i młodzieży do I komunii św. przeprowadzamy podczas wakacji letnich. Przeciętna grupa składa się z 10–15 osób, w wieku co najmniej 9 lat, ale z rzadka bywają grupy trochę liczniejsze, składające się z 20–25 dzieci.

Dzieci niemieckie najpierw chodzą do katechetki, a jest ich kilka w Karagandzie, która przerabia z nimi przede wszystkim materiał pamięciowy, a potem dopiero przychodzą do mnie. Dzieci polskie przychodzą od razu do mnie, bo nie ma dla nich katechetki, ale ja sam uczę je zwykle o dwa dni dłużej niż dzieci niemieckie.

Moja katecheza, tak dla dzieci jak i dla dorosłych przygotowujących się do I komunii św., jest podzielona na 6 punktów: 1) Bóg, 2) Jezus Chrystus, 3) Kościół Katolicki, 4) Żywot wieczny, 5) Spowiedź, 6) Komunia św. Równocześnie z dziećmi uczę – oczywiście osobno – ich

matki. Każde dziecko musi osobiście i publicznie podziękować swojej matce, przeprosić ją i obiecać, że po pierwszej spowiedzi i komunii św. będzie dobrym i posłusznym dzieckiem. Zalecamy także przeprosiny ojca i babci, jeżeli razem mieszkają.

Dzieci niemieckie uczyć zwykle trzy dni, po czym one przychodzą na naukę dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Dzieci polskie uczyć dwa dni dłużej. Czwarty dzień jest przeznaczony na spowiedź dzieci i członków ich rodzin, a w piątym dniu z rana lub wieczorem odbywa się ważna sama uroczystość I komunii św. Nie potrzebuję dodawać, jak ważna jest w warunkach radzieckich spowiedź (oczywiście pierwsza) i jak dokładam wszelkich starań, by była ona jak najpożyteczniejsza. Tak dzieci niemieckie jak i polskie uczyć zasadniczo po rosyjsku, często-gęsto przepłatając ruszczyznę niemiecką i polszczyznę.

Staram się, by I komunie św. każdego dziecka była równocześnie komunią rodzinną. Razem z dziećmi przyjmuje komunię św. matka, często ojciec, jeszcze częściej babcia, a także starsze rodzeństwo.

Oczywiście dzieci są ubrane jak należy, w białe sukienki lub w białe koszulki. Staram się, by Msza św. była jak najbardziej uroczysta z możliwie ładnymi śpiewami, sam przemawiam przed komunią św. krótko, ale jak najserdeczniej. Uroczystość kończy się błogosławieństwem Najśw. Sakramentem i rozdaniem dzieciom obrazków pamiątkowych. Niestety w naszych warunkach bardzo skromnych, z których jednak dzieci bardzo się cieszą, bo ładniejszych nie widziały. Minusem bywa to, że w małym mieszkaniu przy zamkniętych drzwiach i oknach jest latem zwykle bardzo gorąco i zdarzają się wypadki, że dzieci mdleją.

Kiedy uczyć matki, to kładę nacisk na rodzinny charakter uroczystości I komunii św. Zawsze daję matkom trzy wskazówki: 1) wciąż na nowo przypominać dziecku, że przyjęło w komunii św. Pana Jezusa, bo inaczej dziecko zapomni o tym, 2) dzień po dniu pilnować, żeby się wszystkie dzieci w rodzinie modliły systematycznie rano i wieczorem, a w Karagandzie przynajmniej raz w roku spowiadały się i komunikowały. Bardzo zalecam rodzinną modlitwę wspólną każdego wieczoru, 3) pomagać dziecku do poprawy, nie rugać, nie bić, ale umieć mówić do sumienia, jak trzeba to zawstydić („A któż to przeproszał mamusię i obiecał, że będzie dobry...”), a jak można to pochwalić, nawet podziękować, np. za pomoc przy pracy domowej. Nawiasem mówiąc, zachwalam matkom przy każdej sposobności godność „domochazjajki”, która nie pracuje na zewnątrz, lecz całkowicie poświęca się rodzinie, mężowi i dobremu, chrześcijańskiemu wychowaniu dzieci.

Oczywiście wszystko to jest bardzo mało w porównaniu z przygotowaniem dzieci do I komunii św. w Polsce, ale w warunkach naszej trzeciej zony jest to maximum, na jakie można sobie pozwolić. Dzięki Bogu i za to.

Podczas wypraw misyjnych biorę dzieci bez żadnego uprzedniego przygotowania przez katechetki, muszę je uczyć w sposób jeszcze bardziej intensywny niż w Karagandzie. Dlatego zasadniczo przyjmuję dzieci trochę starsze, co najmniej 10–11-letnie. Ale znajduję czas także na pouczenie matek i na przeprosiny dzieci. Tak samo starannie bez pośpiechu odbywa się spowiedź dzieci i członków rodzin. I tak samo i oczywiście i familijnie odbywa się I komunie św., tyle tylko, że w Karagandzie ładniej śpiewają.

Wszyscy księża w trzeciej zonie jak i w drugiej udzielają bierzmowania. Niektórzy księża udzielają bierzmowania łącznie z I komunią św. Ja jestem przeciwnikiem tego. W Karagandzie staram się, by dzieci przystępowały do bierzmowania w rok po I komunii św. Przy tej sposobności urządzam krótką powtórkę materiału przerobionego przed rokiem, a następnie uczę o samym bierzmowaniu. Jeżeli do I komunii św. miałem „córeczkę” 52-letnią, to do bierzmowania miałem już niejedną babcię 70-letnią.

Podczas wypraw misyjnych mało udzielałem bierzmowania z braku czasu na przygotowanie, ale jak udzielałem, to po uprzednim przygotowaniu. Nie chciałem brać na swoje sumienie udzielania bierzmowania bez żadnego uprzedniego przygotowania.

Kaznodziejstwo jest uprawiane także i w naszej trzeciej zonie. Ja oczywiście w pracy nauczania kładę główny nacisk na katechizowanie, a nie na kazanie. Na każdej mszy św. w Karagandzie, nie mówiąc już o wyprawach misyjnych, mam przeważnie innych ludzi. Jakies cykle kazań są nie do pomyslenia. Najczęściej wygłaszam homilię w nawiązaniu do Ewangelii i Lekcji. Kazania muszą być krótkie, zwłaszcza gdy jest zbyt gorąco w mieszkaniu, a jednak treściwe, pouczające i nie bujające w obłokach, do których ogromna większość słuchaczy i tak się nie wzniesie. Trudność jest w tym, że obok zupełnych analfabetów co do wiary religijnej, na Mszy św. bywają ludzie wcale niezłe znający wiarę, a przy tym i ogólnie dość wykształceni. Wprawdzie rzadko się zdarzają ludzie z wyższym wykształceniem, ale znacznie częściej ludzie na poziomie średniego wykształcenia ogólnego lub zawodowego. Dzieci szkolne przychodzą na Mszę św. najczęściej podczas wakacji szkolnych, znacznie mniej – za mało – podczas roku szkolnego.

Księża nie biorą udziału ani w weselach, ani w pogrzebach na cmentarzu. Świątymy nieraz mogiły, ale nie na pogrzebie. W Karagandzie

ksiądz zazwyczaj odprawia uroczystą Mszę pogrzebową wraz z odśpiewaniem „Libera me Domine” w domu przy zwłokach. Jeżeli tylko czas pozwala na spowiedź, cała rodzina podczas Mszy św. pogrzebowej przyjmuje komunię św. Na cmentarz pogrzeb udaje się bez księdza, ale i Niemcy, i Polacy sprawiają pogrzeb chrześcijański z modlitwami i pieśniami żałobnymi. Czasami nawet bywa orkiestra na pogrzebie, która jednak wśród naszych pobożnych babć nie jest popularna, bo zwykle z orkiestrą odbywają się pogrzeby laickie. Na mogile stawiają zawsze krzyż, choć nieraz bywa agitacja, by postawić słupek z gwiazdą, a w zamian za to pogrzeb będzie opłacony. Tylko jeden raz widziałem krzyż i gwiazdę na tej samej mogile. Niemcy dają na krzyżu zawsze napis w języku niemieckim, choć najczęściej nie bez przekręconej pisowni. Polacy dają napis polski. Lecz coraz częściej zjawiają się na mogiłach polskich napisy rosyjskie, bo polskiego napisu nikt w rodzinie nie skomponuje.

Dość często wyjeżdżam na kilka dni w bliższą okolicę Karagandy. Są tutaj dwa dość duże miasta: Temirtau i Sarań, oraz wiele innych osiedli. Ponieważ w tych sąsiadujących z Karagandą miejscowościach ludzie spowiadają się wprawdzie rzadziej niż w samej Karagandzie, lecz o wiele częściej niż przyjezdni z daleka, przeto duszpasterzowanie w tych miejscowościach jest zbliżone do duszpasterzowania w Karagandzie. Właściwie to tylko ta jest różnica, że w Karagandzie ja wciąż wędruję z domu do domu, a w tamtych miejscowościach zwykle pracuję 2–3 dni i nocę w tym samym domu, który musi odpowiadać warunkom.

Teraz nareszcie będę mógł szczegółowo opisać duszpasterską pracę podczas wypraw misyjnych.

Wyprawy te odegrały i wciąż odgrywają olbrzymią rolę w duszpasterstwie naszej trzeciej zony.

Byli księża którzy całkiem poświęcili się takiemu wędrowaniu i misjonarzowaniu. O niektórych z nich potem napiszę więcej. Byli i są tacy księża, którzy stale pracują w jednej miejscowości, lecz od czasu do czasu urządzają wyprawy misyjne. Jedni z nich stale mieszkają i pracują w trzeciej zonie, tak jak i ja w Karagandzie. Inni stale mieszkają poza trzecią zoną, przeważnie na Litwie czy na Ukrainie, i stamtąd robią swoje ekskursje w głąb związku Radzieckiego. Siądzie sobie taki ojczulek w samolot w Kownie i frunie wprost do Krasnojarska. Tam pracuje tydzień–dwa, przeważnie w kilku miejscowościach: pochrczi, pospowiada, pokomunikuje, da śluby i znowu siądzie w samolot i frunie z powrotem do Kowna.

Trzeba zauważyć, że tacy księża, którzy „przefruują” z Litwy lub Ukrainy, więcej się narażają od nas, stałych mieszkańców tych stron. Dla

władz miejscowych my już jesteśmy „swoi ludzie” – my, lecz nie oni. Choć niektórzy z tych „latających misjonarzy” robili znaczne błędy w pracy, zwłaszcza przez przesadny pośpiech, a jeszcze więcej przez lekkomyślność, – pozostawianie Najświętszego Sakramentu bez poczenia – to jednak ich praca ma olbrzymie znaczenie. Bez nich w bardzo wielu miejscowościach ludzie nigdy by nie zauważyli księdza i nie mieliby możliwości wypowiadać się po bardzo wielu latach.

Ksiądz Bronisław i ksiądz Józef wiele jeździli podczas swej pracy w Kazachstanie. Jednak w każdą niedzielę byli u siebie w domu, bo do nich przyjeżdżali ludzie z daleka. Było wiadomo, że w dzień powszedni może ksiądz nie być w kościele, ale w niedzielę będzie na pewno. Dlatego Bronisław i Józef nie mogli urządzać dalekich wypraw misyjnych, ale za to dotarli do bardzo wielu miasteczek i osad w swoich obwodach: celinogradzkim i kokczetawskim – tam, gdzie najczęściej mieszka Polaków i sporo Niemców–katolików.

Moja praca duszpasterska podczas wypraw misyjnych tym się oznaczała, że ja stosunkowo dłużej przebywałem i pracowałem w poszczególnych miejscowościach niż to czyniła większość moich misjonarzystujących kolegów. Dzięki temu miałem więcej zająć z miejscowymi władzami, ale za to mogłem pracować stosunkowo gruntowniej i głębiej – „langsam aber sicher”, jak mówią Niemcy.

Nie licząc krótszych podróży misyjnych do niedalekich miejscowości, bo były i takie, odbyłem osiem wielkich wypraw misyjnych. Z nich pięć jeszcze przed moim aresztowaniem, a trzy w ostatnich latach po uwolnieniu z więzienia.

Z tych ośmiu wypraw misyjnych połowa, bo cztery, były do Turkiestanu, republiki związkowej położonej na skrajnym południu ZSRR, na granicy z Afganistanem. Tam od 1947 r. mieszka dużo Niemców katolików, którzy przed wojną mieszkali w okolicy Odessy.

Jedna wyprawa była również w kierunku południowym, w okolice Ałma-Aty, gdzie objechałem miejscowości zamieszkałe przez Polaków przesiedlonych z Ukrainy w 1936 r.

Dwie wyprawy misyjne były na zachód, do miasta Aktiubińska z okolicą. I wreszcie jedna wyprawa była na wschód do Semipałatyńska i niektórych innych miejscowości w tamtych stronach.

Tylko na północ od Karagandy nie urządzałem żadnych większych wypraw misyjnych, bo tam działali Bronisław i Józef, a potem tam częściej pokazywali się inni księża.

Najkrótsza z tych wypraw misyjnych trwała miesiąc, najdłuższa cztery miesiące. Połowa tych wypraw misyjnych, bo cztery, zakończyły się



pomyślnie, bez interwencji miejscowych władz. Pozostałe cztery wyprawy musiały ulec skróceniu i nie zostały dokończone wskutek interwencji władz.

W 1957 i 1958 roku odbyłem aż pięć wypraw misyjnych, natomiast dwie wyprawy w roku 1963, w tym jedną skrócono.

Ostatnia wyprawa misyjna do Tadżykistanu trwała od grudnia 1967 r. do marca 1968 r. i też została przerwana w tydzień przed planowanym przeze mnie jej zakończeniem.

Kiedy zostałem uwolniony z ostatniego uwięzienia, pozwolono mi wrócić do Karagandy, lecz o wiele trudniej jest mi teraz wyrwać się na dłuższą wyprawę misyjną, niż to było możliwe przed moim ostatnim uwięzieniem. Oprócz tego trzeba jeszcze uwzględnić i to, że przed uwięzieniem odbyłem tylko jedną podróż na Ukrainę, w 1959 r., a po uwięzieniu aż trzy: w latach 1962, 1964 i 1966.

Do tego trzeba jeszcze dodać dwie podróże do Polski: w 1965 i obecną, w 1969 roku.

Podczas moich podróży na Ukrainie nie byłem całkiem nieczynny pod względem duszpasterskim. Także i na Ukrainie wypowiadałem niejedną babcię, ochrzciłem niejedno dziecko i dałem parę ślubów. Ale te ukraińskie peregrynacje nie były żadnymi wyprawami misyjnymi.

Wyruszając na wyprawę misyjną biorę paszport i zaświadczenie że jestem księdzem katolickim, bo w paszporcie jestem zapisany jako „raboczij”. Biorę opłatki i wino mszalne oraz wszystko, co jest niezbędne do odprawienia Mszy św. i do udzielenia sakramentów. Zawsze mam parę adresów mieszkańców tych miejscowości, dokąd jadę.

Przyjeżdżam zazwyczaj niespodziewanie. Wprawdzie nasi wierni wiedzą, że powinienem do nich przyjechać, lecz nie wiedzą, kiedy to nastąpi. Nie mogę ich zawiadomić przez pocztę, a rzadko kiedy przez okazję. Po przyjeździe zgłaszam się pod znanym adresem. Czasem tam właśnie pozostaję i rozpoczynam pracę duszpasterską. Lecz dość często po naradzie z miejscowymi katolikami – notablami – wybieramy dla pracy inny dom.

Podczas wyprawy misyjnej dom do pracy trzeba wybierać o wiele jeszcze staranniej niż w Karagandzie.

Przyjeżdżam raz, to było w Tadżykistanie w 1963 r., do pewnego Niemca, który mnie zaprosił. Gospodarze witają mnie bardzo serdecznie i mówią: „Pater, musimy uprzedzić, że naprzeciw po drugiej stronie ulicy mieszka niedobry człowiek (ein nicht guter Mensch), on donosi”. Pracowałem jednak u tych gospodarzy, odprawiłem Mszę św. bardzo wczesnym rankiem i natychmiast przenieśliem się do innego zapro-

ponowanego mi mieszkania, gdzie mogłem spokojnie kilka dni pracować.

Pracę zaczynam od spowiedzi babć – to znaczy takich osób, które można spowiadać od razu, bez uprzedniego przygotowania do spowiedzi i komunii św. Zawsze na początku ogłaszam, by mi zgłaszano na naukę i do I spowiedzi i komunii św. dzieci i młodzież, a osobno małżonków. Dorosła młodzież chętniej chodzi na naukę z małżonkami niż z dziećmi. Nauka w warunkach wyprawy misyjnej trwa 2–3 dni. Potem spowiedź dzieci i ich rodzin oraz uroczystość I komunii św. Staram się nie łączyć uroczystości I komunii św. z uroczystością ślubną. Bywało i tak, że rano była uroczysta Msza św. z I komunią św., a po niej ślub co najmniej kilku par małżeńskich.

Na samym końcu mojego pobytu w danej miejscowości ogłaszam chrzest dzieci. Dlatego, że żadna inna praca tak nie zwraca uwagi otoczenia jak właśnie chrzest dzieci. Dlatego chrzczę dzieci i zaraz wyjeżdżam do innej miejscowości. A były wypadki, że władze szukały „popa”, lecz nie znalazły. Oprócz tego muszę jeszcze znaleźć czas na to, by spowiadać ludzi starych, chorych lub słabych i udzielić im wspólnie a uroczyście namaszczenia olejami świętymi i odpustu zupełnego na godzinę śmierci.

Podczas wypraw misyjnych w 1957 i 1958 roku często bywały masowe chrzty i śluby, bo ja pierwszy ze wszystkich księży przybyłem do Tadżykistanu, do Aktubińska, do Semipałatyńska i do polskich osiedli w pobliżu Alma-Aty. Bywało i tak, że chrzcilem nieraz kilkadziesiąt dzieci i błogosławiłem w jednym dniu do 30 par małżeńskich, oczywiście po wysłuchaniu generalnej spowiedzi z całego życia.

Podczas ostatnich moich wypraw misyjnych już nie było takich „masówek” z tej prostej przyczyny, że dzieci już przeważnie były przedtem ochrzczone przez księdza, a pary małżeńskie przeważnie już po ślubie.

Św. Paweł Apostoł pisze w drugim liście do Koryntian, że podczas swoich podróży misyjnych był osiem razy bity i raz kamieniowany, a trzy razy rozbił się okrętem. U mnie nic z tego. Ale za to byłem 6 razy wypędzony przez miejscowe władze. Prawda, w trzech innych wypadkach władze okazały mi wyraźną życzliwość.

Raz był to prezes kolchozu, Rosjanin i bardzo wielki człowiek (gieroj socjalistycznego truda), podobno osobiście znajomy z samym Chruszczowem. Wezwał mnie do swego gabinetu. Właśnie spowiadałem babcię. Musiałem przerwać spowiedź. Bardzo mi było żal tych babć, które się już bardzo wiele lat nie spowiadały. Powiedziałem im: „Pewnie już do was nie wrócę, ale módlcie się, żebym jednak wrócił do was i wypowia-

dał”. Przychodzę do pana prezesa. Pokazuję mu swoje dokumenty. On zrobił mi wymówkę: dlaczego od razu do niego nie przyszedłem, aż musiał mnie wzywać? Potem jednak pan prezes się udobruchał i rzekł mi tak: „Wy wiecie, że do niedawna to wszystko było surowo wzbronione, ale teraz już nie tak. Ja się nie sprzeciwiam. Kontynuujcie waszą robotę, lecz pracujcie tak, żebyśmy przez was nie mieli zbyt wielu nieprzyjemności”. Wróciłem do swoich babć i powiedziałem im: „Widać, że dobrze modliłyście się!” Dodam jeszcze, że ów pan prezes mógł mi wyświadczyć takie dobrodziejstwo tylko dlatego, że sam był bardzo wielkim i wpływowym działaczem partyjnym. Takiemu jak on nie mogła zaszkodzić nawet pobłażliwość wobec jakiegoś „popika”.

W innym wypadku inny prezes kolchozu, Tadżyk, sam z własnej inicjatywy przysłał mi deski dla budowy ołtarza polskiego i kazał mnie serdecznie pozdrowić.

Wreszcie w trzecim wypadku naczelnik milicji, kapitan, kazał wprowadzić natychmiast wyjechać z Tadżykistanu, lecz pozwolił mi na dokończenie rozpoczętej pracy.

Wypędzenia bywały różne: bywały wypędzenia bez rugi, a były i z rugą, i to poważną. Tak „uroczyście” wypędzono mnie w 1958 r. z Semipałatyńska, a w 1963 r. z Aktiubińska.

W Semipałatyńsku sprawa skomplikowała się o tyle, że towarzyszyły mi w wyprawie misyjnej dwie pobożne Niemki z Karagandy: panna Gertruda Detzel i panna Klara Roninie. Klara zmarła przed rokiem, a Gertuda dotąd pracuje. Gertruda już przedtem za swoją pobożność była aresztowana i przesiedziała w więzieniu 8 lat. Klara tego nie przeżywała. Otóż w pewnym osiedlu koło Semipałatyńska, zaraz na drugi dzień po naszym przyjeździe, zatrzymali nas wspólnie prezes sielsowietu i prezes kolchozu, następnie telefonicznie zawezwali wprost z Semipałatyńska „czekistów”, tzn. funkcjonariuszy bezpieczeństwa państwowego. Przybyło ich dwóch, posadzili nas wszystkich troje na samochód i powieźli do Semipałatyńska.

Tam dwa dni przeprowadzano coś w rodzaju śledztwa, jednak pozwolono nam nocować w mieście u naszych znajomych. Gertruda już jako „obstrzelony wróbel” trzymała się bardzo dzielnie a biedna, jeszcze nie „obstrzelona” Klara była śmiertelnie przerażona. Obie wciąż powtarzały: „Alles fur Dich, Heiligstes Herz Jesu!” A ja nie mogłem odżalować, że wziąłem jej ze sobą na wyprawę misyjną i postanowiłem już więcej nikogo nie brać, czego też później zawsze przestrzegałem. Nie bałem się własnego uwięzienia, lecz bałem się uwięzienia Klary i Gertrudy. Na szczęście na trzeci dzień wzięto ode mnie pisemne zobowiązanie, że na-

tychmiast wyjeżdżamy z Karagandy. Potem, uszczęśliwieni, opuściliśmy „gościnne progi” semipałatyńskiego urzędu bezpieczeństwa.

W Aktiubińsku w 1963 r. było podobnie, lecz niezupełnie tak samo. Pracowałem w pewnym osiedlu w pobliżu Aktiubińska. Przychodzi do mnie jeden z poślubionych u mnie „panów młodych” zaraz na drugi dzień po swoim ślubie i donosi mi, że jeden z miejscowych naczelników zapytał go: „A ty także był u popa?” On udał greka, że niby nic o tym nie wie. Ja zaraz poprosiłem moich gospodarzy o samochód i wyjechałem stamtąd do Aktiubińska, czyli – jak się u nas mówi – „pop udrał”.

Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że już będzie niebezpiecznie pracować dalej w Aktiubińsku, lecz żał mi było naszych wiernych, bo Aktiubińsk jest dość dużym miastem, gdzie nie tak łatwo znaleźć „popa”. Pracowałem jeszcze, i to bardzo intensywnie, przeszło dwa tygodnie w Aktiubińsku. Pewnego dnia rano odbywa się uroczysta komunია św. Zatrzymałem jeszcze dzieci po mszy św. Przychodzi do mnie gospodyni domu i pokazuje mi przez okno: dwa, trzy domy dalej stoi samochód osobowy, a koło niego kręcą się jacyś dwaj faceci i cały czas patrzą w stronę naszego domu. Natychmiast kazałem, żeby wyszły dzieci, a było ich około dziesięciorga, a potem żeby się pomału rozchodzili także i dorośli. Zjadłem śniadanie. W domu zostało tylko kilka osób. „Pater, proszę wychodzić do innego domu oddalonego o kilka ulic, a my potem zaniemiemy wam rzeczy” – „Nie, oni mnie zaraz zatrzymają na ulicy, a w razie uwięzienia trzeba mieć ze sobą choć trochę bielizny i innych niezbędnych rzeczy. Będziemy na nich czekali”.

Podzieliłem rzeczy na dwie części. W jednej walizce były rzeczy przydatne podczas uwięzienia, a w drugiej rzeczy kościelne i inne niepotrzebne w warunkach więziennych. Byłem bardzo zmęczony i położyłem się spać. Kiedy się przebudziłem, spojrzałem przez okno: stoi samochód i stoją tamci dwaj faceci. Wyspowiadałem jeszcze jednego młodzieńca. I tak minął dzień. Dopiero kiedy zrobiło się ciemno, a był listopad, ci dwaj panowie przyszli po mnie i zabrali mnie ze sobą razem z moimi walizkami. Powieźli mnie na milicję, a stamtąd, po krótkiej indagacji, do urzędu bezpieczeństwa państwowego. I znowu, zupełnie tak samo jak w Semipałatyńsku, rozpoczęło się coś w rodzaju śledztwa, które trwało trzy dni. Nocowałem zresztą dość wygodnie, na kanapie w urzędzie bezpieczeństwa. Na trzeci dzień wieczorem musiałem podpisać zobowiązanie, że natychmiast wyjeżdżam do Karagandy, a nawet – czego nie było w Semipałatyńsku, rozpoczęło się coś w rodzaju śledztwa, które trwało trzy dni. Nocowałem zresztą dość wygodnie, na kanapie w urzędzie bezpieczeństwa. Na trzeci dzień wieczorem musiałem podpisać zobowiązanie, że natychmiast wyjeżdżam do Karagandy, a nawet – czego nie było w Semipałatyńsku, że nigdy więcej nie przyjadę do Aktiubińska. Następnie przekazano mnie naczelnikowi milicji, który uprzejmie odwiózł mnie wraz z moimi walizkami, własnym samochodem, wprost na dworzec ko-

lejoy i tam zostawił mnie samego, a żegnając się ze mną, rzekł: „My wam ufamy, że dotrzymacie waszego zobowiązania i zaraz wyjedziecie, a nie będziecie zachodzić do waszych znajomych w Aktiubińsku, ale na wszelki wypadek polecieliśmy posterunkowi milicji na dworcu, by miał was pod swoją obserwacją”.

W Semipałatyńsku była możliwość powiadomienia naszych wiernych przed przymusowym wyjazdem do Karagandy. W Aktiubińsku nie było takiej możliwości. Nasi wierni byli przekonani, że ja siedzę w więzieniu. Poczciwe kobiety nosiły dla mnie paczki żywnościowe, bo nie wierzyły, kiedy mówiono, że nie ma w więzieniu żadnego Bukowińskiego.

Warto jeszcze wspomnieć o moich perypetiach finansowych. W związku z wypędzeniem mnie przez władze miejscowe w dwóch wypadkach kazano mi zapłacić grzywnę pieniężną za moją nielegalną a dochodową pracę. Dwa razy natomiast nałożono na mnie podatek dochodowy i natychmiast wyegzekwowano, z pieniędzy znalezionych przy mnie. Najradykałniej postąpiono w Semipałatyńsku. Po prostu skonfiskowano mi wszystkie znalezione przy mnie pieniądze i tylko na moje usilne naleganie zwrócono mi niewielką kwotę pieniężną na opłacenie biletów kolejowych i dla Gertrudy oraz dla Klary.

Jak już wspomniałem, płacę podatek dochodowy. W ostatnim roku wyniósł on 1058 rubli, czyli 16 340 złotych. Czynię to od roku 1962. Przed moim ostatnim uwięzieniem nikt ode mnie nie wymagał płacenia podatków – więc nie płaciłem. W zamian za to skonfiskowano mi sporo pieniędzy w Semipałatyńsku. Jestem nawet zadowolony z tego, że płacę podatek, bo to wzmacnia moją pozycję wobec władz państwowych. Kiedy ostatni raz jeździłem do Tadżykistanu, to wziąłem ze sobą oprócz paszportu dokumenty finansowe, nakaz płatniczy i pokwitowania – co mi tam do pewnego stopnia pomogło.

Wciąż nie jestem rejestrowany, wciąż nie mam uznania de iure. Jest to jednak swego rodzaju uznanie de facto, co się wyraża też w pobieraniu ode mnie podatku dochodowego. Urzędnicy finansowi wyjaśnili mi, że zarejestrowany ksiądz pracujący w zarejestrowanym kościele płaci podatek tak jakby był fabryką. Natomiast ja płacę podatek tak, jakbym był indywidualnym rzemieślnikiem branży duchownej, co wynosi procentowo więcej.

Bardzo mi pomagają w płaceniu podatku nasze nieocenione, a nieraz przez księży niedoceniane babcie, z których każda przynosi mi od czasu do czasu po parę rubli „na podatek”.

Na zakończenie tego rozdziału o wyprawach misyjnych opowiem o kilku naszych misjonarzach, którzy w tej pracy szczególnie się odznaczyli.

W latach 1955–58 najszerszy zasięg terytorialny w pracy misjonarskiej zrealizował jezuita ks. Jan Pauksztis. Działał on od Uralu na zachodzie aż po Jakucję na północnym wschodzie. Właśnie jego trwająca prawie cały rok misja w Jakucji miała szczęśliwe znaczenie, bo prócz niego nie dotarł tam nikt inny. Niestety potem ks. Pauksztis – podobno na rozkaz swoich władz zakonnych – objął parafię na Wileńszczyźnie i w parę lat później zmarł. Widziałem ks. Pauksztisa tylko jeden raz, ale to wystarczyło, by zrobił na mnie jak najlepsze wrażenie.

Inny Litwin, salezjanin ks. Józef Gustas pracował równocześnie bardzo owocnie i z wielkim rozmachem w Krasnojarsku na Syberii. Niestety jego praca urwała się raz na zawsze. Ks. Gustas zmarł nagle na atak sercowy w 1958 r. Jego pogrzeb, choć bez księdza, był wspaniały, z udziałem nieprzerwanego mnóstwa ludu. Ja sam osobiście nie znałem ks. Gustasa.

Za to bardzo dobrze znałem innego wybitnego misjonarza dziś także nieżyjącego, śp. ks. Aleksego Żareckiego.

Ks. Aleksy Żarecki ur. się w 1914 r. w okolicy Brzeżan. Jego ojciec był diakonem cerkwi greckokatolickiej. Ks. Aleksy był kapłanem lwowskiej greckokatolickiej archidiecezji. Był on celebsem. Poznaliśmy się z ks. Aleksym w 1955 r. w Karagandzie, gdzie już w następnym roku doprowadził do otwarcia kościoła dla Ukraińców. Ks. Aleksy nauczył się łacińskiej Mszy św. i odprawiał ją w języku cerkiewno-słowiańskim dla Ukraińców, a dla Niemców i Polaków po łacinie. Był to kapłan nadzwyczaj gorliwy i pracowity. Oprócz bardzo intensywnej pracy w Karagandzie odbywał wycieczki misyjne do bliższych i dalszych miejscowości w pobliżu Karagandy.

W 1957 r. przedsięwziął ks. Aleksy podróż daleką i bardzo niebezpieczną. Dotarł mianowicie do księdza metropolity (obecnie kardynała) Slipyja, który przebywał przymusowo w Domu Starców w Krasnojarskim Kraju na Syberii. Ks. Aleksy miał z nim widzenie w [...] lesie. W drodze powrotnej został ujęty i przez pięć dni wypytywany w urzędzie bezpieczeństwa w Krasnojarsku. Wprawdzie wypuszczono go na wolność i powrócił do Karagandy, ale odtąd ziemia zaczynała mu się palić pod nogami. Ks. Aleksy po dojrzałej rozwadze zdecydował się wyjechać z Karagandy, w której i tak bez niego było wielu księży. Odtąd rozpoczął się ostatni okres misjonarskiej pracy ks. Aleksego Żareckiego, który w pełni zasługuje na miano okresu heroicznego. Trwał ten okres 5 lat (1957–1962). Ks. Aleksy poświęcił się już wyłącznie pracy misyjnej w ścisłym tego słowa znaczeniu. Kilkakrotnie zmieniał miejsce zamieszkania.

Tak jak i ks. Pauksztis, ks. Żarnecki miał olbrzymi zasięg terytorialny pracy misyjnej. Kilkakrotnie był w okolicach Sanary (obecnie Kujbyszew) na Powołżu. Dłuższy okres pracował na Uralu w obwodzie Permskim i dalej na południe w obwodzie Orenburskim. W Kazachstanie często bywał w Aktiubińsku z okolicą oraz na terytorium osieroconym wskutek uwięzienia ks. Bronisława i Józefa w obwodach kokczetawskim i celinogradzkim.

W 1960 r. ks. Aleksy był zameldowany w mieście Orsku, obwodu orenburskiego. Pewnego razu gdy wrócił do domu, po krótkiej zresztą wycieczce misyjnej, dowiedział się, że milicja wymeldowała go podczas jego nieobecności. Ks. Aleksy nie zgłosił się na milicję w tej sprawie, stał się dobrowolnie, że tak się wyrażę, włóczęgą Chrystusowym. Nigdzie nie zameldowany – tylko z paszportem przy sobie – kontynuował on pracę misyjną, mimo że wiedział, że to nie skończy się inaczej jak uwięzieniem. Takim bezdomnym włóczęgą Chrystusowym ks. Aleksy był przez całe dwa lata.

W kwietniu 1962 roku przybył ks. Aleksy do Karagandy. Dwa razy był u mnie. Przyjmowałem go z wielkimi środkami ostrożności, bo bałem się o niego. Ks. Aleksy był zawsze szczupły i dość wysoki, a wtedy wychudł do reszty. Tylko oczy mu błyszcząły. Wyglądał rzeczywiście na wyznawcę wiary i kandydata do męczeństwa. Skarżył się na to, że wśród ciągłych wędrówek popsuł mu się żołądek. Radziłem mu natychmiast wyjechać z Karagandy i udać się do Tadżykistanu, gdzie jeszcze nigdy nie był i mógł tam o wiele spokojniej pracować. Dałem mu kilka pewnych adresów w różnych miejscowościach Tadżykistanu.

Ks. Aleksy w rozmowach ze mną przyznawał, że sytuacja w Karagandzie jest niebezpieczna, mówił jednak, że bardzo mu żał zamieszkałych w Karagandzie Ukraińców, grekokatolików, którzy są bardzo zaniedbani, a garną się do niego. Mówił że postara się jak najprędzej zakończy swoją pracę duszpasterską wśród Ukraińców, potem wprost z Karagandy pojedzie do Tadżykistanu. Bóg zarządził inaczej.

Mniej więcej 12 maja 1962 roku szedł ks. Aleksy samotnie po jednej z ulic Karagandy. Tam go ujęto, a wnet potem formalnie aresztowano. Odbył się w Karagandzie sąd nad ks. Aleksym. Zasądzono go na dwa lata więzienia za włóczęgotwo. Potem był w obozie niedaleko Karagandy. Miał wprawdzie lekką pracę krawiecką, lecz bardzo się uskarżał na męczące towarzystwo żulików. Przy tym pogarszała się jego choroba żołądkowa.

Ks. Aleksy Żarecki nie odbył przysądzonych mu dwu lat więzienia. Był więziony około półtora roku. Zmarł w końcu 1963 roku w wieku lat

49 w szpitalu obozowym w miasteczku Dolinka pod Karagandą, i tam został pochowany. Wdzięczni Ukraińcy odnaleźli jego mogiłę na cmentarzu i postawili ładny krzyż na niej. Potem ja poświęciłem mogiłę i krzyż, a że sam cmentarz jest najokropniej zaniedbany, tym bardziej wyróżnia się na nim ów piękny krzyż na mogile kapłana, który duszę swą oddał za braci swoich...

W Polsce leczy się inny wybitny misjonarz, nasz rodak o. Serafin Kaszuba z zakonu kapucynów.

W latach powojennych o. Serafin był przez dłuższy czas proboszczem w Równem na Wołyniu i dojeżdżał do wielu innych miejscowości na terytorium byłego województwa wołyńskiego. Nie wiem dokładnie, w którym to było roku, władze państwowe usunęły o. Serafina z Równego, a potem zamknęły kościół. Po pewnym czasie o. Serafin zjawił się w Kazachstanie i tu podjął niestrudzoną pracę misjonarską o szerokim zasięgu terytorialnym. Podstawową bazą jego pracy są terytoria osieroczone po uwięzieniu ks. Bronisława i ks. Józefa, a potem obsługiwane przez ks. Żareckiego, a więc obwody celinogradzki i kokczetawski. Często dojeżdżał o. Serafin do Aktiubińska na zachodzie i do Pawłodaru na wschodzie Kazachstanu. Bywał i w głębi Syberii, w Nowosybirsku. I tak to trwało około 6 lat (1962–1968).

Jedyną przerwą w ciągłym podróżowaniu było administracyjne zesłanie o. Serafina do pewnego sowchozu położonego w celinogradzkim obwodzie, w tak zwanej „zapadłej dziurze” na około pół roku, a potem zwał stamtąd i kontynuował swoją pracę misjonarską.

Wszystkich tych wyczynów o. Serafin pomimo niemłodego wieku (ur. 1910) i wątłego zdrowia dokonał. Nic dziwnego, kiedy po wszystkich tych perypetiach o. Serafin przybył w sierpniu 1968 r. na urlop do Polski, jego przełożeni zakonnicy rozkazali mu poddać się gruntownej kuracji. Daj Boże, by ona się udała i by o. Serafin ze wzmocnionym zdrowiem mógł powrócić do naszej trzeciej zony. Bez przesady rzecz można, że jego powrotu oczekuje cały katolicki Kazachstan i nie tylko Kazachstan...

Niemal jednocześnie z śp. ks. Żareckim został aresztowany w Kirgizji litewski ksiądz, Antoni Szeszkiewicz. Należy on także do najwybitniejszych misjonarzy w naszej trzeciej zonie. Nie znam go osobiście, lecz echa jego działalności misjonarskiej docierały do mnie wciąż na nowo.

Ks. Szeszkiewicz mieszkał początkowo od 1955 r. w mieście Sławgorod w Ałtajskim Kraju, położonym bezpośrednio na wschód od Kazachstanu. Ponieważ bardzo się tam naraził miejscowym władzom, przeto zdecydował się przenieść do Kirgizji, gdzie zamieszkał w miasteczku Kant w pobliżu stolicy tej republiki, miasta Frunze. Tak



w Sławgorodzie jak i w Kancie ks. Antoni łączył intensywną pracę duszpasterską na miejscu z licznymi wyprawami misyjnymi do bliższych i dalszych miejscowości. W końcu zesłano ks. Antoniego do pewnego sowchozu, gdzie nie było ani jednej chrześcijańskiej duszy, tylko sami Kirgizi i muzułmanie. Ks. Antoni znalazł tam takich Kirgizów którzy pracowali w sowchozie w jego zastępstwie, a sam poświęcił się całkowicie pracy misyjnej. Odbywał jedną wyprawę misyjną za drugą. Jak łatwo to można było przewidzieć, wszystko to zakończyło się więzieniem ks. Antoniego.

Aresztowano go w 1962 r. w Kirgizji. Nie wiem, czy sądzono go w Kirgizji czy też na Litwie. Zasądzono go na 7 lat więzienia za spekulację. Jest rzeczą pocieszającą, że ks. Antoni był cały czas w obozie na Litwie. Jeśli „kruk krukowi oka nie wykole”, to Litwin Litwinowi także nie.

Oprócz ks. Antoniego zasądzono także jego gospodynię, niewiastę narodowości niemieckiej, na półtora roku. Ks. Antoni Szeszkiewicz wyszedł w tym roku (1969) na wolność. Jak na naszą zonę nie jest on stary, bo ma najwyżej 55 lat. Ks. Antoni będzie kontynuował pracę duszpasterską w naszych stronach. Nie wiadomo tylko, w jakim mieście uda mu się uzyskać zameldowanie. Szczęść mu Boże w tych naprawdę zbożnych zamiarach.

Na tym nie wyczerpuje się lista naszych misjonarzy. Są tacy, i to bardzo gorliwi, którzy w tej chwili prowadzą pracę misjonarską w naszej trzeciej zonie. Ufajmy, że ich imiona zapisane są w niebiesiech, lecz tu na ziemi w danym wypadku „novina sunt odiosa”.

Powie kto może po przeczytaniu opisanych tu wyczynów naszych misjonarzy: „Cóż to za makabryczne przykłady stawia nam Władzio za wzór? Ks. Aleksy umiera przedwcześnie, o. Serafin z tego wszystkiego przewlekle i ciężko choruje, ks. Antoni Szaszkwiczius zostaje uwięziony i odsunięty od pracy duszpasterskiej na 7 lat”.

Odpowiem na to tak: cała bieda jest, że zbyt mało jest takich księży jak Aleksy, Serafin czy Antoni. Ja nigdy nie stawiałem sobie wyrzutów, że nazbyt się szarpię czy narażam, a nieraz miewałem poważne wątpliwości, czy w poszczególnych wypadkach nie bywałem zbyt wygodny czy ostrożny i za mało ufałem w opiekę Opatrzności Bożej. Kiedy nasz rekordzista świata ks. Józef Kuczyński „oddziaływał” 7 lat za dwa i pół roku swojej pracy w Kazachstanie, nieraz mówił mi: „Ciężko, nawet bardzo ciężko jest siedzieć 7 lat, zwłaszcza gdy się już przedtem odsiedziało 10 lat. Ale muszę przyznać, że za tamte dwa i pół opłaci się znowu siedzieć i 7 lat”.

Wszak jesteśmy kapłanami Jezusa Chrystusa! Chrystus się nie oszczędzał – powiada Paweł Apostoł, który sam na pewno także się nie oszczędzał. Jesteśmy wyświęceni nie na to, abyśmy się oszczędzali, lecz na to, byśmy – jak trzeba – dusze swe kładli za owce Chrystusowe.

Dobre to były lata – mawiają nieraz starzy ludzie o niektórych okresach minionego życia. Dla nas trzech – Bronisława, Józefa i dla mnie – dobre lata stanowiły koniec roku 1956 i początek roku 1957. Wszyscy trzech pracowaliśmy nader intensywnie w Kazachstanie i wszyscy trzech mieliśmy kościółki do swej dyspozycji. Wprawdzie małe i nie zalegalizowane przez władze, lecz istniejące i funkcjonujące. Dobre lata były także dla nas z końcem 1957 i przez cały okres 1958 r., z wyjątkiem ostatniego miesiąca, czyli grudnia. Bronisław i Józef dalej proboszczowali w swoich kościółkach, a zarazem misjonarzowali w swoich obwodach. Ja zostałem już wprawdzie pozbawiony kościółka, ale za to w tym czasie skutecznie prowadziłem jedną wyprawę misyjną za drugą. Było tak dobrze, że aż za dobrze dla władz miejscowych i nie tylko miejscowych. Toteż postanowiły one położyć kres temu duszpasterstwu katolickiemu i polskiemu w Kazachstanie.

Historia uwięzienia wszystkich trzech polskich i katolickich duszpasterzy w Kazachstanie interesuje z pewnością przede wszystkim księży, ale także i świeckich, zwłaszcza diecezji łuckiej, której kapłanami jesteśmy wszyscy trzech po dziś dzień.

Aż do uwięzienia ja sam w Karagandzie nie miałem żadnych poważnych przykrości od władz miejscowych. Była jedna, bardzo cierpka rozmowa z pogroźkami i parę razy drobniejsze przykrości, zwłaszcza rewizja domowa podczas mojej nieobecności. Oczywiście największą przykrością w tym czasie było zamknięcie i opieczętowanie naszego kościółka, ale ja osobiście nie doznałem nawet żadnych przykrości. Nawet nie nakładano na mnie żadnych podatków.

Droga Józefa i Bronisława była w tym czasie o wiele bardziej ciernista. Pod względem podatkowym Bronisław wychodził stosunkowo bardziej obronną ręką, ale Józef musiał toczyć z urzędami podatkowymi iście homeryckie boje, bo projektowane sumy podatkowe były fantastyczne.

U Bronisława zaszedł tragiczny wypadek. W Wielką Sobotę 1956 r. jakiś nieznan sprawca strzelił przez okno do kościółka i zabił kobietę. Oczywiście sprawcy nie ujęto, bo widać było, że władzom miejscowym wcale na tym nie zależało. Tak Bronisław jak i Józef zostali opisani w gazetach. O Józefie oprócz tego była jeszcze osobna audycja radiowa. Czytałem artykuł o Bronisławie. Na początku jest rzetelny opis, jak dobrze

było w Zielonym Gaju, dopóki nie przyjechał Bronisław. A gdy on przyjechał, to cały Zielony Gaj pokrył się czarną mgłą religijnego obskurantyzmu. Istotnie Bronisław odprawiał dwie msze św. każdego dnia: raniutko o wpół do piątej i wieczorem, a frekwencja do komunii św. zawsze była duża.

Józefowi zarzucano, że jest doświadczonym spekulantem i darmozjadem. Przyjechał do Taińczy, nabierał pieniędzy, zorganizował dochodowy interes – handel krzyżkami, medalikami i obrazkami – a teraz spaceruje po Taińczy i wygląda na zadowolonego z siebie franta.

Ja także doczekałem się dwóch artykułów w gazetach o sobie, ale to już znacznie później, po uwolnieniu z ostatniego więzienia.

W 1963 r. napisano o mnie artykuł w Aktubińsku, a w 1964 r. przedrukowano ten artykuł i uzupełniono w Karagandzie. Przekonałem się wtedy, jak słusznie mówił mi ksiądz prałat Zygmunt Chmielnicki: „Jeżeli ksiądz chce żyć w Związku Radzieckim, to musi być gotów przeczytać pewnego dnia o sobie coś takiego, o czym się nawet nie śniło”. Dowiedziałem się z tych artykułów, że jestem bardzo chciwym na pieniądze i że każę biednej staruszce, która przychodzi do mnie, płacić za spowiedź 5 rubli, czyli około 80 złotych polskich.

Józef i ja zostaliśmy aresztowani przy pracy.

Pierwszy z naszej trójki zostałem aresztowany ja, dnia 3 grudnia 1955 r. Pracowałem u siebie w domu. Może przy tej sposobności napiszę o moich mieszkaniach w Karagandzie, było ich dotąd trzy.

Pierwszy raz w czasie mego pobytu w robotniczym internacie w jednym pokoju z trzema kolegami–zesłańcami, a zarazem rodakami – Polakami. Następne trzy lata przed uwięzieniem i pierwszy rok po uwięzieniu mieszkałem u Polaków. Mój gospodarz, Stanisław Madera, był z zawodu szewcem. Jego żona Zuzanna była gospodynią domową. Mieli dziesięcioletnią córeczkę Polę. Pochodzą z miasteczka Kutkowce pow. płoskirowskiego na Podolu. Pani Zuzanna zmarła w 1956 r. niespodzianie po krótkiej chorobie, była ona wielką moją dobrodziejką i opiekunką. Pan Stanisław żyje dotąd z córką i zięciem.

Przed dwoma bowiem laty Pola wyszła za mąż za dobrego i religijnego chłopca, Tadeusza Słobodziana. Pola pracuje jako modystka, a Tadeusz jest zawodowym fotografem. Otóż właśnie z powodu Poli musiałem w 1962 r. zmienić mieszkanie. Usiłowano bowiem, wiadomo z czyjej strony, wciągnąć wówczas 18-letnią Polę do szpiegowania mnie. Oczywiście, że nie mogłem dopuścić do tego, by moralnie zniszczono całkiem niezepsutą panienkę.

Odtąd już 7 lat mieszkam u Niemców. Moi obecni gospodarze, państwo Kasper i Katarzyna Haagowie, są bezdzietnym małżeństwem w moim wieku. Podczas wojny ich jedyny syn przepadł bez wieści. Pochodzą oni ze wsi Elien-Liebentank, położonej o 15 km od Odessy.

Dnia 3 grudnia 1958 r. mieszkałem jeszcze u państwa Maderów. Pracę miałem taką: przyjechała do mnie z daleka młoda i sympatyczna para małżeńska, oboje Polacy. Przygotowałem ich oboje do spowiedzi i do ślubu. Właśnie skończyłem naukę i miałem rozpocząć słuchanie spowiedzi, była godzina 2 po południu. Nagle zjawił się w mieszkaniu jakiś mało sympatyczny typ. Z początku niby to sprawdzał u moich gospodarzy aparat radiowy, a zaraz potem zaproponował mi, abym natychmiast z nim pojechał do urzędu bezpieczeństwa samochodem osobowym, który – okazuje się – stał już kilka domów dalej. Mój nowy przyjaciel nie odstępował ode mnie ani na krok. Wówczas ja, nie zważając na niego, zdjąłem lżejsze spodnie i nałożyłem ciepłe, watowane. Przyjaciel zaprotestował mówiąc, że pojedziemy tylko na chwilkę i on sam mnie odwiezie do domu. Odparłem mu, że ja może jestem tak niebezpiecznym przestępcą, iż nie będzie można mnie puścić do domu. Zabrałem ze sobą trochę bielizny i najpotrzebniejsze rzeczy, pożegnałem się z gospodarzami, wsiedliśmy z troskliwym przyjacielem do samochodu i pojechaliśmy. W urzędzie bezpieczeństwa doręczono mi nakaz aresztowania.

Ks. Józef Kuczyński został aresztowany 5 dni później, dnia 8 grudnia 1958 roku. Najprawdopodobniej nasi „czekiści” nic nie wiedzieli o święcie Niepokalanego Poczęcia, którego nie ma u prawosławnych. Przyjechali aresztować księdza Józefa w chwili, gdy on kończył odprawiać sumę i kościółek był jeszcze pełen ludu. Mimo to aresztowano księdza Józefa i posadzono go do samochodu, ale dzielne babcie długo biegły za samochodem krzycząc i płacząc.

Ks. Bronisław Drzepecki był aresztowany ostatni, dopiero 17 stycznia 1959 r. Kiedy do Zielonego Gaju, gdzie on mieszkał i pracował, nadeszła wiadomość o aresztowaniu ks. Józefa i moim, ludzie prosili Bronisława, by natychmiast wyjechał na Ukrainę w nadziei, że tam go nie aresztują. Bronisław nie miał sumienia opuszczać wiernych w tak ciężkiej chwili. Pozostał i pracował. Jak zwykle zrobili dwa razy rewizję w jego mieszkaniu, ale nic nie znaleźli, tylko u gospodyni Heleny Krawieckiej znaleźli przedwojenny kalendarz, gdzie było parę informacji o nędzy w Związku Radzieckim, o czym Bronisław nawet nie wiedział. Helenę zabrano z domu na milicję i zażądano, aby się przyznała, że ten kalendarz dał jej ks. Bronisław. Helena zaprzeczyła temu. Po dwóch dniach

przywieziono na milicję ks. Bronisława, na konfrontację z Heleną. Konfrontacja była krótka:

Oni do Heleny: „Mów teraz, kto ci to dał?”

Helena: „Tyle razy już mówiłam i jeszcze raz powtarzam, tego mi nie dał ksiądz Drzepecki”.

Bronisław do Heleny: „Helu, nie zapieraj się, bo i tak nic nie pomoże”. Do nich: „Tak, przyznaję się, to ja jej to dałem”.

Posadzono Bronisława i Helenę do samochodu i odwieziono ich oboje do domu. Po kilku dniach przyjechali „czekiści” i aresztowali ks. Bronisława.

Sądzono każdego osobno – oddzielnie: Józefa w Kokczetawie, Bronisława w Celinogradzie, a mnie w Karagandzie. Podczas śledztwa urządzono w Karagandzie konfrontację Józefa ze mną. Konfrontacja w pewnym stopniu potwierdziła, że nasze rozmowy z Józefem nie zawsze były utrzymywane w duchu radzieckiego patriotyzmu. Ku naszemu przyjemnemu zdziwieniu pozwolono nam spotykać się w mojej celi więziennej – siedziałem sam jeden – dla odbycia wzajemnej spowiedzi, pod warunkiem, że nie będziemy rozmawiali o sprawach związanych ze śledztwem. Istotnie przyprowadzono Józefa do mojej celi i zabrano go z niej dopiero po trzech godzinach. Był więc czas na spowiedź, ale i na rozmowę. Kiedy jednak rozmowa zbaczała na temat śledztwa powstrzymaliśmy wzajemnie swój zapał oratorski, mówiąc, a gdzie „nobile verbum”.

Ks. Józefowi – oprócz nielegalnej działalności w nielegalnie otwartym kościele – zarzucano przede wszystkim spekulację. Ks. Józef, były działacz Akcji Katolickiej, lubił pracować z rozmachem. Zorganizował on przy swoim kościele sprzedaż krzyżyków, medalików, obrazków, a także w miarę możliwości książeczek do nabożeństwa i katechizmów. Sprawdzał on to wszystko różnymi drogami, przeważnie z Litwy i Łotwy.

Ludzie, spragnieni tego, z zapałem korzystali z rzadkiej okazji i kupowali masowo. Oczywiście nie był to żaden handel dochodowy. Przyczepiano się nawet do tego, że ks. Józef rozdawał swoje fotografie, a jeżeli kto prosił to podpisywał, się. Stworzono legendę, że chciwemu Józefowi nie dość było dochodu z handlu dewocjonaliami, lecz ponadto zorganizował handel własną fotografią. Za fotografię bez podpisu brał 5 rubli, za fotografię z podpisem 10 rubli.

Zasądzono ks. Józefa na 10 lat pozbawienia wolności. Wynajęty przez siostry adwokat założył apelację, w rezultacie której skrócono mu termin więzienia z 10 do 7 lat. Tych 7 lat ks. Józef odsiedział „od dzwonka do dzwonka” i zdobył rekord światowy – 17 lat uwięzienia...

Ksiądz Bronisław Drzepecki miał śledztwo cięższe i bardziej przykre niż ks. Józef i ja, choć spekulacji mu nie zarzucano. Ksiądz Bronisław jest weredykiem i przy tym umie argumentować z nieodpartą logiką. Tymi swoimi cechami charakteru Bronisław naraził się prokuraturze, która ze skóry wyłaziła, by mu więcej zaszkodzić. O ile ani przeciw Józefowi, ani przeciw mnie nie było fałszywych świadków, to przeciw Bronisławowi wystawiono aż trzech.

Pewną młodą dziewczynę nastraszo i kazano mówić w sądzie, że Bronisław ją skrzyczał i rozkazał jej natychmiast wystąpić z komsomołu, do którego należała. Mówiąc nawiasem, przestrzegamy, jak trzeba, przed wstąpieniem do komsomołu, a jeszcze więcej do partii, lecz nigdy nie żądamy wystąpienia, jeżeli się już ktoś zapisał. W sądzie dziewczyna powtórzyła, co jej kazano mówić. Ksiądz Bronisław zapytał wręcz: „Czy to, co mówisz, jest rzeczywiście prawdą? Czy jest to zgodne z twoim sumieniem? „ Biedna, zbałamuciona dziewczyna rozplakała się i całe śledztwo spelzło na niczym. Ale byli jeszcze dwaj inni świadkowie. Obaj mężczyźni i obaj, niestety, Polacy i obaj „wysoce postawieni”. Jeden – prezes rady wiejskiej, coś w rodzaju naszego wójta, a drugi – dyrektor szkoły w dużej wsi położonej w pobliżu Zielonego Gaju. Ci nie rozplakali się, tylko łgali jak z nut. Zarzucali oni Bronisławowi, że przyjechał raz do nich, do ich wsi, po to, by „zerwać”, czyli udaremnić mityng, zwołany z racji wojny w Korei. Rzeczywiście raz Bronisław przyjechał do tej wsi nic a nic nie wiedząc o mityngu. Kiedy się dowiedział, natychmiast przerwał swoją pracę i kazał wszystkim babciom iść na mityng. Dzięki temu mityngowały nawet babce, które na pewno nie poszłyby na mityng, jeśliby ksiądz nie kazał iść.

Podczas śledztwa, gdy Bronisław z właściwą mu logiką udowodnił kłamliwość stawianego mu zarzutu i zażądał wezwania innych świadków z tej samej wsi, odmówiono mu słowami: „Nam nie potrzeba żadnych innych świadków, wystarczy ci dwaj. Oni obaj są ‘czestnymi’ obywatelami radzieckimi i my im wierzymy więcej niż wam”. Fałszywi świadkowie zostali uznani za prawdziwych, a nasz weredyk Bronisław został uznany za kłamcę. Bywa i tak...

W sądzie prokuratorka zażądała dla Bronisława 10 lat pozbawienia wolności. Sąd zatwierdził ten wyrok.

We wrześniu ks. Bronisław przybył do obozu w miasteczku Czuna w obwodzie Irkuckim na Syberii, dokąd ja przyjechałem w pół roku wcześniej. Zaraz po przyjeździe do obozu ks. Bronisław skomponował skargę do generalnego prokuratora Związku Radzieckiego. Był to wspólnie napisany dokument. Odznaczał się właściwą Bronisławowi logiką

argumentacji. Skarga poskutkowała. Generalny prokurator dał wskazówkę sądowi apelacyjnemu w Ałma-Acie, by skrócić Bronisławowi termin uwięzienia do 5 lat. Tak się też stało.

Od września 1959 r. aż do mojego uwolnienia w dniu 3 grudnia 1961 r. byliśmy w Czunie, a następnie przez ostatnich 8 miesięcy mojego uwięzienia byliśmy razem z Bronisławem i Józefem w arcycekkawym obozie dla „religionistów” na południowy wschód od Moskwy.

Proszę sobie wyobrazić: w jednym obozie było nas, księży katolickich różnych narodowości, 27-miu na czele z księdzem metropolitą, obecnie kardynałem Józefem Slipyjem. Było jeszcze kilku katolików świeckich. Prawosławnych było około setki, ale księży prawosławnych tylko sześciu. Większość z nich stanowili prawosławni opozycjoniści, ale byli i prawosławni uznający zwierzchność moskiewskiego patriarchy. Sekciarzy wszelkiego autoramentu było około 400. Wreszcie było około 50 „stukaczy”, czyli mężów zaufania administracji obozowej.

Zachodzi pytanie, dlaczego utworzono taki obóz dla „religionistów”<sup>6</sup>. Przecież przedtem tego nie było. Łatwo się domyślić. Bywały w obozie wypadki nawróceń. Bywały chrzty, oczywiście tajemne. Nawracali się młodzieńcy wychowani ateistycznie, i to przeważnie chłopcy inteligentni, studenci, komsomolcy. Były nawrócenia na katolicyzm, a były także na niektóre kierunki sekciarskie. Widocznie więc z góry zdecydowano, że nie wystarczy „religionistów” izolować od społeczeństwa żyjącego na wolności, ale trzeba ich jeszcze izolować od innych więźniów, z wyjątkiem zaufanych „stukaczy”.

Obóz dla „religionistów” był czymś w rodzaju wielkiego klasztoru. Modlono się zupełnie jawnie. W niedzielę zbierały się grupki złożone z współwyznawców dla wspólnej modlitwy, słuchania kazań i czytania Pisma św., które sekciarze przechowywali pocięte na małe kawałki, po kilka stron każdy. Czekał się rozpędzali takie grupki, a one zbierały się znowu po ich odejściu.

Stosunki między wyznawcami różnych wyznań były na ogół dobre, w niektórych nawet wypadkach serdeczne. Jeżeli bywały czasem zgrzyty, to głównie ze świadkami Jehowy, którzy grozili karami Bożymi wszystkim z wyjątkiem ich samych. Kiedyś młody jehowita zaczął miotać gromy na Kościół Katolicki za wojny krzyżowe. Zapytałem go: „A czy ty wiesz, kiedy były te wojny krzyżowe?” – „A jakże, to było za czasów Aleksandra Macedońskiego” – „Pozwól sobie powiedzieć, że pomyliłeś się o całe 1500 lat”.

---

<sup>6</sup> Przekład rosyjskiego słowa „religiozników”. „Religioznik” – osoba więziona w czasach radzieckich z przyczyn działalności religijnej.

W pewnym obozie „religionistów” było duże zainteresowanie ruchem ekumenicznym. Szczególne zainteresowanie wywołała zapowiedź zwołania Soboru Powszechnego. Wielu się spodziewało, że Sobór dokona jakiegoś choćby częściowego zjednoczenia z innowiercami. Bywały dyskusje międzywyznaniowe. Niektóre były rzeczowe i utrzymane w duchu wzajemnej miłości. Ale bywały między sekciarzami dyskusje pełne wzajemnej napastliwości. Ja osobiście nawoływałem zawsze wszystkich do niezapominania o wzajemnej miłości w dyskusjach, co nie było skuteczne.

Gdzie indziej pisałem o tym, jak godnie i wspaniale trzymał się w więzieniu nasz biskup Szelażek. Otóż mogę zaświadczyć i to, że i ksiądz Bronisław godnie reprezentował katolickie duchowieństwo. Spowiadał on w obozie wielu świeckich, a także i wielu księży. Głosił konferencje religijne świeckim i księżom. Natomiast ks. Józef Kuczyński ogólnie był lubiany za swoją wesołość. Ksiądz Józef znał wiele anegdot, ale tylko zupełnie cenzuralnych, i chętnie dzielił się ze współwięźniami tą swoją wiedzą. Co prawda niektórzy sekciarze gorszyli się tym, że ks. Józef opowiada anegdoty zamiast cytować Pismo św.

Wszyscy księża w obozie dla „religionistów” odprowadzali codziennie raniutko mszę św. Opłatki przysyłano w paczkach żywnościowych, a wino robiono z rodzynków.

Stosunki między księżmi różnych narodowości były braterskie. Nas Polaków było trzech, dziewięciu Litwinów, jeden Łotysz, jeden Węgier oraz trzynastu Ukraińców. Metropolita Slipyj był bardzo dostojny, choć nie udzielał się innym w ten sposób, jak to czynił biskup Szelażek.

Po moim uwolnieniu z obozu Bronisław i Józef byli razem przez krótki czas. Potem ich rozdzielono. Obaj do końca swoich terminów byli tylko z „religionistami”. Po moim uwolnieniu wprowadzono duże ograniczenie paczek żywnościowych. Wskutek tego Bronisław i Józef wprawdzie nie głodowali, lecz odżywiali się niedostatecznie. Słowem, cierpieli oni dłużej i więcej ode mnie. Za to teraz są oni proboszczami całą gębą, a ja dalej prowadzę żywot domokrażcy.

Na zakończenie tych moich wspomnień z ostatniego uwięzienia opowiem o moim śledztwie i sądzie.

Śledztwo było prowadzone bardzo grzecznie i bez przekręcania moich zeznań w protokołach pisanych przez sędziego śledczego. Po zakończeniu śledztwa dano mi do przeczytania protokołów zeznań świadków wezwanych przez władze śledcze. Zeznawali oni nie tylko w Karagandzie, lecz także i w niektórych miejscowościach, gdzie ja byłem podczas moich wypraw misyjnych. Byli wśród tych świadków Polacy, byli i Niemcy.



Z przyjemnością mogłem stwierdzić, że nikt z nich nie obciążył mnie swoimi zeznaniami. Na pytanie, czy Bukowiński mówił coś przeciw władzy radzieckiej, wszyscy jednogłośnie odpowiadali, że Bukowiński nic takiego nie mówił. Przeciwnie, Bukowiński mówił, że trzeba wypełniać obowiązki obywatelskie i uczciwie pracować (czestno trudit'sja). Kiedy w sądzie wezwano na świadka dyrektora szkoły mieszczącej się na przedmieściu zamieszkałym przez Polaków, gdzie w swoim czasie funkcjonował nasz zamknięty kościółek, to ów dyrektor, choć partyjny lecz Polak, powiedział, że była pogadanka religijna wśród dzieci szkolnych, lecz nic mu nie wiadomo, żeby ją prowadził właśnie Bukowiński.

W akcie oskarżenia, a później w wyroku sądowym, zarzucono mi oprócz otwarcia nielegalnego kościółka, przechowywanie antyradzieckiej lektury i agitowanie dzieci i młodzieży. O dorosłych nie wzmiankowano, a w wyroku – co znamienne – napisano, że nie należy Bukowińskiemu uznawać za winę jego wypraw misyjnych. Po wyroku spalono na stosie kilka moich książek – w tym cenne dzieło naukowe Sawickiego, w którym uczony autor pisał o utopijności hasła raj na ziemi, ilustrując to przykładem... Związku Radzieckiego. Zabrano mi także inne książki przechowywane przez trzy lata w urzędzie bezpieczeństwa publicznego i zwrócono mi po moim uwolnieniu.

Proponowano mi adwokata, ale ja zrezygnowałem i oświadczyłem, że sam będę się bronił. Poprosiłem o rozmowę z adwokatem przed rozprawą dla wyjaśnienia kilku spraw proceduralnych. Przysłano mi adwokatkę. Była to młoda i przystojna kobieta – na mój gust zanadto umalowana. Kiedy jej powiedziałem, że będę się sam bronił, nie tylko się nie obraziła, ale najwidoczniej była z tego zadowolona. Prokurator zażądał 5 lat pozbawienia wolności. W przeciwieństwie do Bronisława, który miał przeciw sobie rozjuszoną prokuratorkę, mój prokurator nie okazywał najmniejszych oznak wrogości. Przeczytał po prostu akt oskarżenia, dodał od siebie kilka słów i tak całkiem niegroźnie wyglądała cała ta mowa oskarżycielska.

Na zakończenie przewodu sądowego prezes sądu udzielił mi głosu dla ogłoszenia mojej mowy obrończej wobec tego, że nie skorzystałem z usług adwokata. Do tej mojej jedynej w życiu mowy obrończej przygotowałem się w swojej pojedynczej celi bardzo starannie.

Przytoczę główne punkty tej mowy, gdyż, jak mi się wydaje, jej treść ma znaczenie ogólne, a nie tylko osobiste.

Za wzorem Pawła Apostoła przemawiającego na ateńskim aeropagu zacząłem swoją mowę od „captatio benevolentiae”. Złożyłem publiczne podziękowanie za dobre i kulturalne traktowanie mnie w śledztwie

i w sądzie. Wyjaśniłem, że nie mam zamiaru występować w obronie własnej. Osobiście nie poczuwam się do winy wobec państwa radzieckiego. Ponieważ jednak „nemo iudex in sua causa”, więc moją sprawę osobistą polecam z całym zaufaniem decyzji sądu radzieckiego. Skorzystam jednak z okazji, którą otrzymuję od władz radzieckich po raz pierwszy w życiu, aby wystąpić w obronie tych, dla których pracowałem w ciągu lat ostatnich.

„Wielka socjalistyczna rewolucja październikowa rzuciła na cały świat hasło wolności politycznej, społecznej i ekonomicznej. Ale nie należy zapominać o tym, że wolność obejmuje również stosunki narodowościowe i wyznaniowe. Ci ludzie, w których obronę występuję, są to Niemcy i Polacy. Przywieziono ich do tego kraju. Czy mogą oni tutaj czuć się całkiem dobrze? Gdyby tak przywieziono grupę prawosławnych Rosjan do kraju Buriatów i kazano im tam żyć, a tam nie byłoby żadnej szkoły radzieckiej – rosyjskiej, gdyby ci Rosjanie niebawem zauważyli, że ich dzieci coraz rzadziej mówią po rosyjsku, a nawet wstydzą się rosyjskiego, za to coraz więcej i chętniej mówią po buriacku, a przy tym są wychowywane na wierzących buddystów, a nie na prawosławnych, to pytam się, czy ci Rosjanie – a i wy, obywatele sędziowie, jesteście Rosjanami – mogliby być zadowoleni ze swego życia w kraju Buriatów?

Otóż śmiem twierdzić, że w takim położeniu znaleźli się Niemcy i Polacy w Karagandzie. Co do Polaków, to po dwudziestu latach w Kazachstanie doczekali się oni trzech swoich księży. A teraz, zaledwie po trzech latach pracy, ci wszyscy trzej księża są uwięzieni, wyrwani spośród wierzącego ludu, a kazachstańscy Polacy zostali znowu bez księdza.

Co więcej, gdyby rząd PRL rozkazał aresztować wszystkich księży prawosławnych na czele z metropolitą warszawskim i gdyby ludność prawosławna w Polsce została bez jednego batuszki, czy mogłaby ona być z tego zadowolona, mało tego, czy mogłaby z tego być zadowolona Moskwa?

Nie proszę o nic dla samego siebie, lecz proszę o uwzględnienie słów moich dla dobra wierzących katolików Kazachstanu. Pragnąłbym mieć nadzieję, że słowa moje nie okazały się głosem wołającego na puszczy, lecz dotarły do Ałma-Aty i Moskwy.

Był jeden wypadek, że mi zabroniono pójść do umierającej chorej, by ją przygotować na dobrą, chrześcijańską śmierć. Obyśmy wszyscy w ZSRR zrozumieli, że pierwszym prawem każdego człowieka, a już tym więcej człowieka wierzącego, jest prawo do Boga”.

Mowy mojej wysłuchano bardzo uważnie. Została ona zaprotokołowana.

Sąd udał się na naradę. Po kilku minutach sędziowie wrócili na salę sądową. Prezes sądu odczytał wyrok skazujący mnie na trzy lata pozbawienia wolności. Na pytanie prezesa sądu, czy będę apelował, powiedziałem, że nie.

Na korytarzu czekało na wyrok kilkadziesiąt osób spośród parafian i parafianek. Sam im powiedziałem, że zostałem skazany na trzy lata, a nie więcej. Mężczyźni uśmiechali się przyjaźnie, widać było, że podzielali moje zdanie.

Pożegnałem swoich kochanych parafian po chrześcijańsku „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Wsiadłem do czekającego mnie samochodu, oczywiście wraz z dwoma konwojentami, i odjechałem wzruszony pożegnaniem z parafianami, lecz bynajmniej nie przygnębiony.

## JESZCZE JEDNO OSTATNIE WSPOMNIENIE

W czerwcu 1957 r. objeżdżałem polskie wioski w okolicy Alma-Aty. Przeżyłem tam wiele głęboko wzruszających momentów.

W jednej wiosce dosłownie cała wieś czekała na mnie. Kiedy przyjechałem (samochodem osobowym), dziewczęta odświętnie ubrane otoczyły mnie wieńcem jak prymicjanta i wprowadziły do domu przeznaczonego na nabożeństwo, a lud cały śpiewał bardzo pięknie „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. W innej wiosce powitał mnie krótkim przemówieniem w obecności licznie zgromadzonego ludu miejscowy patriarcha, pan Stanisław Lewicki. Było to chyba najbardziej wzruszające przemówienie wygłoszone do mnie w całym życiu. Pan Lewicki mówił: „Wywieźli nas pod te góry, zostawili tutaj i wszyscy zapomnieli o nas. Nikt o nas nie pamiętał. Dopiero Ojciec Duchowny do nas przyjechał. My takie sieroty, my takie sieroty”. Płakał czcigodny patriarcha, płakał cały zebrany lud, płakał i ksiądz razem z nimi. Ale to były dobre łzy.

Otóż któregoś dnia czerwcowego przyjeżdżam z jednej wioski do drugiej. Droga była daleka, ok. 30 km. Jechałem kiepską furką zaprzężoną w parę niepozornych koników. Ubrany byłem całkiem niereprezentacyjnie. Dość porządną walizkę miałem ukrytą pod słomą, żeby nie zwracała niczyjej uwagi. Cóż, kiedy droga była przeważnie polna, kiepska furka mocno trzęsła i raz po raz walizka wyskakiwała spod słomy, tak, iż trzeba było kilka razy w drodze przystanąć, aby ją znowu ukryć. Był przepiękny dzień czerwcowy w pełnym blasku popołudniowego słońca. Ani chmurki na niebie. Na prawo od nas obszerna, urodzajna równina, na lewo majestatyczne pasmo gór o szczytach pokrytych śniegiem. I wówczas poczułem się bardzo szczęśliwy i wdzięczny Opatrzności za to, że mnie tam przyprowadziła do tych tak biednych i opuszczonych, a przecież tak bardzo wierzących i miłujących Chrystusa. Tego szczęścia doznanego na owej trzęsącej się furce nie zamieniłbym na największe zaszczyty i przyjemności. Nieraz później, zwłaszcza w ciężkich chwilach, jakich mi nie brakowało, przypominałem sobie to olśniewające przeżycie.



Pogrzeb ks. Wł. Bukowińskiego w Karagandzie. Od prawej: ks. Michał Köller i ks. Józef Kuczyński



Niemcy nadwołżańscy przy grobie ks. Wł. Bukowińskiego. Fot. udostępniona przez Rozalię Sławecką

Nie wiem, co przyniesie przyszłość, nawet najbliższa, mnie i moim przyjaciółom pracującym w duszpasterstwie w Związku Radzieckim. Nie wiemy, w jaki sposób Opatrzność Boża czuwać będzie nad naszym Kościołem w tym kraju. Wiem tylko jedno, iż słodkie jest jarzmo Chrystusowe, a brzemień Jego jest lekkie...

*Zakończyłem pisać 18 maja 1970 roku.*

## ZAPISKI Z KAZACHSTANU\*

Czarne błoto lgnie do nóg, jak smoła. Ciągnie się pudowym ciężarem. Gdzieś wysoko nad głową druty wydzwaniają nocną melodię, jak duchy. W oddali cień przewodnika rozplywa się w gęstniejącym mroku. Ulica nie ma końca. Ale oto zakręt i nagle smuga światła wpada w ciemność, jak w tunel. Jesteśmy na torze. Potem jeszcze wąska kładka, którą trzeba przejść ostrożnie, żeby nie wpaść do rowu i znowu gardziel błotnistej ulicy, ale wiem, że to już niedaleko. Cień znika za szczelnie zamkniętą furtką, która już teraz stoi otworem. Dom zamaryły czy uspiiony jak wszystko wokoło. Dopiero kiedy przez ciasną sień wejdiesz do izby, znajdziesz się w kościele. Przy zamkniętych drzwiach i szczelnie zasłoniętych oknach gromada kobiet, kilku mężczyzn i młodzieży czeka cier-

---

\* Dalszym niejako ciągiem wspomnień z pracy duszpasterskiej spisanych na polecenie przełożonych po szczęśliwie przebytej operacji płuc we wrocławskim szpitalu w 1969/1970 r. są – po WSPOMNIENIACH Z PRACY DUSZPASTERSKIEJ NA WOŁYNIU – niniejsze ZAPISKI Z KAZACHSTANU. Nie zostały one – niestety – dokończone. Ogłoszone tu notatki są raczej obszernym wstępem do planowanego pamiętnika, a może większej historycznej rozprawy. Rękopis formatu A4, zapisany dwustronnie, liczący 15 kart przechowywany jest w Archiwum Prowincji Krakowskiej OO. Kapucynów w Krakowie. Tylko tekst *Podsumowania* (ostatniej części „Zapisków”) zachował się w maszynopisie, został bowiem podyktowany – podobnie jak *Wstęp* do „Wspomnień” z Wołynia – przez o. Serafina siostrzeńcowi Janowi Pompowskiemu. Tytuł tej części książki pochodzi od wydawców. „Zapiski z Kazachstanu” o. Serafina przytaczamy tutaj w całości, z zachowaniem – jak i w całym tomie – wierności rękopiśmiennemu oryginałowi z nielicznymi ingerencjami natury raczej porządkowej.

Czytelników zainteresowanych religijną sytuacją Polaków (i nie tylko) w Kazachstanie odsyłamy dodatkowo do jeszcze dwóch relacji duchownych polskich: W. Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu*. Londyn 1979; J. Kuczyński, *Między parafią a łagrem*. Paris 1985, a także do artykułu W. Lizaka, *Skąd się wzięli Polacy w Kazachstanie* w „Tygodniku Powszechnym” (R. 43:1989, nr 49, s. 2, 7). Odnosnie zaś do dziejów życia o. Serafina w tym okresie odsyłamy do wspomnianej już książki „Włóczęga Boży” (Kraków 1991) do rozdziału IV pt. *W Kazachstanie i tam, gdzie nikt nie docierał* (s. 159–264).

pliwie – czasem całymi godzinami, jak ci służy wyglądający Pana. W drugiej izbie ołtarzyk przystrojony skromnie – jeżeli to są Niemcy, to nieodzowne są krzyczące barwne, sztuczne kwiaty. Jakże tego nie lubię, ale skąd na tej pustyni wziąć coś żywego? Czasem, owszem, są te żywe kwiatki, które zapachem wiosny napełniają przygodną kaplicę. Wtedy nabożeństwo odprawia się niezwykle uroczystie. Dzieci przystrojone w wianuszki wprowadza się jakby w procesji do kościoła i wszyscy przeżywają na nowo swoją Pierwszą Komunię św. Jakże wdzięczny jestem Piusowi X, że żąda od dzieci minimum. My im więcej dać nie możemy, kiedy noc jest tak krótka, a nazajutrz czeka ich bezbożna szkoła. Starsi żyją przeszłością. Szczęśliwi, jeżeli zachowali – jak relikwie – resztki nabożnej książki i potrafią z niej choćby sylabizować. Przecież większość ich nie przechodziła żadnej szkoły, a elementarzem ich były właśnie te strzępy modlitewników zachowanych przed zniszczeniem. Teraz cieszą się, że mogą tę jedną noc spędzić tak blisko Pana, którego im było tak bardzo brak, a jest dla nich wszystkim. Ale bywa też inaczej.

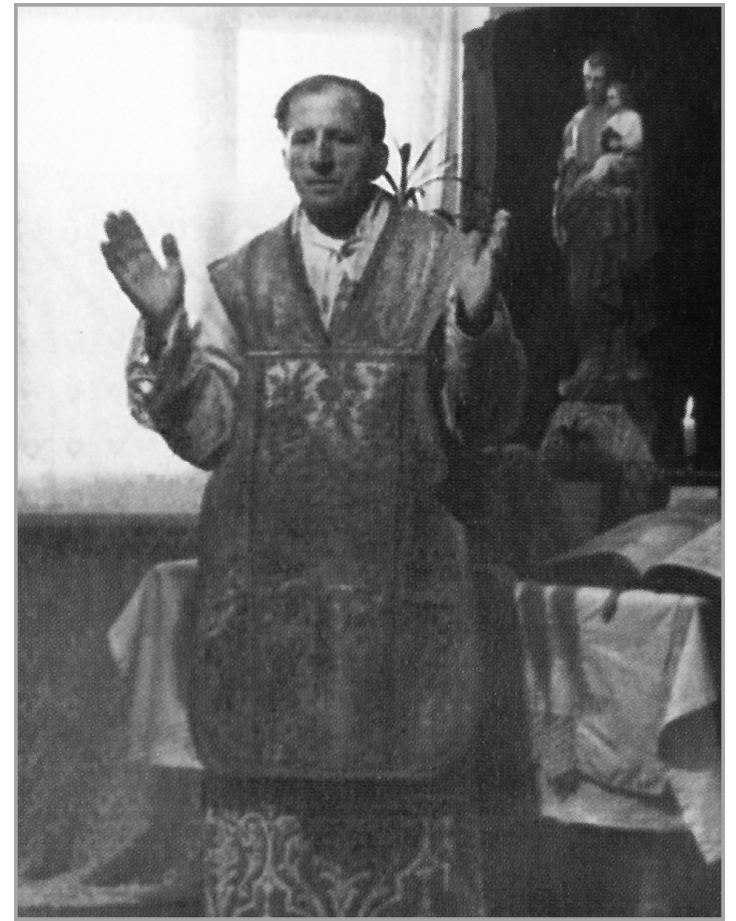
Któregoś dnia późnym wieczorem przygotowali się w odległym przysiółku na uroczyste przyjęcie. W niecierpliwości nie mogli się doczekać przybycia autobusu. Całą gromadą wyszli naprzeciw, aż zwrócili uwagę milicjanta. W domu była procesja ze świecami i śpiewem, jak na Boże Ciało. Ale kiedy po wysłuchaniu spowiedzi miała się rozpocząć Msza św., dano znać, że „idą komsomolcy”. Staruszkowie rozeszli się z płaczem i niektórzy może i tak pomarli, nie doczekawszy się następnego razu.

Innym razem – w samą wigilię Zielonych Świątek – spora gromada wiernych zebrała się, jak apostołowie w wieczerniku, oczekując Ducha z nieba przy zamkniętych drzwiach. Zamiast tego zjawił się komitet bezbożników; spisali zebranych i czekali na księdza, nie pozwalając nikomu wychodzić. Szczęściem, jakiejś dzielnej kobiecie udało się zbiec i uprzędzić zasadzkę.

Nie zawsze jednak wyjście bywa tak pomyślne.

Było to w któryś jesienny Pierwszy Piątek. Ten dzień zaczyna się zwykle o północy, żeby wykorzystać czas. Nabożeństwo u Niemców było ożywione. Rano oczekiwali Polacy i to w miejscowości odległej, do której trzeba było jechać autobusem. Ponieważ po nocnej Mszy św. pozostały Komunikanty, trzeba je było przewieźć na nowe miejsce. W autobusie przed samym odjazdem zjawił się nagle czarny milicjant. Dawał tajemnicze znaki, żeby iść za nim. Nastąpiła indagacja: skąd, do kogo, w jakim celu? Nie znałem żadnego nazwiska, drżałem tylko przed profanacją, ale św. Postaci nie można było ukryć przed argusowym okiem. W urzędzie





SŁUGA BOŻY O. SERAFIN KASZUBA  
Kapłan Zakonu Kapucynów, Apostoł Wołynia, Syberii  
i Kazachstanu

trzeba było wysłuchać ostrych słów i oczywiście zabroniono jechać dalej. Pierwszy Piątek przypadł, ale P. Jezus „przeszedł mimo i uszedł ich rąk”. Nie zamierzam opisywać dalszej drogi krzyżowej. Niech tylko kilka telewizyjnych obrazków wystarczy jako wprowadzenie do szkicu o katastrofowym życiu naszych braci w Kazachstanie.

Na wstępie nasuwa się metodologiczna uwaga.

Kazachstan – jak wiadomo – olbrzymi kraj Środkowej Azji, geograficznie bogato zróżnicowany, pod względem obszaru druga po Federacji Rosyjskiej republika w Związku Radzieckim, kraj ogromnych możliwości rozwojowych, kryjący w swym wnętrzu niewyczerpane bogactwa kopalnicowe, jest przedmiotem coraz bardziej rosnącego zainteresowania. Almaatańska Akademia Nauk oraz liczne instytucje naukowe w innych większych licznych miastach republiki przyczyniają się do pogłębienia materialno-duchowej kultury tego jakby nowo odkrytego terenu. Co jednak w tym ogólnym obrazie jest znamienne, to negatywne i wręcz wrogie nastawienie do zagadnień wyznaniowych. Jest to uderzające zwłaszcza na tle przemian, jakie zaszły ostatnio w Związku Radzieckim.

Dnia 30 sierpnia 1965 r. Włodzimierz Kurojedow, prezes ogólnozwiązkowej Rady Religijnej, opublikował w moskiewskich „Izwiestiach” artykuł rzucający światło na te sprawy. Trzymając się zasadniczo leninowskiej koncepcji rozdziału Kościoła (Cerkwi) od państwa i szkoły od Kościoła, a zarazem rezerwując swobodę wykonywania obrzędów religijnych dla prawnie zatwierdzonych społeczności wyznaniowych, zaznaczył jednak przy tym, że „nikt nie ma prawa odmawiać zatwierdzenia tym społecznościom, których obrzędy i funkcje nie wykazują wrogiego nastawienia do rządu radzieckiego”. Jak elastycznym okazało się to oświadczenie w odniesieniu do miejscowych władz kazachstańskich, pokazała niebawem praktyka. Kiedy w jednym z najliczniejszych ośrodków polsko-katolickich w Tainczy zażądano zarejestrowania kaplicy, odpowiedziano brutalną odmową. Delegacja udała się z interwencją do Rady Religijnej w Moskwie. Wówczas tenże sam Wł. Kurojedow oświadczył: „my o was nic nie wiemy”. Do sprawy tej wypadnie jeszcze powrócić przy omawianiu szczegółów. Tu chodzi tylko o podkreślenie właśnie tego ignorowania najżywoźniejszych interesów religijnych, odnośnie zwłaszcza do ludności katolickiej. Oczywiście, w takich warunkach nie może być mowy o żadnych naukowo udokumentowanych uogólnieniach czy statystycznych danych. Urzędowo procent Polaków kazachstańskich podaje się na 0,06. Jeżeli wziąć pod uwagę, że element polski w znacznej mierze uległ zukrainizowaniu, takie dane okażą się mocno niedokładnymi. Cóż dopiero mówić o statystyce wyznaniowej, kiedy urzędowe

dane odnoszące się do liczby wiernych zupełnie nie istnieją? Wobec tego wszelkie wypowiedzi muszą nosić z konieczności charakter fragmentaryczny osobistych doświadczeń czy wspomnień.

Skąd wzięli się Polacy w Kazachstanie?

Jakkolwiek wszyscy prawie pochodzą z różnych stron Ukrainy, to jednak każda niemal rodzina ma swoją własną historię, której na imię: wygnanie. W żyznych włościach na Podolu i Wołyniu żyło się nieźle – nawet zamożnie. Najważniejsze, że były ośrodki polskości i wiary – szkoły i kościoły. Nowa historia wszystko zmiotła. Przyszła kolektywizacja i wywłaszczenie. Wystarczył cię sprzeciwu, żeby ojca zabrali, a ją z nieletnim drobiazgiem wysłano na krańce świata. Jeśli drzewo wyrwie się z korzeniami, można je przesadzić choćby o tysiące kilometrów, ale kiedy strzaska je piorun, a wiatr rozrzuci w cztery strony świata? Przy kopającym płomyku kaolinowego kaganka ciągną się te nie kończące się nigdy dramaty: słowa są spokojne, prawie obojętne, jak krople deszczu, które dzwonią w połatane szyby. Wieczorem zjawili się w wiosce obcy ludzie – może przemytnicy. Kto ich wie? Nikt nie chciał przyjąć na noc, ale mąż się zlitował. Za nimi przyszli szpicle. Męża zabrali. Rozstrzelali, w sam dzień Podwyższenia Krzyża. Padła zemdlona, ale potem dała na Mszę św. Ksiądz powiedział: „nie płacz, on umarł jak święty”. Ojciec nie chciał iść do kołchozu. Był dawnym lokajem, zabrali ostatnią garść zboża. Ojciec umarł w nędzy. Ona z dziećmi znalazła się w eszelonie do Kazachstanu.

Ktoś przedarł się przez granicę. Wstąpił do seminarium i został księdzem, ale taki zaszczyt trzeba odpokutować. Rodzinę wywieziono – do Kazachstanu. Wywożono też całe wioski graniczne. Dziś tam puste wrzosowiska lub lasy, a ludzie w Kazachstanie. Niektórych wywożono hen, aż do Semipałatyńska i Ałma-Aty, aż w pobliże chińskiej granicy do górzystego Tał-dy-Kurganu, inni zaludniali centrum przemysłowe w Karagandzie i Dżezgazganie, ale centrum Polonii utworzyło się na północno-zachodnich bezbrzeżnych stepowych obszarach około Pietropawłowska, Tainczy i Akmolińska.

A jakie było to nowe życie?

Była późna mroźna jesień, kiedy znaleźli się w barakach pod gołym niebem na stepie. Potem zaczęto grupami rozwozić „na wioski”. Myśleli, że wreszcie odetchną pod jakimś dachem, ale pokazali im pusty plac wyznaczony na stepie kołkami: „oto wasza osada”. Zaczęła się mozolna praca od podstaw. Trzeba było z gliniastej ziemi formować kostki i z tych „samanów” budować chaty, niskie, zaduszone, na kształt kazachskich, kryte płasko również ziemią. Opalało się je suszonym owczym łajnem.

Te „kiziaki” wywołują swoisty gryzący odór. Kto zjadł przywiezione zapasy, przymierał głodem i jadł stepową trawę. Nawet jeśli było co do sprzedania, nie można było dostać się do miasteczka na targ, bo wioski były „pod komendanturą”, tzn. że bez specjalnego pozwolenia nie wolno było oddalać się poza obręb osady. Byli wciąż znowu w jakimś sensie *glebae adscripti*, tylko że teraz ziemia była gromadzka. Gdyby cudem udało się jakiejś zrozpaczonej rodzinie wyjść nocą z wioski i uciec, powierzywszy się Opatrzności, wtedy jednak groziła śmierć na stepie z głodu lub też z ręki Kazachów–tubylców, którym obiecywano zapłatę od głowy. Trzeba było iść nocami, a w dzień ukrywać się w rozpadlinach przed skwarem i zbójcami i przebyć tak tysiące kilometrów. O tych czasach głodu i nędzy krążą legendy. Ktoś szukając korzonków natrafił na jamkę chomika ze zbożem – widoczny cud, bo skrytek znalazło się więcej i można było oszukać głód – ale inni marli. Wyginęły prawie wszystkie dzieci, jak kwiatki zwarzone mrozem. Bo wkrótce przysła zima. Straszna, mroźna, jakiej przedtem nie widzieli. Kto jej nie przeżył, nie wie, jak wyglądają kazachskie „buriany”. W jednej chwili świat staje się szaro-biały, szalony wichur jak trąba chwytą wszystko w swe wiry i rzuca człowieka o ziemię jak wiór. Opowiadają o dziewczętach, które wichura zasypała na śmierć, kiedy szły po wodę do studni. Czasem rano trzeba było robić formalne przekopy, żeby się wydostać z chaty pokrytej gładko z dachem śnieżnym całunem. Takim to wioskom nadano wcale romantyczne nazwy: Wiszniówka, Kalinówka, Jasna i Krasna Polana, a nawet Zielony Graj. Stało się to jednak chyba później, kiedy zorano wielkie zagony i nawet tu, na dalekich azjatyckich stepach zaczęła się spełniać profetyczna zapowiedź Piasta Dantyszka: „złamani zawsze staniemy na nogi”.

Zanim jednakże ten nowy obraz zajmie naszą uwagę, trzeba zająć się drugim, obok Polaków, składnikiem elementu katolickiego w Kazachstanie, jaki tworzą Niemcy.

Historia ich jest równie interesująca i – tragiczna.

Przodkowie ich przybyli z różnych stron Niemiec – z Nadrenii, Westfalii, Bawarii na wezwanie Katarzyny II, która oddała im żyzne obszary nad Wołgą w celach kolonizacji. Kraina była istotnie urodzajna, toteż wkrótce powstały kwitnące osady i liczne parafie z ośrodkiem w Saratowie i innych nadwołżańskich miastach. Ale właśnie ten dostatek sprowadził nieszczęście. Zaczęły się najazdy Kirgizów – tak nazywano wówczas plemiona koczownicze szukające łatwego łupu daleko na zachodzie. Jak w Polsce średniowiecznej Tatarzy, tak i ci nowsi już najezdźcy plądrowali osady, grabili kościoły, mordowali starych, młodzież

zabierali w jasyr. Przy końcu zeszłego wieku Niemcy nadwołżańscy z okazji stulecia przybycia ich przodków wspominali te okrutne czasy. W ich tradycji żyje pamięć franciszkanina, o. Jana, który w niewoli pasł kirgiskie barany, a przy tym odznaczał się duchem apostołskości miłości. Nie wiedzieli pewnie wówczas, że te czasy powrócą do nich może jeszcze w formie bardziej tragicznej. W latach rewolucji prawie w ogóle przestała istnieć cała diecezja saratowska z katedrą, seminarium i biskupem. Potem likwidowano wszystkie parafie. I powtórzyło się to, co na Ukrainie: wywłaszczenie, tułaczka, nędza. Rozsypali się jak liście gnane wiatrem po Syberii, Kazachstanie, Kirgizji, aż gdzieś po kraj Uzbeków i Tadżykistan. Zaludnili obozy przymusowej pracy, fabryki, kopalnie, często nie wiedząc jedni o drugich. W czasie wojny stan liczebny Niemców–wyrzniętów jeszcze się zwiększył. Przybyli pozostali z Nadwołża, a prócz tego z Krymu, okolic Odessy, a nawet dziwnym losem miotani ci, którzy zobaczyli swoją dawną ojczyznę, lecz nie mieli prawa tam pozostać. Można zaryzykować twierdzenie, że dziś w Kazachstanie nie ma prawie większego ośrodka, gdzie by ich nie było. Ponieważ zaś nigdzie nie spotyka się rozgraniczenia terytorialnego protestantów od katolików, znaczy to, że kapłan katolicki wszędzie może znaleźć większą czy mniejszą grupę swoich wiernych – Polaków czy Niemców.

Przechodząc z kolei do omówienia sytuacji katolików w Średniej Azji, trzeba podkreślić przede wszystkim tę silną więź łączącą wiernych bez różnicy narodowości, która sprawia, że tworzą oni zwarte społeczności religijne, broniące wspólnie swoich praw. Bezwzględnie, zebrania modlitewne odbywają się czasem oddzielnie, co jest uwarunkowane językiem, ale kapłan i wspólna liturgia łączy wszystko w jedno.

Ogólnie biorąc, ludność niemiecka miała z początkiem przymusowej emigracji lepsze warunki duszpasterskie. Jeszcze dziś słucha się ze wzruszeniem ich modlitw „na dobranoc”, które odmawiają zawsze z rozkrzyżowanymi ramionami, bo tak ich nauczył ostatni proboszcz. Zresztą ten ostatni duszpasterz nie opuścił ich do końca. Był to czcigodny Pater Staub, który umarł kilka lat temu w Karagandzie. Obecnie żyje i częściowo działa ks. M. Keller koło Frunze.

Polacy byli jak owce bez pasterza. Ich kościoły parafialne zostały już przedtem zniszczone, księża uwięzieni lub wygnani w różne strony. Czasem tylko udało się grupie zabrać krzyż z wielkiego ołtarza na pamiątkę. Chowają go jak drogą relikwię. Jeśli się zważy, że zasadniczo przesiedlony został najgorliwszy pod względem religijnym element, można zrozumieć ich dogłębny ból po stracie tego, co najdroższe. Ale też to tłumaczy, że tyle lat przetrwali. Z grubsza biorąc kilkanaście lat, bo aż do koń-

ca wojny nie mieli żadnego kontaktu z kapłanem. Sami chrzcili, uczyli dzieci, sami też dysponowali na śmierć i umierali. Wszędzie znalazła się jakaś oddana Bogu dusza, która spełniała te funkcje na pół kapłańskie. Zasadniczą rolę odgrywali tu tercjarze, organiści, słudzy kościoła. Kiedy już zelżały okowy i można było zrealizować ten zamiar, nie szczędzili trudu, żeby być bliżej kościoła. Na miejscach, gdzie były ich dawne wioski, niekiedy zarosłych lasem, budowali nędzne chatki, czyścili splądrowane cmentarze i odnawiali kościoły. Większość jednak musiała pozostać. Młode pokolenie coraz bardziej wrastało w ziemię, polepszały się warunki bytu, nędzne lepianki zastępowały dostatniejsze domy. W latach wojennych i po wojnie przybyły nowe kadry wygnańców z Ukrainy, a nawet z Polski walczącej. Był to jakby niespodziewany zastrzyk polskości, a czasem i wiary. Ci ludzie, często o wyższej kulturze, wyrzuceni brutalnie za nawias życia, znaleźli u swoich współbraci serdeczne przyjęcie. W zamian za materialne wsparcie w nędzy, mówili im o Polsce, która podnosi się z oparów krwi i pożogi wojennej do nowego życia. Kiedy po sześciu i więcej latach dla tych, którzy nie pozostali na kazachskich mogiłach, otwarła się powrotna droga, niejeden rad by był podążyć z nimi do tej wymarzonej ojczyzny. Niestety, byli Polakami tylko duchem, a ojczyzną ich była „szeroka ruska kraina”. Wielu więc powróciło przynajmniej w rodzinne strony, na Ukrainę. Zresztą wkrótce ograniczono możliwość emigracji. Właściwie jednego im tylko nie dostawało. Z utęsknieniem otrzymywali wiadomości, że ich rodzinne kościoły, jeśli nie legły w gruzach, na nowo się ożywają, a nawet tam, gdzie nie ma kościołów, działają jacyś księża (w Połonnem, Żytomierzu, Gródku) w prowizorycznych kaplicach. Ci księża przysyłają im opłatki na Boże Narodzenie, a święcone na Wielkanoc. Nawiązuje się serdeczny kontakt. Budzi się tęsknota: gdyby tak i u nas...

I oto gdzieś około 1948 r. zjawia się pierwszy kapłan<sup>1</sup>. Jest chudy, smagły, wiele się modli i umartwia, ale odprawia we wschodnim obrządku. To ich peszy i onieśmiela, boją się podstępu. Zresztą odprawia więcej u Niemców, choć przygarnęła go polska rodzina. Miejscowe władze są też widocznie zdezorientowane. Nie mają jeszcze dyrektyw. W Tainczy<sup>2</sup> istnieje już cerkiewka prawosławna. Radzą nawiązać kontakt z batuszką. Czemuż by nie pozwolić też katolikom? Ale ksiądz zaczyna jeździć po

<sup>1</sup> Był nim ks. Włodzimierz Prokopiew – kapłan obrządku greckokatolickiego (unickiego), który w 1961 r. w Wilnie zwrócił uwagę o. Serafina na potrzeby duszpasterskie Kazachstanu, zachęcił go do pracy wśród tamtejszych wiernych i podał mu ich adresy. Zob. też J. Kuczyński, o. c, s. 75–6.

<sup>2</sup> Taincza (za czasów radzieckich Krasnoarmiejsk, dziś Tainsza) – miasto w pñ. Kazachstanie.

wioskach. W jednej wyznacza się nawet plac pod budowę kaplicy. To się zaczyna coraz mniej podobać. W niemieckiej Liniejówce dochodzi prawie do aresztowania, ale kończy się na dość wysokim „sztrafie” i ksiądz wyjeżdża. Znika równie tajemniczo, jak przybył, aby pojawić się po kilku latach, ale gdzie indziej i w innych warunkach.

Bo nad Kazachstanem jakby nagle otwarło się niebo. Gdzieś od Pietropawłowska poprzez bezbrzeżne stepy Tainczy, Kokczetawu, Akmolińska aż do Karagandy i dalej hen aż do Taszkientu i Frunze w Kirgizji powiał jakiś ożywiający wicher jakby „szum wiatru gwałtownego” Zielonych Świątek. Pojawili się księża, powstały kaplice, lud runął ławicą do źródeł sakramentalnych, jak długo dręczona pragnieniem trzoda. Tego nie można inaczej wyrazić. Każdy z tych kapłanów przybyłych z Sybiru po długoletnich rekolekcjach doświadczył dosłownie słów psalmisty o pożeraniu przez gorliwość i Jezusowych o „gwałtownikach porywających niebo”.

Prawie równocześnie jesienią 1956 r. zjawili się w Tainczy, Akmolińsku i Karagandzie ci ludzie zaprawieni w twardej szkole i zabrali się do pracy na długo nie oranym zagonie. Był to najdosłowniej „celinny kraj”.

W Tainczy – dawna przejezdna mało znaczna stacja – dziś ośrodek rejonu Krasnoarmiejsk – przy ul. Zachodniej zakupiono dość obszerny dom pod kaplicę. Potem pokazało się, że transakcja była zrobiona równie nieostrożnie, jak chytrze – po prostu właściciel wziął pieniądze, ale dokumentu nie wystawił. Na razie nikt o to nie dbał. Kaplicę urządzono jak tylko możliwe w takich warunkach. Stanął skromny ołtarz z drewnianym tabernakulum miejscowej roboty. Pierwsze nabożeństwa odprawiały się w naprędce szytych prymitywnie szatach przy użyciu również prostych niezbędnych przyborów i naczyń liturgicznych, ale potem zakrycia się dopełniła. Z Ukrainy, a więcej jeszcze z Wilna zaczęły napływać obrazy, szaty, naczynia, znalazła się nawet monstrancja. Pomieszczenie rozszerzono, trochę przebudowano. Co gorliwsi zaczęli się rozglądać za placem pod budowę kościoła, bo tymczasem ta prowizoryczna kaplica zaczęła przyciągać tłumy. Ksiądz<sup>3</sup>, wysoki, atletycznej budowy, dawny działacz społeczny, opiekun młodzieży, a przy tym pełen optymizmu i humoru, od razu podbił serca swoich owieczek. Pracował dosłownie bez wytchnienia, aż do upadku sił, w ciasnocie, zlany potem, otoczony napierającym zewsząd tłumem jak Mistrz w Kafarnaum.

---

<sup>3</sup> Ks. Władysław Bukowiński – kapłan diecezji łuckiej (1904–1974), zasłużony apostoł Kazachstanu, który przesiedział w sowieckich więzieniach ponad 13 lat. Jego grób w Karagandzie jest otoczony opieką i czcią wiernych. Autor *Wspomnień z Kazachstanu*, Londyn 1979.

W niedzielę cała ulica była obstawiona podwodami i maszynami przybyłych z dalekich kolchozów. Kto tylko dowiedział się i mógł przyjechać, przywoził dzieci i starszych do chrztu, pary do ślubu. Śluby brali rodzice razem z dziećmi, ba, czasem dziadkowie. Mało kto rozumiał i zadowalał się tym, że bez księdza ślub jest ważny. Bywało też i masowe bierzmowanie. Żeby zrozumieć ogrom pracy duszpasterskiej, trzeba choć pobieżnie poznać warunki terytorialne.

Taincza – dawna wojskowa stacja – leży przy linii kolejowej biegnącej w kierunku południowym z Pietropawłowska poprzez Kokczetaw i Akmolińsk do Karagandy. Stacja dzieli osadę na część zachodnią, obejmującą Suchocin, i wschodnią z posiołkiem roboczym. Po jednej i drugiej stronie toru, na dawniej bezludnym stepie, na którym z rzadka chyba tylko jakieś auły kazachskie wypasły swoje bydła, rozsiadane zostały w odstępach kilku – czy dziesięciokilometrowych, jak rodzinie w czarnym cieście, osady polskie. Porównanie to można zaryzykować, ponieważ do niedawna jeszcze z jednej do drugiej wioski trudno się było dostać, chyba sposobem miejscowym – na koniu. Tych wiosek po stronie zachodniej łącznie z drugim centrum rejonowym (Czapajewo) znajduje się w promieniu mniej więcej stukilometrowym czternaście. Są to osady całkowicie albo też w większości polskie, co wyraża się nawet w nazwach: Kalinówka, Wiśniówka, Jasna Polana, Gaj Zielony, choć to nie gra roli. Ważniejsze, że rozbudził się tam duch polski i katolicki, kiedy po raz pierwszy pojawił się ksiądz z kolędą czy też po prostu, żeby odprawić nabożeństwo dla chorych i nie mogących dostać się do kaplicy. Po drugiej stronie, wschodniej, grupują się niemieckie wioski około centrum Kellerówki – Liszajówka, Razówka, ale też i cały szereg pierwotnie zupełnie polskich: Letowoczna, Krasna Polana, Juźne. Obecnie ludność jest tam etnicznie pomieszana – przybyli Ukraińcy, Rosjanie, ale nawet obecnie stanowią oni znikomą mniejszość. Nie można jednakże myśleć, że w tych granicach zamykała się nowa „parafia”. Wpływ kapłana zataczał kręgi coraz szersze, obejmujące grupy Polaków i Niemców – katolików rozsianych na ogromnych przestrzeniach na północ poprzez Kijały aż do Pietropawłowska, na południu zaś do zetknięcia się z drugim ośrodkiem katolicyzmu, jaki powstał około Akmolińska.

Akmolińsk – dzisiejszy ok. trzystutysięczny Celinograd<sup>4</sup> – był jeszcze w pięćdziesiątych latach zbiorowiskiem chat kazachskich o płasko

<sup>4</sup> Obecna nazwa: Astana – od 1998 roku stolica niepodległego Kazachstanu. Miasto to w latach 1832–1961 nosiło nazwę Akmolińsk, w latach 1961–1992 Celinograd, a w latach 1992–1998 Akmoła. Jest to piękne, nowoczesne miasto będące wizytówką Kazachstanu. Ośrodek archidiecezji na czele której stoi J. M. Ks. Abp Tomasz Peta.



ściętych dachach i sterczących kominach, które robią wrażenie, że przeszła nad nimi jakaś niszcząca burza. Dziś w centrum miasta piętrzą się nowoczesne bloki, ale nie trzeba iść wcale daleko, żeby znaleźć się w błotnistych zaułkach, gdzie pod chatami wygrzewają się biało zakwiefione babki i bawią na pół nagie dzieci. Ta osada, pamiętająca pewno dawnych pieśniarzy, nosiła poetycką nazwę: „biały mułła”. Może to by świadczyło o jakiejś religijnej tradycji. Dziś w mało jeszcze zeuropeizowanej dzielnicy, choć niedaleko głównego bazaru, kryje się za wysokim płotem zielony meczet z niepozornym minaretem wyglądającym raczej na budkę strażniczą. W dniach świątecznych można zobaczyć szereg mężczyzn w aksamitnych małachajach i kobiet w białych spadających do ziemi kwefach, dążących do świątyni. Czasem uda się nawet spotkać sędziwego mułłę, którego dwaj dostojnicy prowadzą pod rękę. Na przeciwnym końcu prawie tej samej długiej ulicy znajduje się kopulasta cerkiew. Ktoś ciekawy mógłby odnaleźć też przy dobrej doli skromną cerkiew luterańską. Mimo woli oglądamy się za kościołem katolickim. Owszem, był i to nie tak dawno. Kiedy miasto zaczęło się gwałtownie rozbudowywać jako centrum „celinnego kraju”, najechało wielu Niemców z okolicznych sowchozów albo i z dalszych stron szukać zajęcia w ośrodkach przemysłowych, na budowie czy też w innych przedsiębiorstwach. Znalazło się wśród nich wiele rodzin katolickich. Przybyli też z wiosek Polacy. Trzeba było tylko gorliwego kapłana, który by zainicjował pracę. I oto taki się zjawiał – właśnie ten z Tainczy. Wkrótce zakupiono dom, urządzono kaplicę i rozpoczęły się regularne nabożeństwa. Z początku znowu miała głos liturgia grecka, ale stopniowo łacina zwyciężyła, co się też przyczyniło – przy osobistej gorliwości duszpasterza – do rozszerzania wpływów i triumfu wiary. Życie religijne rozkwitło. Garnęła się młodzież i dzieci. Zdarzały się nawrócenia nawet obojętnych i wrogich. Wpływy rozciągały się na odległe rejony Kurgaldżyńsk, Szor-tandy.

Jednakże dojazd do Akmolińska nie był łatwy. Wiosną, kiedy puściły śniegi, droga z posiołków była nie do przebycia. Grajder – twarda szosa, która łączy Celinograd z odległą 140 km Astrachanką, omija cały szereg polskich wiosek, które pozostawione na uboczu pragną mieć swoją kaplicę. Pragnienia te spełniają się, kiedy z Sybiru przybywa jeszcze jeden kapłan: światły uczony, dawny profesor seminarium duchownego], a przy tym pełen apostołskiego zapału, choć o zrujnowanym zdrowiu<sup>5</sup>.

---

<sup>5</sup> Ks. dr Bronisław Drzepecki – kapłan diecezji łuckiej. Studiował w Rzymie, w latach 1937–1939 był wicerektorem i profesorem teologii dogmatycznej w die-

Usilne staranie ludzi dobrej woli, którzy nie szczędząc ofiar oddają dom dla służby Bożej, sprawiają, że powstaje nowy ośrodek kultu w Zielonym Gaju<sup>6</sup>. Zwykle oznacza się ten posesiołek lakoniczną numeracją 32, ale nazwa jest więcej symboliczna. „Gaj” zaczyna rozwijać się i kwitnąć, choć otaczają go jak przedtem bagna. Nawet pieszo mogą przybyć ludzie z pobliskich wiosek, dalszych posesiołków 10, 11, 12. Nawet 13 i 14, choć już dalsze, utrzymują stały kontakt z „parafią”. Ośrodek rejonowy Astrachanka liczy kilkadziesiąt rodzin polskich i chyba więcej niemieckich. Dalej już nieco w bok od Dżałtywu znajduje się spora osada niemiecka o kazachskiej nazwie Żytkur-Dżałtyr – duża stacja kolejowa z również kilkadziesiątu rodzinami, wśród których znajdują się też Polacy, posiada poprzez Karmadyr lepszy dojazd do Akmolińska i Karagandy.

Obrzeżona mnóstwem stożkowatych czarnych szybów, najeżona lasem kominów fabrycznych Karaganda od niedawnych czasów rośnie w potężną metropolię, największą w zachodnim Kazachstanie, a po stolicy Alma-Acie w ogóle w całym tym olbrzymim kraju. Gwałtowny rozwój tego ośrodka przemysłowego jest wysoce symptomatyczny dla celinnego kraju. Jeszcze w latach trzydziestych, kiedy pędzono etapami wygnańców z Ukrainy, trasa ich szła wprost z Akmolińska do Karkaralińska, gdzie był prastary ośrodek administracyjny z czasów koczownictwa. Później przeniesiono go do Semipałatyńska, a o Karagandzie w klechdach pieśniarzy z Akajem na czele nie ma jeszcze mowy. Dziś Karkaralińsk jest uroczym miasteczkiem, do którego z Karagandy trzeba jechać ponad 200 kilometrową różnorodnie formowaną szosą. W ostatnim odcinku przed wjazdem do miasta położonego w kotlinie rozciągają się piękne widoki na poszarpane, czasem płasko ścięte góry, miejscami porośnięte czarną grzywą lasów. P. Bogdan nazywał je kazachską Szwajcarią. Był to zacny, o patriarchalnym wyglądzie starzec, który przybył tu z górą pół wieku temu jako agronom, a potem po przeżyciu lat wygnania powrócił tu, aby dożyć sędziwego wieku wśród umiłowanej ludności miejscowej. Bo to był właśnie charakterystyczny rys jego pięknej osobowości – uniwersalny humanitaryzm, który sprawiał, że drzwi jego domu, pochylego wiekiem jak i on sam, dla każdego stały otworem. Przy tym żył i zmarł religijnie. Uczył nawet katechizmu wychowankę – Ukrainkę, a w jego domu, przypominającym chyba graciarnię średniowiecznego

---

cezalnym seminarium duchownym w Łucku; przesiedział 15 lat w więzieniach sowieckich. Pisze o nim W. Bukowiński w swoich „Wspomnieniach” (zob. przyp. 2).

<sup>6</sup> Zielony Gaj – polska miejscowość położona 80 km na zachód od Celinogradu.

alchemisty, gromadziła się garstka wiernych, kiedy z rzadka przyjeżdżał ksiądz. Ten fragment warto było włączyć, żeby zaznaczyć, że nawet w najdalszych zakątkach nigdzie nie brak wiernych.

Cóż dopiero mówić o Karagandzie! Zaraz z początku wśród kadr przybyłych dla pracy w kopalniach i przemyśle znalazły się setki rodzin katolickich. Niemcy–katolicy zaludnili szczególnie przedmieście Majkuduk. Tam też odprawiały się pierwsze nabożeństwa i założono kat[olicki] cmentarz. Potem – przy wzroście liczby wiernych do tysięcy – założono w mieście kaplicę. W wielu domach, nie tylko w samej Karagandzie, ale i w całym kraju, można oglądać fotografie wnętrza kaplicy, czasem z grupą kapłanów z sędziwym ks. Staubem na czele. Bo księży było zawsze kilku. Jedni z nich pracowali w fabrykach lub przedsiębiorstwach, inni dożywali wieku przy pracy kapłańskiej –zawsze można było zastać kogoś chętnego do usług. Do Karagandy przyjeżdżano tedy i z dalekiego Omska i Nowosybirsk, mieli tu przystań wierni z Aktiubińska i Kustanaju, a z południa przyjeżdżali aż z ciepłych krain – Dżambuła i Taszkientu.

Potem jednak powstała kaplica w okolicach Frunze z o. Antonim, a prócz tego znaleźli się OO. Bazylianie, wygnańcy w węzłowej stacji Czu i ostatni po śmierci ks. Stauba proboszcz niemiecki z Nadwołża, ks. Keller. Rozciągnęli oni opiekę nad ogromnymi masami wiernych, rozmieszczonych po kołchozach, sowchozach i różnych przedsiębiorstwach stołecznej Alma-Aty i okolic. Do całości obrazu, który jednak nosi charakter mocno fragmentaryczny, trzeba jeszcze dołączyć tajemniczą sylwetkę dominikanina, który w tym czasie osiadał w Pietropawłowsku.

Leżąc na skrzyżowaniu dróg wiodących z jednej strony przez Kurgan i Czelabińsk na Ural z Ufą i Świerdłowskiem, z drugiej na sybirski już Omsk i Nowosybirsk, a wreszcie w kierunku południowym na Karagandę i Taszkient, był P[ietropawłowsk] ważnym punktem komunikacyjnym jeszcze dla wielbłądzich karawan w dawnych czasach. Administracja carska wykorzystywała to spore miasto dla handlu i kolonizacji. Z tego czasu pochodzi dość duży baniasty sobór, widniejący z dala na tle nowych zabudowań, jak nieopatrzenie pozostawione wspomnienie.

Może i licznie przybyli Polacy mieli też swoją świątynię. Teraz nie można było o tym marzyć, mimo że rodzin katolickich zamieszkuje sporo w samym mieście, a więcej jeszcze w okolicznych wioskach. Ksiądz spotkał się zaraz na początku ze sprzeciwem i szykanami, mimo że ukrywał się pod zmyślonym nazwiskiem. Nazywał się Pieresypkin, ale nikogo to nie myliło. Każdy wiedział, że przy dobrej woli, zadawszy sobie nieco trudu, znajdzie zawsze chętnego do usług dobrodusznego mimo

trochę ostrej postawy – ojca Piotra<sup>7</sup>. Było to niezmiernie ważne, szczególnie wobec zmienionych warunków, które miały wkrótce nastąpić – nowej fali prześladowań.

Koczownicze plemiona kazachskie miały na oznaczenie wszelkich klęsk żywiołowych jeden ostry jak świst „sorła” wyraz: dżut. Kiedy bydło ginęło z braku paszy, którą wypaliło słońce, a ludzie nie mieli mleka ni sera i dobijali z głodu ostatnie konie, kiedy przedwczesna zima skuła białym płaszczem ziemię, zanim zdołano dotrzeć do nędznych zimowisk, lub też z brudnych oparów podnosiła się niszcząca moc zarazy, wszystko to działała zła siła, która na jakiś czas uszpona mogła się niespodziewanie jeszcze groźniej rozbudzić.

Można by powiedzieć, że jakiś demoniczny dżut rozpętał się po krótkim okresie ulgi nad ludem Bożym w Kazachstanie. W ciągu kilku miesięcy zniszczono wszystko, co zostało stworzone w tak radosnym trudzie niespełna dwóch lat: księży wywieziono, kaplice pozamykano i wierni pozostali znowu sami, jak dzieci bez ojca. W Tainczy zabrali księdza w sam dzień Niepokalanego Poczęcia<sup>8</sup>. Oczywiście, nie obeszło się bez manifestacji, ale wszystko na próżno. Obiecali, że wróci. W Alma-Acie powiedzieli jednak, że dość już szkody: piętnaście lat nie wystarczy, żeby zlikwidować owoce jego pracy. Była to największa pociecha w siedmioletnim okresie odosobnienia w obozie, na który został skazany, z tą tylko chyba poprawką, że trwanie owoców pracy apostołskiej nie liczy się na lata. Ludziom został tylko żal i osierocenie.

Na posiołku 32-gim w czasie pasterki, kiedy rozpoczęło się nabożeństwo, padł strzał w kierunku ołtarza. Jakaś kobieta zasłoniła księdza i została zabita. Takich obrońców znalazłoby się więcej, ale byli też judasze. Zawsze się nimi posługiwano, kiedy chodziło o usunięcie młodzieży spod wpływu kapłana. Ofiara, choć krwawa niewinnej kobiety, oddaliła na krótki czas okrutny cios. Księdza zabrali i zasądziła jako wroga. Coś

---

<sup>7</sup> Ks. Piotr Radwański – kapłan obrządku greckokatolickiego (unickiego), używający pseudonimu Pieresypkin. Wspomina go również J. Kuczyński, o. c, s. 76–7.

<sup>8</sup> Dotyczy aresztowania 8 grudnia 1958 r. ks. Józefa Kuczyńskiego. Ks. dr Józef Kuczyński (1904–1982) był kapłanem diecezji łuckiej, na terenie której w latach trzydziestych kierował Akcją Katolicką Młodzieży; był kapelanem Wołyńskiej Chorągwi Harcerskiej. W styczniu 1945 r. został uwięziony i skazany na 10 lat więzienia za pracę kapłańską na terenie Ukrainy. Po odsiedzeniu kary podjął pracę misyjną w Kazachstanie, za co otrzymał 7 lat więzienia. W 1966 r. został proboszczem w historycznym Barze. W więzieniach sowieckich przeżył 17 lat. Wymienia go wśród kapłanów–misjonarzy również ks. Bukowiński (zob. przyp. 2).

podobnego, choć w innej zapewne wersji, miało miejsce w Karagandzie jeszcze wcześniej. Inne były metody i środki, ale cel i efekt ten sam: budować celinny kraj bez nadprzyrodzonej zaprawy. Może nie przypadkiem było, że właśnie w tym czasie Akmolińsk przemianowano z woli Chruszczowa na Celinograd. Podobno ktoś z śmielszych w czasie wizyty Męża Stanu w budującym się mieście docisnął się do jego pojazdu i podał petycję. Wszystko na próżno. Kaplicę zamknięto, księdzu udało się ujść zawczasu, nie czekając na los tamtych konfratrów, a staruszka zakrystianka spaliła ze strachu papiery. Podobnie działo się w Szortandy, gdzie był prawnie zarejestrowany dom modlitwy pod opieką pięciu siostr tercjarek. Wszystkich opanowała panika, bo pamiętali terror pierwszych lat po rewolucji.

Najdłużej utrzymywała się kaplica w rejonie Frunze, gdzie pracował dzielny litewski kapłan, o. Antoni. Proces o „spekulację” wytoczono aż w Wilnie i do dziś dnia „dorabia się nieba piłą i toporem w uralskich lasach”. Są to jego własne słowa pisane do ludzi, którzy go nie zapominają.

O. Piotr zginął tragicznie, choć nie w katastrofie samochodowej. Tragedia może zdarzyć się też na stole operacyjnym. Podobno przestrzegali go, że operacja serca jest ciężka, ale wołał ryzyko niż życie pod ciągłą presją. W samym dniu śmierci w Moskwie z Pietropawłowska przyszło wezwanie, ale z tamtego świata już go nie odwołali. Na cmentarzu Wilkowskim znajduje się mały, jakby dziecięcy grób. Nawet po śmierci zajmuje minimum miejsca.

Tak się przedstawia w błyskawicznym skrócie apostolski wysiłek Kościoła i jego brutalne gnębienie na wielkim obszarze Kazachstanu w latach powojennych. Późniejsze próby nieustannie ponawiane przez wiernych nie dają pozytywnych rezultatów. Wprawdzie władze centralne w Moskwie odnoszą się z czasem przychylnie, ale na miejscu katolicy nie posiadają żadnych praw.

Efemerycznym zjawiskiem, wyjątkowym, była kaplica niemiecka w Ałma-Acie i Kustanaju. Okolice pięknej stolicy są gęsto obsiane osadami z ludnością niemiecką, w wielkim procencie katolicką. Są też całe wioski polskie. W samym mieście, zwłaszcza na peryferiach i przedmieściu Tastak, rozwija się od dawna życie religijne. Ksiądz – „dwornik” – bazylianin objeżdża z autentycznym chórem i organistą (przenośne organki) sowchozy i osiedla. W pewną niedzielę zastano go „na robocie”. Rzeczy skonfiskowano i wytoczono sprawę o nielegalność. „Pracujemy nielegalnie, bo nie dajecie nam praw” – powiedział śmiało młody ksiądz. Efekt był nieoczekiwany. Kazali nabyć dom i odprawiać jawnie. W ciasnym zaułku przy ul. Złotoustej – jakże dobrana nazwa – zaimprovizo-

wano kaplicę. W niewielkim domu z ganeczkiem otoczonym równie nie-dużym podwórkiem musiały się gromadzić tłumy miejscowych i przyjezdnych. Szkoda, że trwało to niedługo. Obecnie znowu wszystko za-blokowano, nie wiadomo dlaczego i na jak długo.

W Kustanaju energiczna Niemka z pomocą innych wywalczyła ka-plicę. Pomieszczenie jest skromne, niskie, przypominające raczej barak, ale ludzie byli zadowoleni, zwłaszcza kiedy przyjeżdżał kapłan. Był to energiczny szofer z Kaunasu [Kowno], który wolny czas poświęcał na pracę misyjną. Obleciał samolotem wiele miejscowości na Sybirze i w Kazachstanie. W Kustanaju zatrzymywał się częściej. Raz nawet otrzymał pozwolenie na 10-dniowy pobyt – wreszcie osiadł na stałe. Była to wielka radość dla całej okolicy. Niestety, trwała krótko. Dziś znowu są sami.

Te nieliczne i krótkotrwałe wyjątki nie zmieniają faktu, że kapłan ka-tolicki w Kazachstanie, jeśli chce mieć kontakt z wiernymi, musi się ograniczyć do pracy tajnej. Nabożeństwa odpowiadają się przeważnie w nocy, w lokalach dobrze zakonspirowanych, do których mają dostęp tylko wtajemniczeni. Jest śledzony i ścigany jako przestępca, a jeśli Pan Bóg pozwoli i zażąda, staje się prawdziwym świadkiem – „martyr”. Takim był o. Aleksander<sup>9</sup>. Nazywają go tak powszechnie, ale właściwe imię jego Aleksy więcej odpowiada jego wędrowniej apostołskiej pracy. Należał do wielkiej grupy kapłanów–unitów, którzy swoje przywiązanie do Kościoła musieli opłacić wygnaniem razem z metropolitą lwowskim Slipyjem. Były wśród nich kadry młodych kapłanów niedawno wyświęco-nych, którzy praktykę duszpasterską rozpoczynali w ciężkich latach wo-jennych. Pracowali w lasach, kopalniach i fabrykach na Uralu i Sybirze, a kiedy skończył się okres zesłania i kary, woleli służyć pociechą swoim opuszczonym braciom, niż wracać w rodzinne strony, gdzie również – wobec zlikwidowania unii – nie mogliby się otwarcie zajmować pracą kapłańską.

Ich duchowy zwierzchnik<sup>10</sup> został w Rzymie purpuratem, ale nie ma to wpływu na polepszenie doli tych setek jego podwładnych, którzy po-

---

<sup>9</sup> Ks. Aleksy Żarecki (Ołeksza Żarećkyj, 1914–1963), kapłan obrządku grek-kokatolickiego (unickiego) archidiecezji lwowskiej. Bardzo ofiarnie pracował na terenie Kazachstanu wśród Ukraińców, Polaków i Niemców. Ścigany przez wła-dze sowieckie i więziony za pracę duszpasterską, zmarł w 49. roku życia, pocho-wany w miasteczku Dolinka. Dnia 27 czerwca 2001 roku został we Lwowie beaty-fikowany przez Sługę Bożego papieża Jana Pawła II. Zob. W. Bukowiński, o. c, oraz: O. Serafin Kaszuba, *Strzępy. Wspomnienia i zapiski*, Kraków 1994, s. 60.

<sup>10</sup> Chodzi o Sługę Bożego kardynała Josyfa Slipyja (1892–1984), metropolitę Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego. Był inicjatorem stworzenia w 1928

zbawieni pracy parafialnej muszą zarabiać w jakikolwiek dostępny sposób na utrzymanie, a przy tym – ręką w rękę z rzymskokatolickim duchowieństwem obsługują tajnie wiernych trwających w kat[olickiej] wierze.

Wielu z nich powróciło w rodzinne strony, byli jednak i tacy, którzy poznawszy niedolę braci w diasporze, postanowili poświęcić się pracy misyjnej. O. Żarecki, porzuciwszy pracę na Uralu, gdzie jakiś czas przebywał, dostał się przez Aktiubińsk do Karagandy i rozpoczął ożywioną działalność na całym rozległym terenie. Z nieustraszoną gorliwością spieszył na każde wezwanie. Pociągiem, samolotem, przygodną ciężarówką, a gdzie trzeba – i pieszo docierał do najbardziej zapadłych wiosek, gdzie jeszcze księdza nie widziano. Był prawdziwym „duszochwatem”. Jego ujmującej szczerą prostotą gorliwości nie mogli się oprzeć i bezbożnicy. Nawet w publicznych miejscach, jadąc autobusem czy pociągiem, zdolny był wszczynać dyskusje świadczące o szczególnym darze wpływania na ludzi. Szczególną miłością otaczał dzieci, które się do niego garnęły. W wielu mieszkaniach, zwłaszcza niemieckich, przecho- wuje się jego podobiznę: smagła, pociągła twarz i czarne oczy, które zda- ją się przenikać do wnętrza duszy. Czuje się, że ten człowiek tak żyje, jak mówi, i promieniuje z siebie najgłębiej pojętą ascezą, którą można by na- zwać w najlepszym tego słowa znaczeniu fanatyzmem.

Przybycia o. Aleksandra oczekiwano wszędzie jak święta, ale taki dzień – raczej noc – nie mogły się często zdarzać, gdyż zasięg jego pracy był wielki. Oprócz Karagandy obsługiwał Akmolińsk, Szortandy, Żołtyn, Tainczę, Pietropawłowsk, Aktiubińsk oraz szereg innych miejscowości, objeżdżając liczne przyległe wioski. Po latach jeszcze będzie można oglądać ślady jego działalności: tego uczył o. Aleksander, tym dał ślub, tamtych pojednał, a kogo przekonał, ten stawał się często najgorliwszym z gromady. O przykłady nietrudno. Oto matka pięciorga dzieci, młoda wdowa porzucona przez męża, który potem zginął tragicznie. Modli się co dzień razem z dziećmi i większą rodziną i chroni je jak ewangeliczna kokosz od bezbożnych wpływów, a przy tym spełnia rolę Lidii czy innej gorliwej apostołki z *Dziejów*, bo pomaga w pracy przygodnym kapłanom.

---

roku Akademii Teologicznej we Lwowie. Po śmierci metropolity Andrzeja Szep- tyckiego został w 1944 roku arcybiskupem lwowskim większym. W 1945 roku został aresztowany i do 1963 roku był na zesłaniu na Syberii, skąd został depor- towany poza granice ZSRR. Osiadł w Rzymie, gdzie usilnie pracował nad odro- dzeniem Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego. W 1965 roku mianowany kardynałem. Od 1973 roku używał tytułu patriarchy (bez formalnego zatwier- dzenia ze strony Stolicy Apostolskiej).

Dawniej też była światowa, ale łaska Boża pod wpływem o. Aleksandra dokonała gruntownej przemiany.

W Szort[andy] jest para tercjarzy: Luchesjusz i Bona. Ich dom jest domem modlitwy. Ona, zawsze gorliwa, potrafiła wychować religijnie siostrzeńca – choć cała rodzina bezbożna – ale on – to zdobywca o. Aleksandra – młody człowiek, gotów za wiarę cierpieć. Kiedy dowiedział się, że Ojca zabrali, pojechał do Karagandy, żeby pod murami więzienia zapłakać.

Bo tak się skończyła misja o. Aleksandra. W maju 1961 r. na próżno oczekiwano przybycia jego w Tainczy. Nie było go też w Akmolińsku i Szortandy. Trwożne przecucia wkrótce się sprawdziły. Zabrano go w Karagandzie na ulicy w miejscu wskazanym przez zdradcę, który udał chęć spowiedania się. Judasz zawsze się znajduje. Z początku jak zwykle zaginął ślad, ale potem zaczęły dochodzić dyskretne wiadomości. Został zasądzony na dwa lata więzienia. Podobno przechodził ciężkie próby i stracił zdrowie. Mimo to pisał do wiernych pogodne listy, chcąc podtrzymać ich na duchu. W jednych z ostatnich donosił, że Matka Boska obiecała go rychło wyzwolić. Wyzwolenie przyszło niespodziewanie w terminie nieoczekiwanym. Właśnie kiedy miał nadzieję ujrzeć się na wolności wśród swoich duchowych dzieci, zginął przy operacji w więziennym szpitalu. Jego mogiłka z prostym krzyżem na odosobnionym cmentarzu nie może stać się przedmiotem kultu. Jest niedostępna i samotna jak ten, który pod nią spoczął<sup>11</sup>. Czasem tylko ktoś wiedziony nadmierną tęsknotą zada sobie trud przebyć kilkadziesiąt kilometrów, żeby odwiedzić grób Ojca, po którego śladach wkrótce poszli inni.

W parę tygodni po zniknięciu o. Aleksandra na stacji Taincza wysiadł podróżny w białym, trochę zmiętym kitlu, z niezasobną walizką w ręku<sup>12</sup>. Zapytał kogoś o ulicę Zapadna. Dzień był pogodny, ale poprzednio padały deszcze. Po przebyciu toru znalazł się na ulicy błotnistej, nie do przebycia. W takiej porze tubylcy noszą gumowe buty i patrzą z politowaniem na przybyszów skaczących nieporadnie po kałużach błota. Trzeba było przejść parę przecznic, zanim na jakimś narożnym domu ukazała się pożądana nazwa: Zapadna. Teraz chodziło o znalezienie domu, w którym mieszkała siostra księdza [J. Kuczyńskiego]. Spotkanie trudno opisać, choć się dotychczas nie znali. Jak ongiś w Emaus, mieli się poznać przy łamaniu Chleba. Trwały przygotowania, kiedy we-

<sup>11</sup> W latach 90. XX wieku staraniem wiernych z Ukrainy jego szczątki (obecnie relikwie) zostały ekshumowane i spoczęły w Rzęsnej k. Lwowa.

<sup>12</sup> Tym podróżnym w białym kitlu był właśnie o. Serafin Kaszuba. Por. incipit *Czarne błoto lgnie do nóg...*, s. 43.



szła jakaś kobieta z prośbą, żeby iść do umierającego ojca. Skąd się dowiedziała? „Już ja się domyśliłam.” To była pierwsza funkcja kapłańska. A potem? Radość, ruch, nowe życie. Boże, Ty nas nie zapominasz. Bronisława zamieszkiwała jeszcze dom obok kaplicy, ale nie było tam bezpiecznie, bo ją prześladowali za brata, który w mordowskiej okolicy odsiadywał karę. Podlega obozowym szykanom – odmawiają mu pożywniejszych produktów. Stale choruje.

Gościny dla pożądanego przybysza udziela „gruby” Antoni. Niedawno stracił syna, który zabił się, prowadząc skonstruowaną przez siebie „maszynę”<sup>13</sup>. Ojciec opowiadając o tym ma łzy w oczach. Pozostała synowa z dwojgiem dzieci. Stary się ożenił, ale pierwszej żony nie zapomina. Prosi, żeby się odprawiła Msza św. za żonę i syna. Wczesnym rankiem zaczęli się schodzić ludzie. Zapełnili obszerną izbę, która służy zarazem za sypialnię i świetlicę. Są staruszkowie, ale też mężczyźni w sile wieku, którzy spieszą do pracy. Jest też kilkoro młodzieży szkolnej. Szkoła mieści się niedaleko przy tej samej ulicy. Gdyby się dowiedzieli... Ale okiennice są zamknięte, a do rannego ruchu wszystko się skończy. W drugim mniejszym pokoju Częstochowska, zapewne jeszcze przywieziona z domu, spogląda z małego ołtarzyka na lud, który u stóp kapłana siedzącego w krześle ociosuje się z grzechów. Lecą drzazgi mniejsze i większe: przeklinał, pił, kłóciła się – Boże, zmiłuj się. Wszyscy muszą się oczyścić, żeby wziąć udział w Świętej Ofierze. Taka jest reguła. Jak w wieczerniku i w katakumbach – nie ma wyjątków. Tylko czarnowłose Staś i biała Hela są jeszcze mali – ale chcieliby też.

Na ołtarzu pod korporałem relikwie św. Męczenników, przywiezione z daleka. Kielich? Ach, jakie to precyzyjne dzieło! Składa się z trzech części tak zmontowanych, że nikt się nie domyślił przeznaczenia. Nieraz już mieli to w rękach i oglądali jak zwykle naczynie toaletowe. Cała zakrystia mieści się w niewielkiej walizce. Ale u Antoniego w szopie są też komże, których używa się do pogrzebów. W kącie stoją dwa białe-czarne sztandary. Teraz jednak komżę przyodziewa ministrant. Jest mały, czarny, wąsaty. Ma przy tym bardzo pocziwe oczy niewinnego dziecka, choć przekroczył pięćdziesiątkę i jest drugi raz żonaty. Msza święta jest śpiewana – jakże by inaczej. W Ewangelii znajdzie się jakieś odpowiednie słowo, boć to wszystko dla nas napisane: choćby o tych gołębicach i węzłach. Tak, trzeba być roztropnym. Za oknem już szarzeje. Światło znika, otwierają się okiennice. Ludzie rozchodzą się pojedynczo, powoli. Antoni stoi przy bramie, żeby zatrzymać ewentualnych ciekawych są-

---

<sup>13</sup> „Maszyna” – samochód; o. Serafin często posługuje się tym wyrazem.

siadów. Za chwilę wszystko wraca do normalnego życia. Stasia spieszy do elewatora, Antoni do pracy przy warsztacie. Dzieci do szkoły.

Po południu odprawia się nabożeństwo majowe u Marysi, ale tam mogą być różni ludzie – niebezpiecznie. Za to późnym wieczorem u Emmy ślub. Jest to dość daleko, na Suchocinie. Potrzeba iść nocą, ale w mieszkaniu duże zgromadzenie. Panna młoda w bieli i z nieodzownym wianuszkim – szkoda, że sztucznym. Rozlega się *Veni Creator*, aż drżą ściany. Teraz się nie boją. Jest organista i paru mężczyzn z donośnymi głosami. Śpiewają po łacinie i po niemiecku. Mały Jakom – jest podobno magazynierem na bazie – odpowiada sprawnie na wezwania. Nabożeństwo przekracza północ. Na koniec modlą się z rozkrzyżowanymi ramionami, jak ich nauczył proboszcz. Tego się nie zapomni – ani ich rozmodlonych twarzy. Ktoś mówi, że czeka ślepy Klemens. Ujmują księdza pod ręce i prowadzą w mroku. W izbie znowu zgromadzenie, choć mniejsze. Niewidomy klęczy, jak Bartymeusz, ale nie woła o wzrok. Wystarczy mu, że Jezus przychodzi. Co za radość.

Bezpośrednim jednak celem przyjazdu była Ewelina w Krasnej Polanie. Córka zawiadomiła, że staruszka jest chora, ale zaznaczyła niedwuznacznie, że trudno się tam dostać, bo ludzie się boją schodzić na nabożeństwa, cóż dopiero sprowadzić księdza. Ale Ewelina jest godna trudu. Przeżyła w Kazachstanie najcięższe lata zsyłki, potem wróciła na Ukrainę i była wzorem pobożności dla rodziny i sąsiedztwa. Czasem gościł u nich ksiądz, z czego bardzo się cieszyła, ale nie mogła znieść myśli, że tam daleko ludzie nie mają przewodnika, choćby takiego, jakim może być oddana Bogu niewiasta. Powróciła do Krasnej Polany i zaraz od początku jej dom, a raczej jej głuchoniemego syna, stał się punktem zbornym wiernych. Nie bała się żadnych pogroźek. Łatwo wyobrazić sobie jej radość, kiedy ujrzała niespodziewanie znajomego. Starcza twarz o szlachetnych rysach rozbłysła w półmroku izby uśmiechem. Siedziała nad nie domkniętą grubą księgą, którą sama oprawiła niefachowo w płótno. Tych ksiąg większych i mniejszych miała pełny kuferek. Czego tam nie było? I żywoty świętych, i modlitewniki, i stare roczniki „Rycerza”, ale najważniejsze chyba te własnoręcznie pisane kajety, według których prowadziła nabożeństwa. Co jednak najbardziej zdumiewające, że w swoje duchowe sekrety wtajemniczała małą wnuczkę. Miła umiała już czytać i pisać, choć była jeszcze w wieku przedszkolnym. Nastąpiła uroczystość jej Pierwszej Komunii św. Choć była sama, jak księżniczka, wszyscy brali udział w podniosłym święcie dziecka, które walcząc ze snem przeżywało swoją najpiękniejszą noc. Ta noc minęła zbyt szybko. Czy kiedy się powtórzy? Na przeoranych bruzdami twarzach po-

jawiają się łyzy, kiedy odzywa się motor ciężarówki i gość wsiada do kabiny.

Mimo wszystko Marysia zaprosiła do siebie. Mała, krępa, bosa, o twarzy nalanej, trochę pospolitej, uderza swoją ekscentrycznością. Ma na sobie coś w rodzaju habitu przepasanego sznurkiem. Jej chatka, równie niska, oblepiona gliną, wciśnięta w nieogrodzone podwórko, najuboższa z ubogich, tworzy z właścicielką nierozdzielalną całość. Obie są przedmiotem drwin. Przygodne łobuzy wybijają małe szybki, które wciąż z trudem lata. Kiedy jednak przejdzie się ciemną sionkę, naraz uderza przyjemny widok. W głębi czystej izdebki biało przykryty ołtarz z tabernakulum osłoniętym haftowanym konopeum. Lichtarze, kwiaty, niczego nie brak. Nawet lampka się pali, choć tabernakulum puste. O. Aleksander zostawił podobno N[ajświętszy] S[akrament], ale teraz nie ma. Ludzi nie ma wiele, bo Marysia robi swoistą selekcję. Nie dopuszcza kobiet dostatniej ubranych. Szczególnie nienawidzi aksamitne „połdochy”<sup>14</sup>. Takie bez pardonu wyprasza i na temat ubóstwa wygłasza formalne kazania. Tego rodzaju postawa zmusza do zachowania rezerwy, co z kolei prowadzi do zjadliwego krytykowania nawet księży, jeśli nie chcą uznać jej kaprysów. Mimo to gromadzą się tam ludzie z posiołka na niedzielne nabożeństwa, które przeciągają się często grubo poza południe. Trudno tu wytłumaczyć, że „słowa skrócone uczynił Pan na ziemi”. Samo kazanie zajmuje sporo czasu, zwłaszcza kiedy dołącza się zmiana różańcowa.

Po drugiej stronie, w Suchocinie centrum mieści się u Anny. Jest to poważna, bogobojna wdowa, której średniozamożny dom z okazałą werandą nie różni się zasadniczo od innych znajdujących się przy tej ulicy. Tylko, że jest w nim odosobniona izba z ołtarzykiem, w którym stale przechowuje się Najświętszy Sakrament. Nawet przy dłuższym braku kapłana Najśw[iętszą] Hostię przywozi się w specjalnej bursie ukrytej na piersiach z Karagandy. Co dzień rano schodzi się kilka kobiet na adorację, a jeśli są usposobione, przyjmują Komunię św. Nigdzie lepiej, jak tu i w podobnych warunkach gdzie indziej, nie rozumie się prawdy, że Sakramenty są dla ludzi. Szczególnie troskliwie odprawia się Godzinę Świętą w pierwszy czwartek i nabożeństwo w Pierwszy Piątek miesiąca. Przybysz nie może jednak od razu zapoznać się z wszystkimi objawami kultu w tej pierwszej spotkanej gminie. Musi i innym przepowiadać Królestwo Boże.

Dalszym etapem jest Malinka. Wczesnym rankiem, zanim niebo zaczęło różowieć, zajechali z niedostępnym panem Antonim na prawie pu-

---

<sup>14</sup> „Połdochy” – zapaski, fartuchy.

stą w tym czasie stację. Na ulicy nie było nikogo, kiedy zapukali do zamkniętych okiennic pod wskazanym adresem. Odezwał się jakiś gniewny pomruk i wyrzwał zdziwiony gospodarz – Kazach. Okazało się, że adres był mylny, ale z naprzeciwka wyszła ciekawa kobieta. Dom był katolicki, niemiecki, w izbie pełno obrazów. I zaraz na wstępie okazał się palec Boży. Niedaleko mieszkał mężczyzna chory na raka, który się bardzo męczył. Przy tym biedaku o niemiłosiernie zeszepeconej twarzy odprawiała się Msza św. Wkrótce potem umarł. Już nietrudno było znaleźć właściwy adres sióstr<sup>15</sup>. Przybyły z dalekiej Łotwy, aby służyć braciom rodakom, którzy tu się znaleźli w sporej gromadce. „Sławit Jezus Christus” – powiedział łamanym językiem przybysz, który się trochę obracał w okolicy Daugawpils i Rygi. Sióstr było cztery. Trzy z nich zajęte w szpitalu – jedna na gospodarstwie. Wnętrze przytulne i czyste, aż miło. Wieczorem schodzą się goście. Niemcy i Łotysze, którzy mówią z trudem po rosyjsku. Są też chrzty, a potem jacyś chorzy, ale ktoś donosi, że grozi rewizja. Trzeba przeczekać w innym domu, a rano chyłkiem na stację.

Do Akmolińska pociąg wtacza się powoli, stając na wszystkich stacyjkach. Do wagonu gramolą się majestatycznie brodaci Kazachowie w obszernych bekieszach przepasanych długimi ręcznikami. Na głowach mają obszerne małachaje lub wzorzyste tiubietiejki. Niektórzy gładzą rozwartymi dłońmi oba policzki. Jest to ruch modlitewny, którego wcale się nie wstydzą. Kobiety mają obfite spódnice z zielonego aksamitu. Często noszą na przedramieniu bransolety. Czarne kosookie dzieci opychają się słodyczami. Miasto zapowiada się z daleka lasem kominów fabrycznych i dźwigów, ale stacja jest jeszcze prowizoryczna i ciasna. Nowa buduje się tuż obok. W ogóle Celinograd – teraz już tak nazywany – znajduje się w sławie [?]. Wszędzie widać gigantyczne dźwigi chwytające pazurami olbrzymie płyty. Trzeba z trudem szukać wolnego przejścia. Autobus objężdża centrum bocznymi ulicami i wreszcie staje około bazaru.

Teraz musisz zdać się na instynkt, bo mało kto wie, gdzie znajduje się ul. Engelsa. Ponieważ jednak z reguły Lenin, Marks i Engels są nierozdzielną trójcą, można po dłuższym krążeniu wreszcie się zorientować. Wiktoria, której dom mieści się przy końcu ulicy, jest zaskoczona. Po wyjeździe księdza była u niej rewizja, dlatego Allerheiligste przechowywała w szafie. Teraz znajduje się na skromnej półeczce w celuloidowym

---

<sup>15</sup> Bezhabitowe siostry zakonne ze zgromadzeń bł. o. Honorata Kuźmińskiego – kapucyna; o. Serafin spotkał się z tymi siostrami w Rydze i w Dźwińsku (Daugawpils).

pudełku ozdobionym sarnami. Na Mszę św. przyszło parę Niemek, bo dzień był powszedni. Nawet Piotr poszedł do roboty, a Marusia do szkoły. Zresztą o większym zgromadzeniu nie było mowy, gdyż dom jest pod inwigilacją.

Co innego u Emmy. Są to dwa domy przedzielone wąskim podwórkiem i stajnią – serajem, do których można się dostać od ulicy lub przez ogród, co jest niezwykle korzystną okolicznością. Jeden większy dom zamieszkuje Katia z babką i sześciorgiem dzieci, w drugim należącym do Emmy znajduje się kaplica. Jest to dość obszerna, kwadratowa izba, której dwa okna wychodzące na szkołę są prawie zawsze zasłonięte. Przy prawej ścianie znajduje się obstawiony mnóstwem obrazów ołtarzyk ze skromnym tabernakulum pośrodku. Jest to właściwie zwykła paczka przykryta jedwabną zasłoną. Malutki płomyczek naftowej lampki świadczy o obecności Eucharystii. To była ulubiona przystań o. Aleksandra, kiedy przejeżdżał po ucieczce Włodzimierza.

Cała rodzina jest nadzwyczaj bogobojna. Sama Emma, cicha, ale o płonących oczach, mężna niewiasta, trzyma właściwie wszystko w rękach. Jej rygorystycznym zasadom poddaje się mąż Antoni i córka z rodziną. Z tą Katią nie było z początku wcale łatwo. Pod wpływem męża hulaki zaczęła lgnąć do świata i kto wie, czy by nie zobojętniała religijnie, gdyby nie łzy i modlitwy matki. Do tego dołączył się niespodzianie krzyż. Mąż porzucił ją z sześciorgiem dzieci i związał się z drugą. Po krótkim czasie uległ katastrofie – pijany wpadł do rzeki z samochodem i utonął. „Tamta” przysłała zwłoki do pochowania.

Katia żyje odtąd dla Boga i dzieci, o których wiarę walczy jak lwica, choć z natury jest słaba. Najmłodsza Irenka w szóstym roku przystąpiła do Pierwszej Komunii, a reszta z gromadki pilnuje Sakramentów św. przy każdej sposobności. Wzruszająca jest wspólna modlitwa rano i wieczór, na którą gromadzi się i dalsza rodzina z głuchą babką i domownicą, dawną zakrystianką na czele. Co dzień musi być różaniec oraz inne zmieniające się stosownie do dnia modlitwy, co razem zajmuje około godziny. Prócz tego jest dla dzieci obowiązkowe czytanie Biblii lub katechizmu. Co dzień u Emmy gromadzi się parę osób na adorację, a w niedzielę jest pełna chata. Choćby nie było kapłana. Nabożeństwo odprawia się według mszału z czytaniem po niemiecku Lekcją i Ewangelią.

Kiedy przybywa kapłan, dom zamienia się w kościół, choć zaraz na przeciw znajduje się szkoła. Trochę pomyślną okolicznością jest, że można zejść niepostrzeżenie od ogrodu, a wejścia do mieszkania strzeże poczciwy kłapouchy Rex. Polacy nie mają równie pomyślnych warunków. Zresztą gromadzą się w każdą niedzielę gdzie indziej, chyba, że

odbywa się zmiana tajemnic różańcowych, to już zawsze u Emilii. Tu już zupełnie inna atmosfera. Syn i synowa właściwie niewierzący, choć nie wrogo nastawieni, ale nigdy ich nie ma. Ołtarz instaluje się naprędce w pokoju, aby potem usunąć wszystko bez śladu. Tak jest we wszystkich tych domach, gdzie tylko na parę godzin użycza się mieszkania Bogu, a obraz religijny zachowuje tylko babka w swoim kąciku.

**Podsumowanie.** Przebywając szereg lat w Kazachstanie, mogłem przypatrzeć się obrazowi stosunków religijnych, panujących wśród katolików – Polaków i Niemców, którzy rzućni losem zamieszkują ten obszerny kraj. Na tle ogólnie przyjętych w Związku Radzieckim norm obraz ten przedstawia się zgoła wyjątkowo. Jeśli chodzi o prawne nastawienie do spraw kultu, miarodajną może być wypowiedź prezesa Rady Religijnej (Sowieta Religij), Włodzimierza Kurojedowa, umieszczona w „Izwestiach” (30 VIII 1965 r.). Stwierdziwszy ogólną, leninowską zasadę oddzielenia Kościoła (Cerkwi) od państwa i szkoły od religii, a zarazem rezerwując swobodę wykonywania obrzędów religijnych dla prawnie zatwierdzonych społeczności wyznaniowych, zaznaczył jednak przy tym, że nikt nie ma prawa odmawiać zatwierdzenia tym społecznościom, których obrzędy i funkcje nie wykazują wrogiego nastawienia do rządu radzieckiego. Opierając się na powyższym oświadczeniu, niektóre z liczniejszych środowisk katolickich zwróciły się o prawne zatwierdzenie do władz miejscowych, spotkały się jednak z brutalną odmową. Kiedy udano się w tejsze samej sprawie do Rady Religijnej w Moskwie, oświadczone lakonicznie: „my o was nic nie wiemy”. Zażądano podpisów, obiecano interwencję, ale rezultatów dotychczas nie ma. Wprawdzie istnieją katolickie domy modlitwy dla Niemców, ale wierni schodzą się sami, ponieważ księża nie mają do nich przystępu. Polacy nie mają na całym olbrzymim terenie Zachodniej i Średniej Azji w Związku Radzieckim ani jednej kaplicy, ani jednego legalnie pracującego kapłana. Prawnie właściwie nie istnieją. A jaki jest stan faktyczny?

Trudno się pokusić o jakąkolwiek statystykę. Jeśli chodzi o narodowość, ilość Polaków w Kazachstanie podaje się na 0,06%; Niemców jest chyba więcej. Przy ogólnej liczbie mieszkańców 13 mln ilość byłaby dość znaczna. Cyfra ta jednak nic nie mówi w odniesieniu do wierzących katolików. Więcej światła daje rzut oka w przeszłość tych ludzi, którzy niespodzianie znaleźli się na celinnych stepach. Z Ukrainy w czasach rewolucyjnych i potem za rządów Stalina przesiedlono całe wioski, a choćby większość przewiezioną ludność wyginęła w pierwszych latach nędzy, głodu i niedostatku, to jednak pozostała resztką zaludnia dziś licz-

ne posiołki i szybko rosnące miasta. Trzeba tu zwrócić uwagę na fakt, że przesiedlony został najczęściej element najgorliwszy w wierze, niejednokrotnie właśnie za wiarę cierpiący. Siła reakcji, wsparta niewątpliwie łaską, sprawiła, że przetrwali z górą dwadzieścia lat bez kapłana i posługi duchowej. Sami chrzcili dzieci, dysponowali chorych na śmierć. W każdej gromadzie znalazła się jakaś dusza charyzmatyczna, oddana bez reszty sprawie Bożej, gotowa na wszelkie prześladowanie.

W trochę lepszym położeniu byli Niemcy, którym zlikwidowano diecezję saratowską, ale kilku duszpasterzy znalazło się wraz z wiernymi na wygnaniu. Ostatnim z nich był zmarły przed kilku laty w Karagandzie ks. Staub. Oczywiście nie było mowy o normalnej pracy kapłańskiej, ponieważ nie dawano na to pozwolenia. Czynności święte odprawiano skrycie.

Lecz oto po latach ciężkiej próby zdawało się, że nadeszło wyzwolenie. Prawie równocześnie w różnych miejscowościach Zachodniego Kazachstanu pojawili się kapłani, którzy odbywszy karę na Sybirze woleli poświęcić się pracy wśród braci-wygnañców, niż powrócić do wygodniejszego życia. Korzystając z milczącego zezwolenia władz miejscowych, urządzono prowizoryczne kaplice w Tainczy, Akmolińsku, Karagandzie. Zapał religijny ogarnął cały kraj. Każdy z księży musiał się mnożyć w apostołskim trudzie. Pokazało się, że ateistyczna propaganda niewiele w ciągu lat zdziałała. Na nabożeństwa szli tłumnie nie tylko starzy, ale i młodzież, i dzieci. Partyjni i niewierzący legalizowali śluby małżeńskie. To było przyczyną katastrofy. Księża ponownie aresztowano, kaplice zostały zamknięte i zabrane, a wierny Lud Boży pogrążył się na nowo w tym większym smutku, im większą radość przeżywał w ciągu niespełna dwóch lat względnej swobody.

DUCHOWY DAR DLA KOŚCIOŁA  
W KAZACHSTANIE I NA WOŁYNIU

Rozpoczęcie procesu kanonizacyjnego  
Sługi Bożego Ks. Władysława Bukowińskiego  
(1905–1974)

W poniedziałek, 19 czerwca 2006 roku, w kaplicy metropolitów krakowskich, odbyło się uroczyste rozpoczęcie procesu kanonizacyjnego Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego (1905–1974). Wydarzenie to ma wielkie znaczenie dla odradzającego się Kościoła w Kazachstanie i na Wołyniu (Ukraina), gdzie pracował Sługa Boży.

Pierwsza sesja procesu kanonizacyjnego rozpoczęła się z rocznym opóźnieniem w związku ze śmiercią Sługi Bożego Jana Pawła II. Już 11 lutego 2005 roku przez poprzedniego metropolitę krakowskiego ks. kard. Franciszka Macharskiego została powołana do istnienia Komisja Historyczna dla Sprawy Kanonizacyjnej Sługi Bożego Ks. Władysława Bukowińskiego. W skład tej komisji weszli: prof. dr hab. Urszula Perkowska z Krakowa – przewodnicząca i członkowie: ks. mgr Witold Józef Kowalów z Ostroga na Ukrainie i s. mgr Anna Brzęk FC z Krakowa.

W dniu 10 maja 2006 roku został mianowany postulator Sprawy Kanonizacyjnej Sługi Bożego Ks. Władysława Bukowińskiego, którym został ks. prał. dr Jan Nowak, kapłan archidiecezji krakowskiej będący obecnie proboszczem parafii Kamiszenka w archidiecezji astańskiej w Kazachstanie. W dniu 30 maja został wydany dekret powołujący diecezjalny Trybunał dla Sprawy Kanonizacyjnej Sługi Bożego Ks. Władysława Bukowińskiego. Członkami trybunału zostali: ks. dr Andrzej Scaber – delegat biskupa, ks. mgr lic. Stanisław Molendys – promotor sprawiedliwości, ks. mgr lic. Jarosław Sroka – notariusz.

Po krótkiej modlitwie ks. kardynała Stanisława Dziwisza, kanclerz kurii metropolitalnej w Krakowie ks. Piotr Majer odczytał tekst informujący o powołaniu trybunału i rozpoczęciu I sesji procesu kanonizacyjnego Sługi Bożego Ks. Władysława Bukowińskiego. Następnie postulator ks. prał. dr Jan Nowak wypowiedział prośbę o rozpoczęcie procesu i po-



krótce przedstawił postać Sługi Bożego. Postulator zwrócił uwagę na następujące cnoty Sługi Bożego Ks. Władysława Bukowińskiego: miłość do Kościoła, odwaga, której owocem były cierpliwość i wytrwałość, umiejętność przebaczenia i bezgraniczne zaufanie Opatrzności Bożej. Ks. Kard. Stanisław Dziwisz podziękował za przybliżenie postaci wybitnego i świętego kapłana. Następnie w imieniu Konferencji Episkopatu Kazachstanu przemówił ks. prałat dr Janusz Kaleta, administrator apostolski Zachodniego Kazachstanu. Z kolei ks. kard. Stanisław Dziwisz zauważył, iż trud trybunału to zaszczyt dla archidiecezji krakowskiej. Złożył świadectwo o tym, iż mimo że ks. Władysławowi Bukowińskiemu proponowano zostać w Polsce i ofiarowano mu wszystkie możliwości leczenia, powrócił do swoich wiernych w Karagandzie. *„Jesteśmy szczęśliwi, że możemy pomóc dla Kościoła w Kazachstanie”* – powiedział metropolita krakowski.

Kolejnym punktem programu pierwszej sesji sprawy kanonizacyjnej Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego była przysięga poszczególnych członków trybunału. Przed udzieleniem błogosławieństwa dla osób zaangażowanych w proces kanonizacyjny Sługi Bożego i obecnych w kaplicy metropolitów krakowskich, ks. kard. Stanisław Dziwisz nazwał ks. Wł. Bukowińskiego Ojcem odradzającego się Kościoła w Kazachstanie.

Proces kanonizacyjny Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego rozpoczął się w Krakowie, gdyż jeszcze w dniu 26 kwietnia 2004 roku ordynariusz karagandyjski ks. Abp Jan Paweł Lenga zwrócił się z prośbą o przeprowadzenie procesu w Krakowie.

Polska dawała i daje kapłanów dla Kościoła Powszechnego. Prosił o to także Jego Świątobliwość Papież Benedykt XVI w czasie swej wizyty w Polsce.

***ks. Witold Józef Kowalów***

[„Wołanie z Wołynia” nr 3 (70) z maja–czerwca 2006 r., s. 5–6;  
Tekst ten znajduje się także na stronie:  
„Dziennik pisany nad Horyniem”  
<http://ostrog.blox.pl/html>]

## SPIS TREŚCI

|                                          |    |
|------------------------------------------|----|
| Od Wydawcy .....                         | 7  |
| Ks. Władysław Bukowiński                 |    |
| WSPOMNIENIA Z KAZACHSTANU .....          | 9  |
| Od wydawcy .....                         | 9  |
| Część pierwsza                           |    |
| WSTĘP .....                              | 13 |
| Część druga                              |    |
| DO MOICH PRZYJACIÓŁ ŚWIECKICH .....      | 22 |
| Część trzecia                            |    |
| DO MOICH PRZYJACIÓŁ KSIEŻY .....         | 57 |
| JESZCZE JEDNO OSTATNIE WSPOMNIENIE ..... | 92 |



|                                    |    |
|------------------------------------|----|
| O. Serafin Alojzy Kaszuba OFM Cap. |    |
| ZAPISKI Z KAZACHSTANU .....        | 95 |



|                                                               |     |
|---------------------------------------------------------------|-----|
| A n e k s                                                     |     |
| Ks. Witold Józef Kowalów                                      |     |
| DUCHOWY DAR DLA KOŚCIOŁA W KAZACHSTANIE<br>I NA WOŁYNIU ..... | 120 |

## OŚRODEK „WOŁANIE Z WOŁYNIA”

Od 1997 roku Ośrodek „Wołanie z Wołynia” zajmuje się publikowaniem książek wydawanych przez „Wołanie z Wołynia” – pismo religijno-społeczne ukazujące się na Ukrainie od 1994 roku. Wokół pisma skupionych jest kilka osób, które wzięły na siebie trud dokumentowania najnowszej historii i ukazywania aktualnych problemów Kościoła Katolickiego na Ukrainie, ze szczególnym uwzględnieniem Wołynia i diecezji łuckiej. Zainteresowania naszej redakcji obejmują także: sytuację wierzących w społeczeństwach krajów postsowieckich, kontakty katolicko-prawosławne, wysiłki ekumeniczne, stosunki polsko-ukraińskie, kultura i osiągnięcia myśli filozoficznej Ziemi Wołyńskiej, wybitni Wołynianie. Równocześnie z pismem ukazuje się seria wydawnicza: Biblioteka „Wołania z Wołynia”. W latach 1997–2005 wydaliśmy 45 książek.

### ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY!!!

Dotychczas nakładem Ośrodka „Wołanie z Wołynia” ukazały się:

**T. 1. “Хресна Дорога”, Острог 1997.**

Kilka rozważań Drogi Krzyżowej w języku ukraińskim, m.in. dla dzieci, młodzieży, chorych i do śpiewania.

**T. 2. Br. Adrian Wacław Brzózka, „Milczące cienie”, Ostróg 1997.**

Poetycka wędrówka do „niehumanitarnej ziemi”, „wschodniej ziemi”. Świadectwo tęsknoty i osobistych wyznań, smutku, nostalgii, ale i franciszkańskiej radości. Utwory Brata Adriana to liryczne rozpoznawanie „swojej drogi do ziemi Kanaan”, pielgrzymka do ziemi „żałobie”.

**T. 3. О. Ян Попель, “Розмови про молитву”, Білий-Дунаець 1997.**

Dziewięć refleksji ks. Jana Popiela SI na temat czym jest i jaką powinna być modlitwa w życiu chrześcijanina. Z języka polskiego na ukraiński przełożyła Irena Moroz.

**T. 4. O. Remigiusz Kranc OFM Cap., „W drodze z Ostroga na Kołymę” pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa i Józefa Mareckiego, Biały Dunajec – Kraków 1998.**

Wspomnienia i przeżycia kapłana i zakonnika, który w okresie II wojny troszczył się o Polaków w Ostrogu zagrożonych przez nacjonalistów, za co wyrokiem NKWD skazany został na przymusową pracę w kopalniach złota na Kołymie, skąd szczęśliwie powrócił. Interesująca lektura wzbogacona licznymi aneksami, ilustracjami i kopiami dokumentów.

**T. 5. O. Єдвард Станек, “Педагогічні принципи Вчителя з Назарету”, Білий-Дунаєць, 1998.**

Zbiór cennych rozważań opartych na tekście Ewangelii. Autorem jest ks. Edward Staniek, będący obecnie Rektorem Wyższego Seminarium Duchownego Archidiecezji Krakowskiej. Z języka polskiego na ukraiński książeczkę przełożyła Irena Androszczuk.

**T. 6. Tadeusz Kukiz, „Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej”, Biały Dunajec 1998.**

Kolejna pozycja książkowa Tadeusza Kukiza, znanego pasjonata i badacza dziejów kresowych obrazów o tematyce maryjnej, związanych z nimi legend i ich „wędrowek” na Zachód po bolesnych wydarzeniach ostatniej wojny. Książka licząca 212 stron, opatrzona jest licznymi ilustracjami, bibliografią oraz skorowidzami nazw osobowych i geograficznych, będąca swoistego rodzaju przewodnikiem po dawnych sanktuariach Wołynia.

**T. 7. Ks. Witold Józef Kowalów, „Zmartwychwstały Kościół” cz. 1, „Diecezja łucka 1989–1998: odrodzenie Kościoła Rzymskokatolickiego w obecnym dekanacie rówieńskim”, Biały Dunajec 1998.**

W zwięzły sposób zostało ukazane odrodzenie Kościoła Rzymskokatolickiego w obecnym dekanacie rówieńskim (diecezja łucka na Ukrainie). Pierwszą parafią odrodzoną w diecezji łuckiej w 1989 roku był Ostróg nad Horyniem. Obecnie w dekanacie rówieńskim jest 14 parafii.

**T. 8. O. Альбін Яноха OFM Cap., “Отець Серафим-Алоїз Кашуба (1910–1977)”, Білий-Дунаєць, 1999; O. Albin Jano-**

cha, „*O. Serafin Alojzy Kaszuba (1910–1977)*”, Białe Dunajce 1999.

Krótką biografię Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby oparta na dokumentach archiwalnych i korespondencji z kandydatem na ołtarze. Wydanie dwujęzyczne, ukraińsko-polskie. Z języka polskiego na ukraiński książeczkę przełożyła Władysława Krynicka.

**T. 9. Ks. Witold Józef Kowalów, „Ks. Michał Stanisław Głowacki «Świętopelk» (1804–1846). Folklorysta i współorganizator powstania”, Białe Dunajce–Ostróg 1999.**

Biografia jednego z kapłanów, który w latach trzydziestych i czterdziestych XIX wieku na terenie ówczesnej diecezji tarnowskiej podjął pracę nad odrodzeniem religijno-narodowym. Ks. Michał Głowacki przeszedł do historii jako autor pierwszego zapisu i interpretacji legendy o śpiących rycerzach. W wyniku kłęski powstania chochołowskiego zmarł tragicznie w nowosądeckim więzieniu.

**T. 10. Ks. Witold Józef Kowalów, „Sursum corda. W górę serca. Wybór artykułów prasowych z lat 1992–1997”, Białe Dunajce–Ostróg 1999.**

Wybór artykułów prasowych wołyńskiego kapłana z lat 1992–1997. Są to artykuły głównie publikowane na łamach „Wołania z Wołynia”, ale także „Radości Wiary” (Drohobycz), „Gazety Lwowskiej”, „Dziennika Kijowskiego”, „Gościa Niedzielnego”, „Niedzieli” i innych czasopism. Ich najczęstszą tematyką jest odrodzenie Kościoła Katolickiego na Wołyniu i sam Wołyń. Publicystyka religijna. Swego rodzaju przewodnik po najnowszych dziejach diecezji łuckiej.

**T. 11. Krzysztof Koltun, „Szelest róży”, Białe Dunajce–Ostróg 1999.**

Zbiór kilkudziesięciu wierszy – hołd złożony Św. Teresie od Dzieciątka Jezus, patronce Wołynia. Poetycki ślad jubileuszu 100-lecia śmierci Małej Tereski i ogłoszenia jej Doktorem Kościoła, wydany w 150. lecie śmierci Juliusza Słowackiego.

**T. 12. С. Михайлина Алекса РМ, “Слуга Божий Архiepиcкoп Зигмунт-Щенский Фелінський (1822–1895). Син Волинської Землі”, Білий-Дунаєць, 1999.**

Biografia wielkiego syna Ziemi Wołyńskiej, Sługi Bożego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, autorstwa s. Michaliny Aleksy, która obecnie pracuje na placówce w Sankt Petersburgu. Z języka polskiego na ukraiński książkę przełożyła Irena Androszczuk.

**T. 13. O. Андрій Зволінський, “Ясько”, Білий-Дунаець–Острів, 1999.**

Wstrząsająca historia pewnego młodego człowieka opisana przez młodego kapłana archidiecezji krakowskiej, będącego obecnie profesorem Katolickiej Nauki Społecznej na Papieskiej Akademii Teologicznej. Z języka polskiego na ukraiński książkę przełożyła Irena Androszczuk. Wcześniej ukazał się przekład na język rosyjski.

**T. 14. O. Ієронім Варахім OFM Сар., “Духовний силует Слуги Божого О. Серафима Кашуби OFMСар.”, Білий-Дунаець–Острів, 2000; O. Hieronim Warachim OFMСар., „Duchowa sylwetka Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby”, Biały Dunajec–Ostrów 2000.**

Kolejna dwujęzyczna, ukraińsko-polska, pozycja przybliżająca postać Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby, tym razem od strony duchowej w rodzinie, Kościele i zakonie kapucynów. Autor dokonał refleksji nad szczególnymi cnotami kandydata na ołtarze, nad jego posłuszeństwem, ubóstwem i czystością. Szczególnie wyraźnie widać w postaci Sługi Bożego oddanie się Bożej Opatrzności, kult Matki Bożej i Świętych Pańskich oraz jego pamięć o zmarłych.

**T. 15. „Ostrów. Ilustrowany przewodnik krajoznawczy”, Biały Dunajec–Ostrów 2000.**

Coraz częściej różne grupy i wycieczki turystyczne odwiedzają Ostrów i dlatego coraz bardziej dotkliwym staje się brak przewodnika w języku polskim. Zanim powstanie nowy polskojęzyczny przewodnik zdecydowaliśmy wydać reprint przewodnika z 1934 roku, którego wydawcą i nakładcą był dyrektor Gimnazjum Państwowego im. M. Konopnickiej w Ostrogu Tomasz Łysek.

**T. 16. Ks. Władysław Knapiński, „Sprawa o Kościół w Ostrogu na Wołyniu”, Biały Dunajec–Ostrów 2000.**

Reprint pracy ks. prof. Władysława Knapińskiego, późniejszego rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, będącej głosem w obronie katolików obrządku łacińskiego na Wołyniu i zarazem pięknym świadectwem ich przywiązania do Kościoła Powszechnego. Z okazji szczęśliwych narodzin w 1895 roku córki cara Mikołaja II, księżniczki Ołgi, zezwolono na odbudowę kościoła farnego w Ostrogu...

**T. 17. Leon Karłowicz, „Nie zostawiajcie mnie tu... Obrazy z życia deportowanych do Kazachstanu”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.**

Dramatyczna historia rodziny Kurzydłowskich, która z Wołynia została zesłana do Kazachstanu. Kilka lat poniewierki, śmierć jednego z małżonków i dzieci, walka o przetrwanie w kolchozie na stepie, opisy ludzkich zachowań oraz pięknej i surowej przyrody, składają się na tę wzruszającą opowieść. Na przykładzie tej rodziny można dowiedzieć się o losie tysięcy Polaków zesłanych do Kazachstanu.

**T. 18. О. Иоанн Павел Мухарский OFMСаp., „И ты утверждай своих братьев. К Великому Юбилею 2000 года”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.**

Syntetyczne spojrzenie na problem podziału i jedności Kościoła. Autor, sędziwy kapłan z zakonu kapucynów dzieli się z nami swoim własnym widzeniem trudnej problematyki dialogu Kościoła Katolickiego z Kościołem Prawosławnym. W latach 1935–1939 pracował w Lubieszowie na Polesiu, po wieloletniej pracy w Polsce i USA, w latach 90. XX wieku powraca na Wołyń i Polesie...

**T. 19. Галина Гандзілевська, „Чекатиму тебе...”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.**

Debiut poetycki. Autorka jest reżyserem Teatru Akademii Ostrogskiej i dyrektorem Ośrodka Kultury i Sztuki przy tejże uczelni, śpiewaczką i kompozytorką, przy parafii rzymskokatolickiej w Ostrogu prowadzi chór dziecięco-młodzieżowy. Niekiedy zdaje się, że żyje ona w nierzeczywistym, wymyślonym świecie. Ale kiedy poznajemy go głębiej – okazuje się, że nie ma realniejszego od niego.

**T. 20. Krzysztof Rafał Prokop, „Sylwetki biskupów łuckich”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Zbiór szkiców biograficznych wszystkich dotychczasowych pasterzy diecezji łuckiej (XIV–XX w.). Książkę zamyka biogram obecnego ordynariusza (od 1998 r.), bpa Marcjana Trofimiaka. Pozycja ta ukazała się z okazji pielgrzymki papieża Jana Pawła II na Ukrainę.

**T. 21. „Listy z Kozielska burmistrza miasta Ostroga”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Wstrząsający zbiór dokumentów i fotografii rodzinnych dotyczących przedwojennego burmistrza miasta Ostroga Stanisła-

wa Ludwika Żurakowskiego (1886–1940), zamordowanego przez NKWD w Katyniu. Książkę do druku przygotował jego syn, Stanisław Żurakowski, mieszkający w Londynie.

**T. 22. Ks. Władysław Bukowiński, „Do moich przyjaciół”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Wybór spuścizny literackiej ks. Władysława Bukowińskiego, znanego duszpasterza katolickiego na Wołyniu i w Kazachstanie. Na książkę składają się m.in. relacja o Kościele na Ukrainie, „Wspomnienia z Kazachstanu” oraz listy do krewnych i przyjaciół. Pozycja ta ukazała się z okazji pielgrzymki papieża Jana Pawła II na Ukrainę.

**T. 23. „Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Zbiór świadectw i relacji o ks. Władysławie Bukowińskim, nieustrudzonym duszpasterzu katolickim na Wołyniu i w Kazachstanie. Autorami tej książki są Czytelnicy „WzW”, którzy na swej drodze życiowej spotkali tego niezwykłego kapłana. Cechą wspólną zamieszczonych tekstów jest odczucie, iż ów kapłan był osobą świętą.

**T. 24. Krzysztof Koltun, „Wołyńska litania”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Poetycki hold Matce Bożej czczony kiedyś przez Wołyńian w wielu sanktuariach. Ufna modlitwa do Pana Boga przez wstawiennictwo Matki Najświętszej i świętych patronów Ziemi Wołyńskiej.

**T. 25. Ks. Witold Józef Kowalów, „Szkice z dziejów kościelnych Ostroga i okolicy”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Zbiór 10 szkiców historyczno-krajoznawczych dotyczących Kościoła katolickiego oraz jego świątyń w Ostrogu i okolicy. Plon udziału autora w konferencjach naukowo-krajoznawczych „Ostróg na progu 900-lecia” i Ostrogskich Czytaniach Krajoznawczych.

**T. 26. Romuald Wernik, „W Zdołbunowie zakwitły kaczeńce”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Sentymentalne wspomnienia z Wołynia napisane przez Autora mieszkającego w Londynie, który urodził się w Zdołbunowie. Świadectwo tęsknoty za miastem lat dzieciennych. Urywki wspomnień i opisy zabawnych sytuacji stały się tłem interesujących opowiadań.



**T. 27. Ks. Andrzej Kwiczala, „Dzieje parafii rzymskokatolickiej w Ostrogu na Wołyniu (1939–2000)”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Próba ukazania najnowszej historii parafii rzymskokatolickiej i życia religijnego w Ostrogu na Wołyniu w latach 1939–2000. Autor nie tylko oparł się na wcześniej wydanych publikacjach, ale po- dał również żywe świadectwa ludzi, którzy przeżyli trudne czasy wojny i powojennych prześladowań.

**T. 28. Богдан Колосок, “Кафедральні споруди Луцька. Історико-архітектурне дослідження”, Biały Dunajec–Ostróg 2002.**

Praca ukazująca dzieje z punktu widzenia architektury łuckiego kościoła katedralnego i różnych budynków do niego kiedyś i obecnie należących. Przedstawiony jest również ich obecny los. Publikację wzbogacają liczne ilustracje. Autor jest kierownikiem sektora Centrum Historii Zabytków Narodowej Akademii Nauk Ukrainy.

**T. 29. Maria Przybylska, „Karawana ze Wschodu”, Biały Dunajec–Ostróg 2002.**

Tomik wierszy krakowskiej poetki i deklamatorki. Armenia, Ukraina, Bug, Kijów, Lublin, Rosja, Podlasie, Kraków, Jarosław, Kostomłoty, Ostróg, Wołyń... Gdzie by się człowiek nie znajdował, skąd by nie pochodził, dokąd by nie dążył – pragnie Światła i Dobra.

**T. 30. O. Ієронім Варахім OFM Cap., „Апостол Церкви Мовчання. О. Серафим Кашуба OFM Cap.”, Білий-Дунаець–Остріг, 2002; O. Hieronim Warachim OFM Cap., „Apostol Kościoła Milczenia. O. Serafin Kaszuba OFM Cap.”, Biały Dunajec–Ostróg 2002.**

Dwujęzyczny, polski i ukraiński, tekst krótkiej biografii Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby OFM Cap., którego proces beatyfikacyjny rozpoczął się w Krakowie 2 grudnia 1992 roku. Od 22 grudnia 2001 r. sprawa toczy się w Rzymie.

**T. 31. Ks. Kamil Kantak, „Juliusza Słowackiego życie i idee religijne”, Biały Dunajec–Ostróg 2003.**

Esej o religijności Juliusza Słowackiego, wybitnego syna Ziemi Wołyńskiej. Autor przedstawił w nim religijny rozwój mentalności

i życia wielkiego poety, który „był katolikiem nie tylko ze chrztu, ale i z przekonania”.

**T. 32. Krzysztof Rafał Prokop, „Biskupi kijowscy obrządku łacińskiego XIV–XVIII w. Szkice biograficzne”, Biały Dunajec–Ostróg 2003.**

Po „Sylwetkach biskupów łuckich” jest to druga „biograficzna” pozycja K. R. Prokopa, który tym razem przybliży nam pasterzy dawnej diecezji kijowskiej. Praca ta ukazuje ślady ich posługi pasterskiej, mecenatu kulturalnego i artystycznego oraz zaangażowania w życie społeczno-polityczne.

**T. 33. O. Hieronim Warachim OFM Cap., „Kapucyńska Odyseja przez Podole i Wołyń”, Biały Dunajec–Ostróg 2004.**

Sentymentalna podróż do miejsc znanych i zapamiętanych przez autora w młodości posłużyła za okazję do ukazania dawnych i obecnych dziejów pracy OO. Kapucynów na Podolu i Wołyniu. Niełatwo jest pokonywać trudności i budować Kościół na gruzach murów i zrujnowanych duchowo ludzkich serc.

**T. 34. Marek A. Koprowski, „Wołyńia dzień dzisiejszy”, Biały Dunajec–Ostróg 2004.**

Reporterski zapis podróży po parafiach rzymskokatolickich i skupiskach polskich na Wołyniu na początku XXI wieku. Po dramatycznych dziejach z ubiegłego stulecia autor stara się przedstawić współczesne oblicze tych wspólnot środkowej i wschodniej części Wołyńia.

**T. 35. “Старий Кривин: дослідження та матеріали з історії Південно-Східної Волині”, вступ, нарис, упорядкування Тарас Вихованець, Ігор Тесленко, Biały Dunajec–Ostróg 2005.**

Wydanie źródłowe nt. cerkwi z początku grekokatolickiej, a następnie prawosławnej, w wiosce Krzywina na Wołyniu. Opublikowane materiały niosą z sobą także wiele informacji nt. innych wyznań (katolików obrządku łacińskiego i ewangelików) oraz z historii Krzywina i okolicznych wiosek. Efekt pracy młodych historyków ukraińskich.

**T. 36. „Krzemieniec”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.**

Reprint przedwojennego przewodnika po Krzemieńcu i okolicach tego malowniczego miasteczka wołyńskiego. Coraz bardziej

uświadamiamy sobie, że nie znając przeszłości nie widzimy też przyszłości. Odkrywając świat nadziei na godną przyszłość staramy się odnaleźć ślady wspaniałej przeszłości.

**T. 37. Ulas Sameczuk, „Wołyń”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.**

Słynna powieść Ułasa Sameczuka napisana w latach 1932–1937, która przyniosła autorowi powszechne uznanie. Jeszcze w 1934 roku otrzymał za nią nagrodę literacką przyznaną przez działające w ówczesnej Polsce Ukraińskie Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy im. Iwana Franki. Dzieło to ukazuje życie ukraińskiego chłopca w okresie wojen i rewolucji.

**T. 38. “Стародруки Речі Посполитої XVI–XVIII ст. у збірках Музею книги та друкарства м. Острога і Волинського краєзнавчого музею. Каталог”, Луцьк 2005.**

Katalog zawiera opis starodruków polskich XVI–XVIII wieku, wydanych w językach polskim, łacińskim oraz niemieckim na terytorium współczesnej Polski, Białorusi, Ukrainy, Rosji, Krajów Nadbałtyckich. Starodruki te znajdują się w zbiorach Muzeum Książki i Drukarstwa w Ostrogu i Wołyńskiego Muzeum Krajoznawczego w Łucku.

**T. 39. Stanisław J. Kowalski, „Powiat buczacki i jego zabytki”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.**

Historia przepięknej krainy kresowej, jaką stanowi dawny powiat buczacki będący częścią Podola. Opowieść o wielu miejscowościach – Buczaczu, Jazłowcu i innych – które były świadkami wielkich wydarzeń. Niniejsze opracowanie pragnie utrwalić pamięć o Buczaczu i jego okolicach – jest próbą odtworzenia tego co na naszych oczach znika w czeluściach zapomnienia.

**T. 40. „Materiały do dziejów diecezji łuckiej. Relacje o stanie parafii i dekanatów 1941–1944”, oprac. Maria Dębowska”, Biały Dunajec–Lublin–Łuck–Ostróg 2005.**

Publikacja źródłowa będąca zbiorem szeregu cennych informacji do historii diecezji łuckiej, jej poszczególnych dekanatów i parafii, w latach 1941–1944 – okresie niezwykle trudnym i dramatycznym. Tom został opracowany przez Marię Dębowską z Ośrodka Archiwów Bibliotek i Muzea Kościelne Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

**T. 41. O. Kasjan Korczyński, „Katedra kijowska”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.**

Reprint publikacji z 1861 roku wydanej w Cieszynie. Autor – franciszkanin i kaznodzieja katedralny krakowski – podaje katalog biskupów kijowskich i „krótką opowieść” o każdym z nich. „Katedra kijowska” poprzedzona jest przedmową Jana Radwańskiego i krótkim biogramem autora książki.

**T. 42. Інна Шостак, “Луцько-Житомирська Римо-Католицька дієцезія наприкінці XVIII – у першій половині XIX століття”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.**

Autorka monografii – młody wykładowca Narodowego Uniwersytetu „Akademia Ostrogska” – bada powstanie i stan diecezji łucko-żytomierskiej w warunkach wzmocnienia rosyjskiego samodzięrzawia. Analizuje działalność społeczną biskupów łucko-żytomierskich Kacpra Kazimierza Cieciszowskiego i Michała Piwnickiego, którzy dbali o rozwój Kościoła w niezwykle trudnych warunkach. Opisuje funkcjonowanie seminariów duchownych w Łucku, Ołyce i Żytomierzu. Bada historię szkół parafialnych i klasztor-nych.

**T. 43. Adrian Waclaw Brzózka, „Zawieszeni w czasie”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.**

Kolejny tomik poezji młodego franciszkanina, który kilka lat pracował na placówce zakonnej w Kowlu w diecezji łuckiej. W wielu utworach autor przenosi Czytelników na Wołyń. Jest to szczególne świadectwo przeżyć autora i jego tęsknot do Ziemi Wołyńskiej.

**T. 44. Ks. Witold Józef Kowalów, „Memores Domini. Pamiętający o Panu. Wybór artykułów prasowych z lat 1998–2002”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.**

Wybór publicystyki proboszcza w Ostrogu, założyciela i wydawcy „Wołania z Wołynia” z lat 1998–2002. Poszczególne artykuły omawiają najważniejsze wydarzenia z życia Kościoła na Wołyniu i w ogóle w Ukrainie. Kolejna część swego rodzaju kroniki najnow-szych dziejów diecezji łuckiej.

**T. 45. Swietłana Pyza, „Życie heroiczne i myśl ojca Serafina Kaszuby”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.**

Praca ukazująca nie tylko fakty z życia Sługi Bożego, ale przede wszystkim jego wędrowne duszpasterzowanie. Zwrócono

w niej uwagę na najważniejsze czynniki heroicznego cnót Sł. B. Serafina Kaszuby: miłość ku Eucharystii, oddanie się Matce Bożej, poddanie się woli Bożej, wierność ślubom zakonnym i łączność duchowa z braćmi i hierarchią kościelną oraz franciszkańska radość i pokora.

**T. 46. Tomasz Kempa, „Akademia i drukarnia Ostrogska”, Biały Dunajec–Ostróg 2006.**

Praca zwięźle ukazująca znaczenie ośrodka ostrogskiego w pięknej historii ziem ruskich (ukraińskich) Rzeczypospolitej. Ostróg jest szczególnym miejscem spotkania różnych kultur i wyznań, a w drugiej połowie XVI wieku był tu najważniejszy ośrodek myśli prawosławnej na ziemiach ruskich. Swoista symbioza akademii i drukarni ostrogskiej leżała u podstaw sukcesu tej ostatniej.

**T. 47. Henryk Dąbkowski, „Polesie – moja mała Ojczyzna. Wybór artykułów prasowych z lat 1989–2000”, Biały Dunajec–Ostróg 2006.**

Wybór „kościelnych” artykułów prasowych Henryka Dąbkowskiego publikowanych głównie na łamach „Słowa Powszechnego”, a następnie „Słowa. Dziennika Katolickiego”. Ich przewodnią tematyką są ciężkie i tragiczne losy dawnych wołyńskich duszpasterzy. Autor przez 14 ½ roku był mieszkańcem Rokitna na Polesiu Wołyńskim.

**T. 48. Paweł Grabczak, „Seminaria duchowne łucko-żytomierskiej diecezji w latach 1798–1842”, Biały Dunajec–Ostróg 2006.**

Praca historyczna oparta na pracy doktorskiej autora napisanej na KUL w 2003 roku. Obszerne studium i bogato udokumentowane, które wnosi do polskiej historiografii wiedzę o procesie formacji rzymskokatolickiego duchowieństwa diecezjalnego na Wołyniu w pierwszej połowie XIX wieku. Rozprawa ta w opinii recenzentów stanowi poważny przyczynek do dziejów etatyzacji i rusyfikacji seminariów łacińskich w Rosji. Cenne opracowanie z dziejów diecezji łucko-żytomierskiej.

**T. 49. „Biesiada Krzemieniecka”, zeszyt 1, Biały Dunajec–Ostróg 2006.**

Reprint zeszytu 1 „Biesiady Krzemienieckiej”, wydanego w 1977 roku w Londynie, wydano w związku ze wzrostem zainteresowania

Krzemieńcem i jego okolicami. Wielu autorów tego zeszytu, niestety już nieżyjących, należało do Polsko-Ukraińskiego Towarzystwa i usiłowało przyczynić się do wzajemnego zrozumienia i współpracy. Znajdują się tu m.in. teksty Zdzisława Jagodzińskiego, Antoniego Hermaszewskiego i Haliny Czarnockiej.

**T. 50. „Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół” cz. 2, Biały Dunajec–Ostróg 2006.**

Druga część zbioru świadectw i relacji o Słudze Bożym ks. Władysławie Bukowińskim, niestrudzonym duszpasterzu katolickim na Wołyniu i w Kazachstanie. Autorami tej książki w dużej części są Czytelnicy „WzW”, którzy na swej drodze życiowej spotkali tego niezwykle kapłana. Publikacja została wydana z okazji rozpoczęcia procesu kanonizacyjnego Sługi Bożego.

**T. 51. Michał Rudzki, „Notatnik wołyński”, Biały Dunajec–Ostróg 2006.**

Michał Rudzki i jego rodzina pochodzą ze Sławuty i okolicznych wiosek. „Notatnik wołyński” ukazuje losy polskich rodzin na Wołyniu „za kordonem”. Jest to kolejna publikacja, która powstała jako żywa odpowiedź na nasze starania o uchronienie przed zapomnieniem chociaż części wołyńskiego dziedzictwa.

**Wymienione książki można zamawiać pod następującymi adresami:**

**Ośrodek „Wołanie z Wołynia”  
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin  
<http://www.wolanie.kioskonline.pl/>  
e-mail: kovaliv@ostroh.uar.net  
lub  
“Воляннiя з Волині”  
вул. Кардашевича, 1  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.  
Україна**

**„WOŁANIE Z WOŁYNIA”  
PISMO RELIGIJNO-SPOŁECZNE  
RZYMSKOKATOLICKIEJ DIECEZJI ŁUCKIEJ**

To tytuł dwumiesięcznika, który wydajemy w diecezji łuckiej. Pismo to jest redagowane przeze mnie w rzymskokatolickiej parafii pw. Wniebowzięcia NMP w Ostrogu na Wołyniu. Na łamach „Wołania z Wołynia” zamieszczamy m. in. rozmaite opisy, relacje i wspomnienia dotyczące przeszłości wołyńskiej ziemi, kościołów i duszpasterzy. Celem tych tekstów jest uchronienie przed zapomnieniem chociaż części wołyńskiego dziedzictwa. Zwracam się do wszystkich ludzi pochodzących z Wołynia, którzy osiedlili się w różnych częściach Polski i Za Granicą, aby nadsyłali swoje wspomnienia, refleksje, spostrzeżenia lub materiały do opublikowania ich w dwumiesięczniku „Wołanie z Wołynia”. Mile widziane będą także zdjęcia dawnych duszpasterzy kościołów.

***ks. Witold Józef Kowalów***

Zainteresowanych współpracą z redakcją naszego pisma proszę o kontakt listowny w Polsce:

**Ks. Witold Józef Kowalów  
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin**

**<http://www.wolanie.kioskonline.pl/>  
e-mail: [kovaliv@ostroh.uar.net](mailto:kovaliv@ostroh.uar.net)**

**lub telefoniczny w Ostrogu:  
tel./fax +380 (3654) 2-30-38**